

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Maria Szyszkowska

MÓJ DZIENNIK

Copyright by Maria Szyszkowska

Wydawnictwo „Tower Press”

Gdańsk 2001

Odnajdywanie siebie

Przeptyw czasu, mijanie dni za szybkie, by móc przemyśleć rozmaite zdarzenia i przeżycia, powoduje ich zapominanie. Czasami wstrzymujemy na chwilę ów niepotrzebny pośpiech – który charakteryzuje współczesne życie – by ze zdziwieniem stwierdzić, jak nikły jest w nas obraz lat, które przeminęły. A przecież wiele spośród tego chciałoby się uchronić przed zapomnieniem.

Potrzebna jest forma utrwalania teraźniejszości nie tylko po to, by po latach mieć materiał do bogatszych wspomnień, ale również ze względu na samą teraźniejszość; by mocniej czuć jej smak. Zazwyczaj bowiem tak bywa, że żyjemy planami przyszłości bądź wspomnieniami i ze zbyt małą uwagą odnosimy się do dnia, który jest, a który przecież nadchodzi i mija.

Prowadzenie dziennika jest ważnym sposobem rozmowy z sobą samym. Jest obroną własnego ja przed natarczywością świata i momentem koncentracji. Formą spowiedzi możliwą do spełnienia, przez wszystkich. Wydaje mi się, że zrozumiałam to bardzo wcześnie, bowiem już w czasach szkolnych zaczęłam prowadzić dziennik. A maturę zdawałam mając zaledwie 16 lat. Leżą przede mną liczne zeszyty dzienników.

Które fragmenty opublikować?

Decyzja nie jest łatwa, bo powstaje niepewność, czy wynurzenia autora zainteresują Czytelnika. Stąd w prezentowanym tu doborze tematów nie ma, na przykład, powtarzających się w rękopisie rozważań o przemęczeniu nadmiarem pracy i rozczarowaniach do rodziny. Nie ma też o tym, że w chwilach krańcowego wyczerpania nagle jakaś nieznana nam siła uruchamia dodatkowe moce psychiczne. I wtedy właśnie, w takich stanach, pisałam to, co uznawano za udane.

Wiele jest spraw nieprzekazywalnych. Od chwili, gdy skończyłam 9 lat – bo wtedy przeżyłam pierwszy moment samoświadomości – nieustannie spieszę się, by zdążyć. Śmierć od zarania mojego życia zabiera mi najbliższych. Kruszy się świat moich przyjaciół. Jeden z żyjących, Stefan Król, naucza, że każdy dzień życia to wielkie święto. I trzeba mu przyznać

rację, zważywszy kruchość naszego istnienia. Może podświadomie mam złudną nadzieję, że wygram wyścig ze śmiercią? W każdym razie na pewno tego pragnę. Przynajmniej w sferze pragnień wolno mi chcieć tego, co niemożliwe.

Poznałam wielu niezwykłych ludzi i chciałabym utrwalić ich ślad w *Dzienniku*. Wywarli na mnie wpływ, prowokując do zastanowienia nad moim życiem i losem innych. Były to często spotkania o tak wielkiej wzajemnej przenikalności psychicznej, że zaliczam ich do osób mi bliskich, chociaż nieraz rozchodziły się nasze drogi po kilku spotkaniach. W żadnym razie nie były to konfliktowe rozejścia. Brak czasu rozdzielał najczęściej, bo oddanie jakiejś sprawie – jak to czynili ci, których pamięć tkwi tak mocno we mnie – nie pozwalała na częste spotkania. Wystarczać musi myśl o kimś współrozumiejącym i współodczuwającym, tkwiącym w przestrzenno – czasowej odległości.

Mając 9 lat i chodząc alejkami starego parku, przeżyłam wśród ciszy i drzew moment podniosły: samowiedzy. Wtedy zapragnęłam utrwalac zdarzenia o istotnej dla mnie wartości. Zaczęłam robić notatki, swoisty zapis pracy umysłu i świata przeżyć. Nie prowadziłam ich systematycznie, bo nie jestem zdolna w ogóle do systematyczności, ale nie było półrocza wolnego od notatek.

Okazało się, że niewiele różnią się moje dzisiejsze oczekiwania i potrzeby od tamtych sprzed lat. Dlatego rezygnuję tu, w tym dzienniku, z chronologii zdarzeń na rzecz sumarycznego ich zarysowania. I jeszcze jedno. Tom pierwszy – to zapis raczej myśli, niż uczuć. Odwrotną proporcję przewiduję w tomie drugim.

Ten dziennik, podobnie jak wiele zjawisk w Polsce, ma (pośredni) związek z ostatnią wojną światową. Otóż bywał w okresie mojego dzieciństwa w domu matki ktoś, kto przeżył tak wiele, że kilka lat po wojnie przystąpił do pisania powieści – dziennika. Systematycznie przychodził, by czytać matce i starszej siostrze fragmenty swojego dzieła. Zdarzyło się raz, że czytał tylko dla mnie, choć niewiele z tego rozumiałam. Ale to zaważyło na moim życiu. Postanowiłam, że ja też napiszę powieść! I tak się wtedy stało. Została nawet wydana, pisana na maszynie, w nakładzie aż 1 egzemplarza, z zachowaniem błędów językowych. *Notabene*, tę powieść ów znajomy opatrzył komentarzami. Nosi tytuł *Mój pamiętnik*.

Zabawne. Kilkanaście lat temu z zapalem zajmowałam się astronomią, fizyką i problemy te wydawały mi się zagadnieniami pierwszorzędnej wagi. A dziś? Obojętnie słucham o podróżach w Kosmos. Mam poczucie krótkotrwałości życia i ta kruchość sprawia, że łączy mnie ono jak najściślej z Ziemią. Przy czym coraz bardziej interesują mnie absurdy naszego bytowania. Dręczą mnie pytania, na które nie umiem sobie odpowiedzieć.

Dlaczego, na przykład, wiele spośród naszych pragnień, które usiłujemy ziszcic, spełnia się

dopiero wtedy, gdy przestajemy do nich z całą mocą dążyć? Dlaczego nasze istnienie przenika nieustannie wiara w coś; nawet nauka opiera się na wierze w dotarcie do prawdy i w zdolność rozumu do jej objęcia. Dlaczego wciąż przecenia się u nas znaczenie wiedzy naukowej i prowokuje tysiące ludzi do wysiłku pozornej nobilitacji, tzn. studiowania? Nie docenia się sztuki, choć wnikanie w konkret to właśnie jej zadanie. Funkcja poznawcza sztuki za mało jest rozumiana.

Byłam wychowywana w kulcie dla przeszłości i tradycji, które bezpowrotnie przeminęły. W rezultacie zaszczerpiono mi tęsknotę za tym, co minęło a czego nie zaznałam. Stąd też brak spokoju i powolne poczucie osamotnienia w tej tęsknocie, bo kruszy się krąg osób znających z autopsji te czasy, za którymi kazano mi tęsknić jak do mitycznej szczęśliwości. Pojęcia, w których mnie wychowano, okazały się puste, mówiąc językiem kantowskim. Inaczej – tworzyły czysto myślowy świat nie pozostający w żadnym określonym odniesieniu do świata tu i teraz istniejącego.

Może właśnie z tej dysharmonii, o znaczeniu dla mnie istotnym, mogłam narodzić się ja i wciąż dalej się rodzić? Zdaję sobie sprawę, że na to, czym jestem obecnie (w sensie konstrukcji wewnętrznej) złożyło się bardzo wiele przypadkowych z pozoru zdarzeń, że winnam wdzięczność wszystkim poznanym ludziom. Każdy z nich dał mi jakiś impuls i często wbrew, na przekór wnoszonym przez kogoś treściom, kształtuję się czy kształtowałam.

Bezsensem jest zastanawianie się, co byłoby – gdyby wydarzenia ułożyły się inaczej. Najistotniejsze, by mieć odwagę akceptowania tylko w pewnej mierze tego, w czym się tkwi. Trzeba wędrować dalej, niż aktualny stan zdaje się na to pozwalać. Niezbędna do tego jest sztuka koncentracji i przewycięzanie tkwiącej w nas chęci pozostawania niemowlęciem. Wciąż przed każdym z nas droga wewnętrznego rozwoju i może należy być zadowolonym z tego, że tylko mgliście rysuje się nam nasz przyszły wizerunek. Wiem tylko na pewno, że wciąż postępuję w umiejętności cieszenia się pięknem świata. I wiem, że świata odczuć i wrażeń nie można traktować jako drugoplanowego wobec świata rozumu.

Nasze niezwykle, zdawałoby się, zetknięcia z ludźmi to wytwór zbiegu poprzednich wydarzeń. I każde z nich odciska ślad w naszym życiu, choćby tych spotkań było niewiele. I potem dojmujący żal, gdy odchodzą z tego świata, bo tworzą wszakże nasz własny świat.

Przeraza mnie myśl o tym, jak bardzo kruszy się krąg moich – w tym sensie – bliskich osób. Zbyt wielu przedwcześnie istnieje już tylko w kręgu mojej pamięci: psycholog, niezrównany esteta, zniszczony nieszczęśliwą miłością Lech Dominiak, uczeń Piotra Chojnackiego, odznaczający się niesłychaną lojalnością, dr Józef Chalcarz, zapowiadający się dobrze krytyk literacki Zbyszek Domański, mniej, niestety, znany u nas niż za granicą malarz

Henryk Horosz-Święcicki, którego obrazy stwarzają świat tak sugestywnych postaci, iż wydaje się, że siła wyrazu obrazów Chagalla nie jest większa.

Przywołać tu też pragnę wspaniałego chirurga dr Helenę Warpechowską, ozdobę towarzystwa – Irenę Czaporowską, która zachowała świeżość uczuć, mając lat więcej niż sześćdziesiąt, niepospolitą indywidualność, lekarza dr. Zbigniewa Deszkiewicza, jak również mieszkającego w Nałęczowie Eustachego Szeliskiego, pełnego osobistej kultury inżyniera, który mając bardzo skromne zasoby materialne budował – zdawałoby się wbrew rozsądkowi – dom dla matki i siebie w Jędrzejowie, na ziemi otrzymanej w zamian za tę na Wołyniu. Zabił go nadmierny wysiłek. Pragnę utrwalić też pamięć Tadeusza Madlera, który mając lat dziewięćdziesiąt nie tylko żywo reagował na nowe prądy i dzieła filozoficzne, ale umiał też obdarzać uczuciem kogoś, kto rozświecił mu te późne lata. Znałam oboje.

Tragizm szczególnie zawiera się w tym, że znikają spośród żywych ci, na których nam szczególnie zależy. Często spotkania z nimi odkładamy i niestety czasem bywa już za późno. Trudno pogodzić się z tym, że nic nie wiemy o śmierci, o tym, co poza horyzontem zdarzeń. I najgorsze zło, powiedziałabym przekleństwo ludzkiego losu, tkwi w tym, że tę barierę nieznanego każdy musi przekroczyć sam. I niczym nie można okupić się od tego. Nawet miłość i przyjaźń pozostają poza tym progiem absolutnego osamotnienia. Tego się boję.

Ci, którzy umarli, a wchodzili za życia do mojego świata, tworzyli jakby barierę ochronną i dawali mi poczucie bezpieczeństwa. Oplakując ich odejście, przeżywam zarazem trwogę bezbronności.

Bezsilny bunt wywołuje odejście kogoś bliskiego. Trudno również godzić się z tym, że świat po takim dramatycznym fakcie nie zmienia się, że zatarte zostaje szybko miejsce tego, który niedawno odszedł. Że ludzie dookoła nieświadomi tego faktu zajmują się sprawami nieważnymi. Nawet na pogrzebie nie zawsze koncentrują uwagę na zmarłym. Szkoda, że za życia szczeni się słów i ocen, które są wypowiedane w nekrologach. Absurdalny z człowieczej perspektywy kres istnienia budzi bezsilny bunt. Śmierć rówieśników czy ludzi sędziwych dla mnie jest jednakowym wstrząsem.

Spadek pozostały po Ojcu, którego nie poznałam, to list adresowany do jego rodziców i brata przechowywany przez stryjenkę. Stanowi formę przesłania; wyjaśniając, że jest nieustannie zajęty pracą zawodową, to znaczy leczeniem chorych i działalnością społeczną, formułuje następujące słowa: „Zrozumiałe, że pracy będzie coraz więcej, ale trudno, póki człek młody, trzeba tych sił oddać trochę społeczeństwu”. Zginął przedkładając spełnienie obowiązku wobec rzeszy chorych nad możliwość ocalenia swego życia. Ten kult obowiązku i nakaz działania znalazłam potem filozoficznie uzasadniony w dziełach Kanta. Nie od razu,

trwając w kręgu oddziaływania Kanta, nadałam swemu życiu obecny kształt.

Czasy szkolne, studenckie i lata pisania rozprawy doktorskiej były okresem wchłaniania dzieł naukowych i literackich w izolacji od ludzi, zwłaszcza tych zagubionych w codziennych sprawach. Były latami poszukiwania odpowiedzi na pytanie o granice możliwości poznawczych człowieka. Okres działania i wyrastającej stąd wspólnoty nastąpił później, dając przeżycia głębokich radości, a zwłaszcza podniosłe poczucie wspólnoty.

Notowałam w dzienniku już w okresie szkolnym, że mogę i powinnam stale dążyć do wyższego szczebla swej drogi – wbrew opinii otoczenia, które włącznie z rodziną uważało, że nie wiem, czego chcę od życia. Byłam pewna, że moja droga jest słuszna i nie będę jej żałować. Minęły lata od tamtych czasów. Myślę i teraz nadal tak samo. Wielu odnosiło się do mnie jak do nieszkodliwego marzyciela, który kiedyś, po wyjściu za mąż, zacznie żyć i myśleć jak ogół, czyli zawęzi swój widnokrąg do spraw wymiernych w codziennym doświadczeniu. Tymczasem wciąż najważniejsze jest dla mnie lepsze urzeczywistnianie siebie, to znaczy dające więcej wewnętrznego zadowolenia. Nie można tego osiągać bez oddania się Czemuś.

Prowadzenie dziennika służy odkrywaniu siebie. Wyrzucam na papier nie tylko to, co przemyślałam i przeżyłam, ale i te liczne napotkane dzieje życia innych ludzi, które wchłonełam wzbogacając swoje istnienie.

Zachodzi niewątpliwa potrzeba znalezienia jakiegoś wyrazu dla własnych doznań. To sprzyja uwalnianiu się od siebie i obejrzeniu z pewnej perspektywy. A dlaczego pragnę opublikować mój dziennik? Wyjaśnienie pobudek odnalazłam nieoczekiwanie świetnie sformułowane w wypowiedzi Igora Strawińskiego: „Wszelka twórczość dąży do uzewnętrznienia się. Ukończywszy dzieło, twórca siłą rzeczy odczuwa potrzebę podzielenia się swoją radością. Pragnie naturalnie wejść w kontakt ze swoim bliźnim, który staje się w danym wypadku jego słuchaczem, Słuchacz reaguje i staje się partnerem w grze ustanowionej przez twórcę. Ani mniej, ani więcej. Fakt, że partner może się zgodzić lub odmówić przystąpienia do gry, nie daje mu tym bardziej tytułu do sędziowania”. („Poetyka muzyczna”, w: „Res Facta” 4/1970, tł. S. Jarociński.)

Uporządkowałam tu wybrane, notowane w ciągu lat zapiski nie bacząc na czas ich powstania i bodźce, które je wywołały. Taki układ tematyczny nie zaś chronologiczny bardziej może zainteresuje Czytającego.

Wiedeńskie zapiski

Wiedeń nie leży wprawdzie na innym kontynencie i kilkumiesięczny pobyt w tym mieście nie uwalnia od europocentryzmu, ale pozwala na różne rzeczy spojrzeć z innej perspektywy. Moje bezpośrednie doświadczenia wiążą się z uniwersytetem wiedeńskim, gdzie otrzymałam gościnną docenturę, by wykładać filozofię, a w tym – bliżej zarysować stanowisko własne, nie tylko filozofię w Polsce XX wieku.

Na pierwszy wykład jechałam taksówką, mając nerwy napięte do ostateczności. I tu nastąpiły dwa miłe rozczarowania. Pierwsze – natury praktycznej; taksówka przyjeżdża pod dom w ciągu trzech minut od chwili telefonicznego wezwania. Nie trzeba przy tym podawać ani nazwiska, ani numeru telefonu – słowem, cały „taksówkowy Wiedeń” nie jest informowany o tym, że pani X, mieszkająca tu a tu, zamierza przejechać się po mieście. Nie muszę dodawać, że trudności z warszawskim dodzwonieniem się pod numer 919 są tam całkowicie nieznanne. Drugie miłe rozczarowanie wynikało ze spotkania się z zainteresowaniem słuchaczy i długą dyskusją już po pierwszym wykładzie.

Studiuje się w Austrii długo, niemal bez ograniczeń, zwłaszcza że opłaty są prawie symboliczne (proponowaną reformę, m.in. mającą na celu ustalenie jakiegoś rozsądnego limitu lat studiów, studenci powitali strajkami). Na wykładach i seminariach zdarzają się więc osoby w różnym wieku i o różnym stopniu przygotowania, bowiem większość zajęć można sobie dobierać dowolnie.

Otóż, ci najbardziej chłonni słuchacze wcale nie wykazują wyższego poziomu wiedzy filozoficznej od naszych adeptów, co więcej – ograniczenie do własnej tylko dziedziny czyni ich, na przykład, nieuważnymi na to, co dzieje się w psychologii. Wymienione przeze mnie w czasie dyskusji na seminarium nazwisko profesora Frankla, wykładającego w Wiedniu, a znanego w Polsce – dla nich zadźwięczało obco. Potwierdzałoby to może pogląd, że Polaków w porównaniu z innymi narodami znamionuje wszechstronność zainteresowań.

Niechęć, a może raczej wyższość, z jaką odnoszą się Austriacy do Włochów, powoduje pewne anomalie także i w dziedzinie filozoficznej. Dzieła Giorgia del Vecchio są tam na przykład nieznane, mimo ich światowego oddźwięku – w tym i w Polsce. Z niskiego szacowania tego co włoskie, korzystam, bo można tu, na przykład, kupić piękne włoskie suknie taniej niż we Włoszech.

Moda austriacka jest pozbawiona wdzięku i fantazji. Jest tylko solidna, mieszczańska, porządna. Warszawskie ulice są nieskończenie bardziej kolorowe i fantazyjne niż wiedeńskie, jeśli wziąć pod uwagę sposób ubierania się przechodniów. Na tle wiedeńskiego stylu bycia i ubrania rażą nawet Tyrolczycy, których niejednokrotnie włoska domieszka krwi prowokuje do spontanicznych zachowań. I właśnie żywiołowość i brak sztucznych barier w kontaktach między ludźmi sprawia, że w Wiedniu tęskni się czasem do Innsbrucku, nie tylko dla piękna jego starych kamienic na tle śnieżnych Alp.

Chociaż, prawdę rzekłszy, ocena żywiołowości jest sprawą nader względną. W Salzburgu, zwiedzając ruiny górującego nad miastem zamku, poznałam Szwedkę, która, od piętnastu lat osiadła w Austrii, nawet przyjęła obywatelstwo tego kraju właśnie dlatego, że znalazła tu atmosferę międzyludzkiego ciepła, nie spotykaną w Szwecji, gdzie zakochany mężczyzna czasem i po dziesięciu latach nie może zdobyć się na słowo „kocham”, a napisanie do mężczyzny listu o treści błahej i bez znaczenia dowodzić ma silnego zainteresowania ze strony kobiety.

Podróż przez Austrię pozwala dojrzeć wielki rozkwit budownictwa. Każdy niemal pragnie tu mieć swój dom, a wtedy sposób spędzania sobót i niedziel, jak również i wakacji, staje się ustabilizowany. Domy są piękne, białe, wykończone drewnem. Świat w małym stopniu nęci Austriaków. Bardziej może tylko studentów, ale ci są nietypowi, miewają na przykład mody prochińskie, które zresztą mijają im w miarę dorastania. Wiedenkę znającą Anglię i Szwecję (bo do RFN jeździ się czasem na kolację) uznali współpasażerowie pociągu, którym wracałam z Innsbrucku do Wiednia, niemal za globtroterkę.

Uprzejmość wiedeńczyków cieszy. Odpoczywa się z ulgą, mając pewność, że ani w sklepie, ani w tramwaju czy restauracji nie spotka człowieka żadna przykrość. Ale uprzejmość ta nie dorównuje wyszukany chińskim manierom w wielu rozsianych po Wiedniu restauracjach. Przyćmione światło, dyskretna muzyka, piękne wnętrza i spokój udzielający się w wyniku przyjemnego przyjęcia sprawiają, że w tych chińskich oazach jakby zatrzymywał się czas. A między godzinami 12 i 15 można zjeść tu obiad znakomity i tani, bo w cenie dwóch szklanek herbaty w przylegającej do uniwersytetu kawiarni.

Mit Wiednia to przede wszystkim Prater, który tak pięknie wygląda we wspomnieniach

sędziwych Polaków. Obecnie wcześniej jest on zamykany – na równi, zresztą, z wcześniej kończącym się dniem całego Wiednia. Nie ma tu bowiem nocnego życia w rodzaju tego, jakie toczy się na Montmartre w Paryżu, ani nawet takiego, jakie można obejrzeć w dzielnicy Hamburga, San Paulo, włączając w to sławny bal – Paradox. W ogóle nie ma w Wiedniu dzielnic, które by pobudzały wyobraźnię swą dziwnością, jak chociażby Belleville w Paryżu. Wiedeń jest tylko dostojny i dosłowny.

Wracając do Prateru, oczywiście, miło jest jechać kolejką i wpadać na straszliwe zjawy i duchy oraz na kościotrupy głaszczące po głowie. Ale nie jest to miejsce wytworne – Prater stał się plebejski w negatywnym znaczeniu tego słowa, pełen podpitych Jugosłowian i Turków, szukających tu niewybrednych uciech w najtańszych filmach porno. Toteż lepiej nie chodzić tam samotnie, a jeśli zwiedzało się, na przykład, Tivoli w Kopenhadze, to żał doskwiera, że nie można przeżyć na Praterze tego nastroju odrealnienia, jakie przynosi ze sobą tamto miejsce.

Od wszelkich rozrywek bardziej zajmujące są, oczywiście, spotkania z ludźmi. Poprzez takie nagłe konfrontacje indywidualności można spojrzeć na siebie niejako od zewnątrz: pogłębić zakres swych przemyśleń, poszerzyć wiedzę o innych. Zwłaszcza gdy spotka się kogoś starszego od siebie, bo wtedy przesuwają się przed oczami niejako filmy złożony z przeżyć z cudzej biografii – i można w skrócie poznać, do czego doprowadziły naszego interlokutora obrane wartości.

Poza profesorami uniwersytetu i wytwornymi damami-wdowami, które straciły mężów na wojnie, poznałam, na przykład, niezmiernie interesującego Austriaka, osiemdziesięcioletniego pana, który w czasach Hitlera był dziennikarzem na terenach dawnej Galicji. Zafascynowany Führerem, tłumaczył ongiś w swojej książce jego poczynania tendencją do pokonania chrześcijańskiej ekspansji. Jego zdaniem Hitler walczył z Żydami właśnie dlatego, że nie mógł bezpośrednio rozprawić się z chrześcijaństwem – tworem wszakże żydowskim. Swojej rozprawy na ten temat dziennikarz ów wydać, oczywiście, nie mógł, bo i gdzie znaleźć wydawcę? Rozgoryczony odsunął się od polityki po zakończeniu wojny, a ściślej, po odsiedzeniu kary więzienia po wojnie za propagandę faszystowską. Film „Kariera Hitlera” – o co pytałam – uznał za obiektywną relację.

Powstrzymuję się tu od ocen.

Z uniwersyteckich kontaktów najbardziej poruszające są moje spotkania z emerytowanymi profesorami, którzy czują się osamotnieni i odsunięci przez młode pokolenie. Dla przykładu: Alfred Verdross – wybitny filozof prawa i znawca prawa międzynarodowego, członek Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, doktor honoris causa wielu

uniwersytetów – jest obecnie w Wiedniu prawie nieznaną, mimo publikowania w dalszym ciągu rozpraw naukowych. Zdałam sobie sprawę, że może w Polsce, mimo nader silnych w przeszłości wpływów pozytywizmu, wiele, relatywnie znacznie więcej jednostek dąży do zbudowania własnego poglądu na świat, własnej filozofii życiowej, a zainteresowania filozofią przekraczają znacznie kręgi profesjonalistów.

Różnica między starszym a młodym pokoleniem Austriaków to także odmiennosc manier i form towarzyskich, a nie tylko amerykanizującej się mentalności. Wiedeń – miasto balów i walca już nie istnieje. Wiedeńczycy tkwią w domach, a czasem w restauracjach, gdzie pijąc wino i piwo, siedząc za długimi stołami – wspólnie śpiewają. Ale są to wspólnoty przemijające. Wieczór się kończy i każdy wraca do siebie.

Patrząc na samotny tryb życia wiedeńczyków, na ich zamknięcie się w wąskich bardzo kręgach, a jednocześnie radość, gdy ktoś wyrwie ich z tego odseparowania, rozumiem lepiej powodzenie, jakim cieszą się tu Polki, poszukiwane przez wielu na towarzyszkę życia. Małżeństwo z Polką jakoś nobilituje. Każda Polka w kraju Franciszka Józefa wydaje się szlachcianką. Nie może być przy tym żadnych problemów narodowościowych, bowiem trudno o Austriaków „czystej krwi”. Jak powiedział mi jeden ze studentów: Mam w sobie krew ukraińską i rumuńską po ojcu oraz szwedzką po matce i ta mieszanina dowodzi właśnie niezbitcie, że jestem typowym Austriakiem...

Coś o mitach? Słynna Demel-café, kawiarnia położona tuż obok Graben, pełna jest dziś turystów i nie przypomina opisów w literaturze pięknej. Podobnie ze znanym tortem wiedeńskim skutecznie konkurować mogą eksportowe wypieki Bliklego.

Wracając do spraw poważniejszych – odczuwa się tu, na przykład, brak austriackich odniesień do teatru Grotowskiego, Kantor czy Szajny. Brak eksperymentalnych poszukiwań w tej dziedzinie sztuki wynika zapewne z mieszczańskiego smaku wiedeńczyków. Na tle przywiązania do tradycyjnych form teatru tym większym wydarzeniem była nawet premiera amatorskiego studenckiego teatru prowadzonego przez I. Sooman. Jak do tego doszło? Wiele mówi się obecnie w Austrii na temat Gruppendynamik, czyli na temat wpływu grupy na poszczególne jednostki i twórczego przekształcania mentalności przez grupę. W tym nurcie mieści się koncepcja wspomnianego teatru, który, wystawiając specjalnie napisaną w tym celu sztukę, chce wpływać na kształtowanie osobowości – na razie – dzieci. Po skończonym przedstawieniu odbyła się dyskusja z widzami i nastąpiło zbratanie się aktorów z publicznością. Z perspektywy polskich poszukiwań teatralnych trudno pojąć, że ten niewywrotowy przecież w swym charakterze teatr miał trudności m.in. ze znalezieniem gotowej na eksperyment szkoły, a tym samym widzów.

Zabawny był moment, w którym uświadomiłam sobie, że – nie licząc Warszawy – Wiedeń jest tym miastem, które znam najlepiej, w którym mieszkałam osiem miesięcy. Myślałam o tym w dniu, kiedy nastąpił przełom, a więc w dniu, w którym przestałam nagle czuć się obco, a przeciwnie – uświadomiłam sobie, że lubię coraz mocniej to miasto, z jego mrocznymi zaniedbanymi uliczkami wokół luksusowej Körtnerstrasse, z jego Stadtparkiem, gdzie wieczorem można tańczyć walce przy muzyce Straussa bądź też wybrać tańce w dyskotecce. Uświadomiłam sobie to moje przywiązanie do pięknych kamienic secesyjnych Wiednia, do spokoju i dystygowanych manier jego mieszkańców, właśnie gdy dla kontrastu wróciłam z uroczystości, na których tańczono kurdyjskie tańce, wprowadzające swym miarowym niemal sennym rytmem w rodzaj transu.

W oczach Persów i innych przybyszów ze Wschodu kultura europejska jest zatrwająco niska. Zwłaszcza budzi ich pogardę stosunek do ludzi starych, oddawanie w Europie rodziców do przytułku i brak uwagi i pokory w obcowaniu ze starszymi. Na pytanie, dlaczego osiedlili się właśnie w Wiedniu, odpowiadają, że jedynie tu, tzn. w państwie, które niegdyś było wielonarodowe, obcokrajowiec może nie czuć się obywatelem niższej kategorii. Bowiem próżno by szukać tak wylewnego stosunku do obcokrajowców, jaki cechuje nas, Polaków. Persowie, Grecy, Szwedzi czy Amerykanie mieszkający w Austrii szukają raczej wzajemnie kontaktów ze sobą, a nie z Austriakami. Odrębną całkowicie grupę stanowią gastarbeiterzy. Kilkakrotnie dzielono się ze mną w tramwaju krytycznymi uwagami na temat jugosłowiańskich czy tureckich robotników. Musiałam przyznać raz tylko słusność tej pani, którą drażniło blisko półgodzinne dłubanie w zębach tą samą wykałaczką przez całą rodzinę jadącą tramwajem.

Polski język rozbrzmiewa – ze strony kelnerek – w cieszącym się złą sławą lokalu przy ulicy Weihburggasse – „Kaiserbrund”, gdzie poza zjedzeniem naleśników oblewanych czekoladą i śmietanką oraz nadziewanych bananami (a la Franz Joseph) panowie mogą wypocząć w saunie. Usłyszałam też ojczystą mowę w słynnym „Maximie” wiedeńskim. Japońska striptizerka zaklęła nagle siarczyście po polsku i żałowałam, że ten efekt był niedostępny austriackiej publiczności. Ale – nie licząc osób mi towarzyszących – Austriaków w „Maximie” nie było. Nie było też i turystów. W rezultacie dwugodzinny program był adresowany jedynie do naszego stolika!

Pełni rezerwy wiedeńczycy różnią się znacznie od gościnnych i spontanicznych Tyrolczyków. Nawet napływowi Austriacy, którzy w Wiedniu osiedlili się niedawno, narzekają na izolacjonizm wiedeńczyków, na ich samotniczy model życia. Zdarzenie, które nastąpiło w dniu mego ostatniego wykładu w uniwersytecie wiedeńskim, nie mogłoby raczej,

jak sędę, nastąpić w środowisku rdzennych mieszkańców Wiednia. Otóż wracając wieczorem do wynajmowanego przez siebie mieszkania, zastałam na schodach siedzącą studentkę. Nim zdążyłam opanować zaskoczenie, zostałam pocałowana w rękę w podziękę za przewrót w światopoglądzie i w charakterze, który miałam spowodować moimi wykładami i oddziaływaniem. Studentka opowiedziała mi zawiłą historię swego życia i pożegnała się, mówiąc na zakończenie, nie bez racji, iż wysłuchanie jej należy do mych obowiązków z tytułu działalności w Ośrodku Higieny Psychiczej. Osobiście odczułam wtedy nieco głębszy sens mojej działalności, nie zawężony jedynie do pracy intelektualnej.

Pierwszoplanową postacią świata intelektualnego Wiednia jest prof. Erich Heintel, dyrektor Instytutu Filozoficznego. Podziwiać można nie tylko jego umysł, ale i jego osobowość, jego siły witalne i wszechstronność zainteresowań. Zgodnie ze swym programem filozoficznym nawiązuje on ściśle do tradycji filozoficznej i do historii człowieka, bo jego zdaniem refleksja filozoficzna powinna mieć praktyczne konsekwencje. Stąd też urządza on, na przykład, co roku (w miejscowości Zwettl) konferencje poświęcone etyce, na które, zresztą, zaprasza także filozofów z krajów socjalistycznych. Idzie mu przede wszystkim o znalezienie wspólnego języka, o porozumienie się ludzi różnych orientacji i tradycji. On sformułował też projekt filozoficznego leksykonu europejskiej tradycji, aby terminologię wielkich filozofów, od Platona do Hegla, uczynić przekładalną. Ceniąc filozofię, jako siłę wychowawczą, jako filozofię doświadczenia, szuka tedy elementów pozytywnych nawet w tych systemach, które krytykuje.

Ten rys postawy odnajduje się, zresztą, nie tylko u owego profesora filozofii. Jest on bodaj wspólny większości żyjących tu ludzi, od których można się też uczyć jego praktycznego kultywowania.

Takt

Kpiny z „Kindersztuby”, traktowanie dobrego wychowania jako reliktu minionej epoki, wymagają co najmniej przemyślenia w zetknięciu z tymi objawami międzyludzkich relacji, które są niemożliwe dalej do tolerowania. Ordynarność, agresja, złość, wrogość – oto, co nas spotyka zbyt często ze strony innych, w tym przypadkowych osób spotykanych na ulicy, w autobusie czy w sklepie.

Takie objawy nasilają się szczególnie w dużych miastach, gdzie większość napływowej ludności czuje się źle, obco i nie umie się odnaleźć w nieznanej sobie wielkomiejskości, która przyciąga mirażami. To, co hamowała dawniej presja obyczajowa i nacisk znanego sobie środowiska, staje się tu, w tym nowym otoczeniu, nagle dozwolone z racji anonimowości, która do niczego nie zobowiązuje.

Czy ludzie byli dawniej lepsi? Zapewne nie. Ale niewątpliwie bardziej taktowni. Nie żyli w stanie nieustannego pośpiechu, który nie pozwala na uważne przestrzeganie elementarnych form międzyludzkich. Zastanawiali się, jak inni reagują na ich gesty i słowa. Często prowadzące do obłudy drobnomieszczańskiej pytanie „co on czy ona sobie o mnie pomyśli?” miało jednak również pewien sens dodatni.

Ta sama, godna zawsze potępienia, wrogość człowieka do człowieka staje się łatwiejsza na co dzień do przetrwania, gdy hamują ją i pokrywają pewne, ustalone w danej społeczności, grzecznościowe formy stosunków międzyludzkich. Istnienie staje się najeżone strachem, jeśli w każdej chwili, zewsząd, bez wyraźnego powodu oczekiwać musimy grubiaństwa czy przejawów złego wychowania. Każdemu z nas potrzebna jest życzliwość innych, w tym tych, zupełnie nieznanym, z którymi przypadkowo się stykamy. Smutne, że na nieżyczliwość i wrogość obecnie nawet nie trzeba „zapracować”. Zachowujemy się jak szczury, które w nadmiernym zagęszczeniu zaczynają się zagryzać.

Znam usiłowania grafologów, aby przez zmianę charakteru pisma zreformować pewne

cechy psychiczne piszących. I podobnie – ponieważ tak bardzo trudno zmienić nastawienie wewnętrzne jednostek – przynajmniej zachowujmy się wobec siebie taktownie i zgodnie z przyjętymi zwyczajami dobrego wychowania. Może, umacniając te objawy, doprowadzimy też z czasem i do zmian w istotniejszym wymiarze.

Zapewne, brak jest obecnie wzorów, bowiem nie ma grupy społecznej, która byłaby otoczona nimbem i skłaniała do naśladowania. Przedmiotem satyrycznych żartów oraz lekceważenia stają się również uczeni, którzy dawniej mieli autorytet w społeczeństwie. Dają jako przykład tę warstwę, nie wnikając w przyczyny, dla której przestała mieć jakikolwiek prestiż.

Dawniej rolę wzorów pełniły, na przykład, dwory czy zaścianki. Obecnie w atmosferze powszechnego braku szacunku nie ma się gdzie uczyć zachowania taktownego. Problem się zaostrzył, ponieważ ludzie wykształceni coraz częściej odznaczają się niską osobistą kulturą. A więc taktowni częściej bywają ci, bez dyplomów, pozostający w swoim naturalnym środowisku, a nie ci, „nobilitowani”, przez upragnione dyplomy.

Szerzą się fatalne drobnomieszczańskie obyczaje. Wytwarzają one nakazy w rodzaju zdejmowania butów przez przybyłych do domu gości, co nie jest w Europie uznane za przejaw dobrego smaku czy stylu. Podłoga staje się wartością nadrzędną w stosunku do całości stroju; pantofle powinny wszak stanowić część pewnej kompozycji. Szerzy się też zwyczaj zapraszania gości tylko z okazji świąt czy innych szczególnych uroczystości rodzinnych. Potrzeby życia towarzyskiego w sposób mniej czy więcej świadomy zaspokajają się w miejscu pracy. Odzwyczajając się od kontaktów towarzyskich, nie mamy możliwości ćwiczyć się w reakcjach taktownych.

Obecnie najsilniej na wyobraźnię tłumu oddziałują aktorzy, a zwłaszcza piosenkarze, ale stąd nie płynie nauka taktownego odnoszenia się do innego człowieka. Ze słów piosenek można się nauczyć pewnej brutalności.

Odnoszenie się taktowne do innego człowieka to wyraz człowieczeństwa i zarazem szacunek dla cudzej integralności. To respekt dla nosiciela innych cech indywidualnych niż te, które ja posiadam. Odnoszenie się taktowne wyraża lęk, by nie urazić kogoś, nie naruszyć jego sfery intymności i prywatności, która przysługuje każdemu. To innymi słowy respekt dla tego, co obecnie określa się częściej mianem godności niż honoru.

Trudne czasy wymagają więcej taktu w stosunkach międzyludzkich. Łatwiej wtedy przetrwać. Myślę, że taktu można się nauczyć, o ile dysponuje się wrażliwością i wyobraźnią. Wystarczy wszak postępować wobec innych tak, jak pragnęlibyśmy sami przez nich być traktowani. Wystarczy przezwyciężyć wygodnictwo i postawić siebie w sytuacji drugiego

człowieka. Wypowiadane wtedy słowa, jak również czyny i gesty będą taktowne. I nie ma to nic wspólnego ani z obłudą, ani ze strasznym mieszczaństwem, które niezrównanie zwalczała Zapolska. To nie zakłamanie, lecz troska o to, by nie wyrządzić komuś niepotrzebnej bądź nadmiernej przykrości powinna zmuszać nas, by dobierać właściwe słowa.

Człowiek taktowny to ten, który jest zdolny wczuć się w położenie innego. Odczytać jego fobie, niepokoje, urazy i nie potęgować w nim negatywnych przeżyć nierozważnym gestem czy słowem. Niestety w dzisiejszych czasach zachowanie taktowne bywa odczytywane w najlepszym razie jako anachroniczne. Najczęściej jest uznawane za dziwaczne, śmieszne, a nawet podejrzone.

Bezceremonialność nowej inteligencji, często pozbawionej osobistej kultury i wrażliwości, stanowi zaprzeczenie postawy człowieka taktownego.

Ośmieszany dzisiaj typ człowieka – estety miał również i tę zaletę, że wiadomo było, jak się zachowa. Wytwarza się poczucie bezpieczeństwa, gdy z góry można wykluczyć obawę przed niewłaściwymi reakcjami bliźnich.

Człowiek taktowny, powiedzą niektórzy, to istota fałszywa kierująca się tym, co wypada, co należy, co dobrze widziane i aprobowane w obyczajowości danego kraju w określonej epoce. Ale zastanówmy się, czy szczerością można określić tę spotykaną często agresję, bezceremonialność, grubiaństwo i ordynarność? Nie można zapominać, że na prawdę w stosunkach międzyludzkich, a więc na otwartość i szczerotę trudno się zdobyć. Wymaga odwagi wewnętrznej. Zobowiązuje do niej kategorycznie związek przyjaźni. I nie jest ona przeciwstawieniem tego, co określamy mianem taktu.

Takt dotyczy bardziej formy, niż treści stosunków międzyludzkich i wszelkie rozmowy istotne – często wszak niemiłe czy trudne dla interlokutorów – mogą być zarazem taktowne. Dążenie do zachowań taktownych nie powinno prowadzić do nadmiernej mimikry, do trwożliwego zatajania własnego ja i dostosowania się do otoczenia.

Być człowiekiem taktownym może ten, kto podlega własnym procesom edukacyjnym. Wszak nieczułość, ospałość, gnuśność – by wymienić te przykłady – bywa. Odnoszenie się taktowne do innego człowieka to wyraz człowieczeństwa i zarazem szacunek dla cudzej integralności. To respekt dla nosiciela innych cech indywidualnych niż te, które ja posiadam. Odnoszenie się taktowne wyraża lęk, by nie urazić kogoś, nie naruszyć jego sfery intymności i prywatności, która przysługuje każdemu. To innymi słowy respekt dla tego, co obecnie określa się częściej mianem godności niż honoru.

Trudne czasy wymagają więcej taktu w stosunkach międzyludzkich. Łatwiej wtedy przetrwać. Myślę, że taktu można się nauczyć, o ile dysponuje się wrażliwością i wyobraźnią.

Wystarczy wszak postępować wobec innych tak, jak pragnęlibyśmy sami przez nich być traktowani. Wystarczy przezwyciężyć wygodnictwo i postawić siebie w sytuacji drugiego człowieka. Wypowiadane wtedy słowa, jak również czyny i gesty będą taktowne. I nie ma to nic wspólnego ani z obłudą, ani ze strasznym mieszczaństwem, które niezrównanie zwalczała Zapolska. To nie zakłamanie, lecz troska o to, by nie wyrządzić komuś niepotrzebnej bądź nadmiernej przykrości powinna zmuszać nas, by dobierać właściwe słowa.

Człowiek taktowny to ten, który jest zdolny wczuć się w położenie innego. Odczytać jego fobie, niepokoje, urazy i nie potęgować w nim negatywnych przeżyć nierozważnym gestem czy słowem. Niestety w dzisiejszych czasach zachowanie taktowne bywa odczytywane w najlepszym razie jako anachroniczne. Najczęściej jest uznawane za dziwaczne, śmieszne, a nawet podejrzone.

Bezceremonialność nowej inteligencji, często pozbawionej osobistej kultury i wrażliwości, stanowi zaprzeczenie postawy człowieka taktownego.

Ośmieszany dzisiaj typ człowieka – estety miał również i tę zaletę, że wiadomo było, jak się zachowa. Wytwarza się poczucie bezpieczeństwa, gdy z góry można wykluczyć obawę przed niewłaściwymi reakcjami bliźnich.

Człowiek taktowny, powiedzą niektórzy, to istota fałszywa kierująca się tym, co wypada, co należy, co dobrze widziane i aprobowane w obyczajowości danego kraju w określonej epoce. Ale zastanówmy się, czy szczerością można określić tę spotykaną często agresję, bezceremonialność, grubiaństwo i ordynarność? Nie można zapominać, że na prawdę w stosunkach międzyludzkich, a więc na otwartość i szczerłość trudno się zdobyć. Wymaga odwagi wewnętrznej. Zobowiązuje do niej kategorycznie związek przyjaźni. I nie jest ona przeciwstawieniem tego, co określamy mianem taktu.

Takt dotyczy bardziej formy, niż treści stosunków międzyludzkich i wszelkie rozmowy istotne – często wszak niemiłe czy trudne dla interlokutorów – mogą być zarazem taktowne. Dążenie do zachowań taktownych nie powinno prowadzić do nadmiernej mimikry, do trwożliwego zatajania własnego ja i dostosowania się do otoczenia.

Być człowiekiem taktownym może ten, kto podlega własnym procesom edukacyjnym. Wszak nieczułość, ospałość, gnuśność – by wymienić te przykłady – bywa w wielu sytuacjach czymś nietaktownym. Wygodniej więc istnieć jednostkom pozbawionym taktu. Ale czy wygoda, bądź dążenie do niej, jest wartością godną uznawania i naśladowania?

Niepokój

Często towarzyszy nam stan niepokoju wewnętrznego, który nie zawsze ma źródło w zewnętrznych okolicznościach. Pragnęlibyśmy się go pozbywać. Staramy się przynajmniej tłumić ten stan. Udajemy przed sobą, że nie dosięga nas niepokój. Udajemy, że wszystko w naszym życiu przebiega prawidłowo. Wolimy nie zagłębiać się we własne ja.

Niepokój ma wiele przejawów. Napięcie w czasie spotkania z kimś, kogo się ceni, wynikające z niepewności, czy zyskamy aprobatę, bądź też, na przykład, niepokój wynikający z braku zaufania we własne siły, czy chęci rozpoczęcia życia na nowo, z dala od dotychczasowych uwikłań.

Z różnymi postaciami niepokoju mamy do czynienia na co dzień. Jako przykłady zdarzające się od czasu do czasu każdemu można wymienić sny czy stan związany z koniecznością przeprowadzenia jakiejś rozmowy, od której zależą nasze istotne sprawy.

Uczucie niepokoju przejawia się na rozmaitych poziomach życia wewnętrznego. Bywa elementem przyspieszającym nasze działania, o ile potrafimy przetworzyć go w sobie. Niepokój o los świata czy zaniepokojenie świadomością własnych ograniczeń prowadzą zazwyczaj do rozwoju wewnętrznego. Inny charakter ma niepokój dotyczący sfery życia materialnego czy utraty pozycji w hierarchii społecznej.

Dręczą nas niepokoje, których można się pozbyć. Dają się one wyrazić słowami: co pomyślą o mnie otaczający ludzie? Ten typ niepokoju prowokuje, by nie wyłamywać się z obowiązujących w danym otoczeniu poglądów i sposobów istnienia. Presja obyczajowa wywołuje nieraz dokuczliwe poczucie winy oraz niepokoju. Niejeden rezygnuje z wyborów, których pragnąłby dokonać, ażeby tylko zadowolić swoje otoczenie. Ja się temu na szczęście nie poddawałam.

Niepokoimy się również, gdy jesteśmy zadowoleni z życia. Bywa, że ten radosny czas zostaje zaciemniony przez niepokój utraty tego, co czyni nas szczęśliwymi. Każdy przeżywa

swój własny rodzaj niepokoju. Wiąże się on z poczuciem odpowiedzialności wobec siebie i innych ludzi. Najbardziej dręczy mnie niepokój w chwilach szczęścia, bo czuję ich ulotność, z którą się nie godzę.

Musimy wciąż dokonywać wyborów. Stajemy wobec rozmaitych możliwości i opowiadając się za jednym z rozwiązań, powinniśmy tworzyć zarazem swój wzór postępowania. Powinniśmy zastanawiać się, czy postępujemy zgodnie z wewnętrznym nakazem słuszności i czy słuszne byłoby, ażeby wszyscy w podobnej sytuacji tak postępowali jak zadecydowaliśmy? W tym niepokoju zawiera się poczucie osamotnienia, bo są wybory, w których nikt nie może nam pomóc.

Twórców dręczy niepokój, czy to, co powołują do istnienia ujrzy światło dzienne, a następnie zostanie docenione. Ma on obiektywne uzasadnienie, bowiem historia dziejów kultury zna wiele wypadków doceniania dopiero po śmierci, a krytyki wobec żywych są i były na ogół nietolerancyjne. Na przykład, Brzozowski nie uznawał pisarstwa Weysenhoffa, ten ostatni Wyspiańskiego, Jorge Luis Borges i Gombrowicz wzajemnie się nie znosili. Śmierć uwalnia od niepokoju. Odnosi się to nie tylko do twórców.

W czasie wigilii zwykliśmy zostawiać, zgodnie z naszą tradycją, miejsce przy stole dla Nieznajomego. Ta wzruszająca postawa otwartości i życzliwości wobec tego, kto może nadejść w tym niecodziennym czasie, wieczorem, nie ma jednakże głębiej ugruntowanej podstawy. Nasz charakter narodowy na co dzień przejawia się, niestety, w niechęci do uznawania wartości i talentów współrodaków, którzy często muszą poszukiwać uznania u obcych, by dostrzeżono ich w ojczyźnie lub w regionie. Wywołuje to wzmożony stan niepokoju twórców. Można by wymienić wiele nazwisk śpiewaków operowych, tancerzy, uczonych, pisarzy i przedstawicieli innych rodzajów twórczości, którzy nie mogli znaleźć aprobaty u „swoich”.

Jesteśmy świadomi wielu niepokojących zjawisk, leżących w sferze zewnętrznej, które, zdawałoby się, można by usunąć z naszej planety, zwłaszcza że niemal wszyscy są im przeciwni. A jednak uparcie towarzyszą ludzkości. Tak jest z obojętnością, a nawet okrucieństwem wobec ludzi sędziwych. Zagadnienie to dotyczy ukrytego niepokoju każdego z nas. Warto wzmóc ten niepokój na tyle, aby poruszył miłość własną każdego z nas i w rezultacie wzmógł działania. Tylko poprzez niepokój i pobudzone przez niego wyobrażenie naszego losu w przyszłości możemy doprowadzić do zmiany w podejściu do starszego pokolenia.

Tkwią w nas pewne obyczaje praocjów, jakkolwiek w uszlachetnionej postaci. Nieczynienie im zadość rodzi poczucie winy i głęboki niepokój. Wracam często myślą do

przykładu uznanego za drażliwy. W 1972 roku samolot lecący nad Andami uległ katastrofie. Kilkunastu pasażerów ocalało. Utrzymali się przy życiu tylko dzięki temu, że zjadali ciała martwych towarzyszy podróży. Żyją oni obecnie pod brzemieniem tego zdarzenia. Nie odzyskali wewnętrznego spokoju. Sprawa jest głośna. Nakręcony został film fabularny o tamtych dniach w Andach. Opinia publiczna wywiera ciśnienie, które niepokojem odbija się na ich psychice i kolejach życia. A czyż my – bywa – nie „zjadamy” się nawzajem?

Niepokój ma stałe źródło w nieszczerości, w braku zgodności między tym, co czynimy, a tym, czego pragnie nasza natura. Musimy wszak nieustannie przystosowywać się do otoczenia, a w tym do obyczajów. Są pewne treści, które musimy w sobie tłumić. W rezultacie traktujemy innych jako negatyw siebie samego; przypisujemy im, na przykład, te motywy czy popędy, którymi w gruncie rzeczy sami pragnęlibyśmy się kierować, bądź kierujemy się nie zdając sobie w pełni z tego sprawy. Właściwa nam jest tendencja do nadawania bardziej wzniosłych pobudek swym działaniom niż te faktyczne. Być może ta projekcja niepożądanych u siebie cech na inne osoby zmniejsza wewnętrzny niepokój i pozwala na zwiększone poczucie własnej wartości? Ta postawa jest mi obca, ale drażni mnie jej nagminność. Najgłębszym dręczącym mnie niepokojem jest lęk przed osamotnieniem. Również tym fizycznym; nie umiałabym mieszkać sama.

Tkliwość

Nie umiemy wyrażać uczuć. Nikt nas tego nie uczy. A panujący styl nakazuje szorstkość i nie przyznawanie się nie tylko do uczuć, ale i do odczuć. Modna w sposobie bycia stała się nonszalancja. Określano nas kiedyś jako Francuzów Północy, a dziś nawet i ta powierzchowność wyrazu zanika. Obecnie, nawet wysyłając życzenia, nie nadajemy im zindywidualizowanej treści lecz posługujemy się chętnie gotowymi, ponumerowanymi tekstami telegramów. „Iluż profesorów chwyta za podręcznik z wzorami – nie matematycznymi czy fizycznymi kiedy chcą napisać list miłosny, bo nie mają pojęcia, jak się «wyznaje miłość»” (J. Jacobi, *Zamaskowanie*, przeł. Cz. Tarnogórski). Tak jest w Szwajcarii – u nas trudno o podręcznik w ogóle, a co dopiero z takimi wzorami!

Gotowe wzory spotyka się przede wszystkim w liturgii; obrządek religijny określa sposób wyrażania uczuć wraz z ich treścią. Formuły określające to, że przyjemnie mi, czuję się zaszczycony i wiele innych – spotykamy w dość rygorystycznie ustalonym brzmieniu w dyplomacji. Bywają to – w obu dziedzinach – często formy puste, za którymi nie kryje się poruszenie uczuciowe stosujących te formy.

Na co dzień pozytywne stany uczuciowe i odczuciowe określa się jako „fajny”. Stosuje się to określenie do zdarzeń, ludzi, sytuacji i przeżyć. Uniwersalnie. W pośpiechu, w którym niepotrzebnie żyjemy, łatwiej tak nazywać wszelkie stany, które przeżywamy jako przyjemne niż szukać właściwych precyzyjnych nazw. Wygodnictwo też nie zachęca do zastanawiania się nad tym, co właściwie przeżywamy. I powoli ubożejemy wewnątrz.

Właśnie w rozmowie, w klubie „U Sołtyków”, w Kielcach Zbyszek Nosal zwrócił moją uwagę na to, że niektóre stany psychiczne stają się wręcz zapomniane, a należy do nich między innymi tkliwość. Rozmowa ta skłoniła mnie, by napisać te stronic.

Tkliwość to wzruszenie wywołane obecnością kogoś nam bliskiego. Wiąże się ze świadomością znaczenia tej osoby w naszym życiu. Tkliwość może wywołać matka, siostra,

żona, dziecko, stryjenka, przyjaciel, a więc ktoś, z kim już pozostajemy w związku psychicznym. Trudno wyobrazić sobie, by ten stan mógł wyzwolić nieznanego człowieka; może on wzbudzić współczucie, może zaciekawić czy wywołać chęć pomocy, może nawet wzbudzić jakieś mocne uczucia – ale nie tkliwość.

Więc psychiczna jest, jak mi się wydaje, warunkiem stanu tkliwości; tej swoistej, głębszej odmiany czułości jako wyrazu poruszenia kimś. Tkliwość to zarazem myślowo-uczuciowe przeniknięcie sytuacji tego człowieka i zarazem jej rozumienie. To coś więcej, niż tylko współodczuwanie i współpójmowanie. Tkliwość wiąże się z gestem; uściśnięciem ręki, tkliwym pocałunkiem, pogłaskaniem po głowie, intonacją głosu czy wymownym spojrzeniem. Są to znaki porozumienia bardziej wyraziste niż same słowa, które tak często banalizują i upraszczają stany emocjonalne, jakie pragniemy wyrazić.

Tkliwość to coś więcej, niż przejawy sympatii do jakiegoś człowieka. Wiąże się z wniknięciem w świat wewnętrzny i to na miarę innego, nie zaś naszą własną. To moment odejścia od zwykłej nam postawy oceniającej. Z tkliwością wiąże się zdolność postawienia siebie w sytuacji drugiego, a co za tym idzie – emocjonalnego odebrania jego odczuć. A więc przezwycięża ona stany osamotnienia i pozwala wzbogacić się o sposób odczuwania innego człowieka. Jest to kontakt wzbogacony o całą pozasłowność.

Tkliwość pozwala przekroczyć stan zaabsorbowania samym sobą. Na przeszkodzie tkliwości często staje wstyd, który nie przyzwala nam na gesty tkliwe wobec innego. Boimy się siebie, swojej zależności od innych i przełamania siebie w innym. Pytanie, co o nas ktoś pomyśli lub lęk, czy nie naruszymy czyjejś autonomii działa na nas hamująco. W rezultacie wygodniej nam i bezpieczniej tkliwością obdarzać zwierzęta domowe, fotografie bliskich czy nawet maskotki.

Wstydzimy się uczuć. Staramy się zgodnie z duchem epoki być rozumni, opanowani, chłodni, nieczuli i pozbawieni tkliwości – rzekomo odsłaniającej naszą słabość. Rzeczowość, której hołdujemy, podpowiada nam, by nie przysparzać innym cierpień. I to ma wystarczać. Przeżycia uczuciowe uznawane są za dziecinadę. Udajemy dorosłych zapominając, że „dzieckiem podszyty” jest człowiek właśnie wartościowy, rozwijający się wewnętrznie.

Czułość – przejaw częściej spotykany od tkliwości – nie wiąże się z taką dużą dozą rozumienia innego człowieka, co tkliwość. I nie wymaga uzewnętrznienia – istotnego elementu tkliwości. Czułość można maskować pozorami chłodu czy obojętności bądź żartobliwości, a nawet rubaszości. Z tkliwością jest inaczej, bowiem nie wyjawiona – ginie.

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że tkliwość jest odległa od sfery seksualnej, choć silnie związana z zainteresowaniem innym człowiekiem. Raczej można by ją określić jako wyższy

stopień serdeczności czy, ściślej, empatii. Tkliwość jest stanem podniosłym, do którego nie są zdolne osoby kalekie, to znaczy rozwinięte intelektualnie, lecz odznaczające się niskim poziomem reakcji uczuciowych.

W uproszczonym świecie, w którym na ogół egzystujemy, nie ma miejsca na tkliwość. Wymaga ona skupienia, ciszy, zamyślenia, wyjścia poza siebie, wniknięcia w innego. Dobrzy, życzliwi możemy i powinniśmy być również i dla osób nam obcych, a nawet niesympatycznych. Inaczej z tkliwością, która wymaga zaistnienia fundamentów. Czesław Znamierowski sformułował postulat życzliwości powszechnej i domagał się jej spełniania w społeczeństwie. Analogiczny postulat powszechności nie miałby sensu, gdy chodzi o tkliwość, ponieważ jest ona wybiórcza, kieruje się jedynie do niektórych z naszego najbliższego kręgu i to jedynie w pewnych momentach. Nie jest stanem istniejącym trwale. Wywołana – uzewnętrznia się.

Ciekawostką może być tutaj sprawa odpowiednika pejoratywnego. Miłość – ale miłośćka, czułość – ale czułośćkowość. Tkliwość też nie panuje niepodzielnie w jednym jedynym znaczeniu pozytywnym. Roztkliwianie się jest stanem wprawdzie przesadnym, ale nie stanowiącym zaprzeczenia tkliwości. Dochodzi w nim do głosu uwielbienie dla swojej własnej tkliwości.

Utarło się, że tkliwość jest – jak i w ogóle uczuciowość – czymś, co przystoi jedynie kobietom. Mnie się wydaje, że jest to cecha niezbędna każdemu pełnemu człowiekowi, a więc i mężczyźnie. Nie inaczej wszak odnoszą się oni, na przykład, do hodowanych przez siebie psów.

Salony

Salon, słownikowo, to reprezentacyjne pomieszczenie przeznaczone głównie do przyjmowania gości. Toczyło się w nim życie towarzyskie. Odbywały się – jeśli był to salon literacki – spotkania połączone z dyskusjami, z czytaniem, na przykład, nie publikowanych utworów, z kameralnymi koncertami najczęściej uczestników spotkań, a bywało, nawet, z amatorskimi przedstawieniami. Salony literackie, by wymienić tu przykładowo salon pani Kalergis czy Deotymy, odgrywały istotną rolę kulturotwórczą, a nawet polityczną. Nie mówiło się w salonie o pieniądzach, o interesach, a zwłaszcza o kłopotach zawodowych i osobistych. Była to forma spotkania ludzi nie pozbawiona znamion odświętności. Nawet zubożały szlachcic, przenosząc się do niewygodnego niedużego mieszkania w mieście, jeden pokój ozdabiał portretami przodków, wieszał kilim, starą karabelę i przyjmował w nim gości.

O tym, że tradycja zespała nas, ludzi dzisiejszych, z dawnymi pokoleniami – wiemy aż nadto dobrze. Ale wciąż w niedostatecznej mierze czerpiemy wzory z czasów, które minęły. Dobre wzory. Do nich zaliczam tradycje życia towarzyskiego warstwy szlacheckiej. Inteligencja, która zaczyna ugruntowywać swoje tradycje inteligenckie, na ogół wybiera dzisiaj wzory i wartości drobnomieszczańskie. Stąd urywają się pewne, warte kultywowania, tradycje, których ostoją pozostają dzisiaj nieliczne domy oraz seminarium duchowne.

Trzeba pamiętać o tym, że chociaż inteligencja stanowi warstwę mniej liczną niż pozostałe, to jednak najbardziej kulturotwórczą. Tworzy wartości, narzuca postawy, sposób myślenia, oceny. Przepaść między starą i nową inteligencją jest w pewnych regionach kraju szczególnie widoczna. Na przykład w Kielcach, czemu dałam wyraz w „Przemianach” (9/1984), w dyskusji redakcyjnej. To, co piszę o potrzebie kultywowania pewnych obyczajów nie wiąże się z deprecjonowaniem innych grup społecznych. Zresztą inteligencja nie stanowi u nas zamkniętej grupy i nieustannie jest zasilana przez tych, którzy pochodzą z rodzin robotniczych, chłopskich czy rzemieślniczych.

W czasach, gdy wielu zamyka się w wąskich ramach swojego domu – odrodzenie życia towarzyskiego, mimo braków mieszkaniowych i trudności materialnych, pozwoliłoby tę izolację przełamywać. Nawołuję do powrotu do salonów pojmowanych jako pewien symbol. Obecnie tworzą się niezdrowo i sztucznie wyizolowane społeczności zawodowe. Obracamy się głównie wśród ludzi poznanych w miejscu pracy i tam tworzy się surogat życia towarzyskiego.

Po drugiej wojnie światowej żyjemy zamknięci w bardzo wąskich kręgach rodzinnych. Zamarły spotkania towarzyskie. Życie sprowadza się do gonitwy wokół szarych, choć bardzo ważnych spraw. Kłopoty dnia codziennego bez reszty pochłaniają naszą uwagę i czas. Obserwuje się wszędzie, również wśród inteligencji niezależnie od jej pochodzenia, nieżyczliwość, a nawet wrogość w stosunku do innych. Jeśli nie wskresimy dobrych tradycji życia towarzyskiego, zespalających osoby różnych zawodów i zainteresowań, *notabene*, niewiele mających wspólnego z drobnomieszczańsko obchodzonymi imieninami czy świętami, to zagubimy w sobie pewne istotne właściwości.

Powinniśmy się spotykać nie po to, by mówić o kłopotach, o zakupach, o wzroście cen, lecz po to, by skierować uwagę w stronę wyższego kręgu zainteresowań i wartości, które decydują o naszym człowieczeństwie. Trzeba to czynić właśnie teraz, gdy odczuwamy niedostatki dnia codziennego. Przecież tradycję można modyfikować, a nawet trzeba, bo gdzie szukać obecnie przestronnych salonów i wykwintnego jedzenia? Idzie wszak o kontynuację istoty tradycji, a nie drugorzędnych, aczkolwiek pięknych w formie, jej przejawów.

Znam dom w Warszawie, małe jednopokojowe mieszkanie zajmowane przez małżeństwo z małym dzieckiem. W każdy piątek przekształca się ono w salon, to znaczy w miejsce spotkań tych, którzy mają potrzeby dyskusji intelektualnych. Połowę niedużego pokoju zajmuje fortepian, na którym koncertuje pan domu, nierzadko zapraszając grających na innych instrumentach. I nieważne, czy ktoś z obecnych jest zamożny, nieważne, z jakiej pochodzi warstwy i jaki osiągnął stopień naukowy. Do dyskusji wnosił swego czasu wiele jeden z gości – z zawodu rzemieślnik. Przychodzili ci, którzy poszukiwali rzeczywistych wartości i pragnęli odetchnąć atmosferą wspólnoty oraz czegoś mniej powszedniego. Znałam też sędziwą aktorkę, która niewielkie mieszkanie przekształcała raz w tygodniu, w czwartek, na salon gromadzący interesujących ludzi. Zofia Krauzowa w książce *Rzeki mojego życia* wspomina dwupokojowe mieszkanie na poddaszu swej córki i zięcia, Bolesława Micińskiego, które gromadziło m.in. Witkacego, Gałczyńskiego, Andrzejewskiego, Gombrowicza, Parnickiego, Żóławskiego.

Salon, spotkania w nim – to nie ten typ rozrywki, który przynosi zapomnienie i ucieczkę od siebie. To raczej zmiana punktu obserwacyjnego. Możliwość spojrzenia na siebie poprzez innych, tam spotkanych. Salon – określając takim symbolem życie towarzyskie – może uwalniać od fałszywych miar oceny człowieka przyjętych w społeczeństwie; może w nim bowiem nie być miejsca na wartościowanie stosowne do zamożności, stanu konta czy tytułu.

Życie towarzyskie jest koniecznym warunkiem nie odczuwania osamotnienia i poszerzenia własnego widzenia świata przez katalizujący wpływ innych. Jest ono potrzebne również dlatego, bo rozładowuje stany agresji, które nosimy w sobie. I tej potrzeby nie niwelują mankamenty, którym dał wyraz w swoich rozważaniach filozoficznych Karol Ludwik Koniński: „Kiedy przypominam sobie życie towarzyskie, zdaję sobie sprawę, jak ono podszyte naturalną sprawiedliwością – niesprawiedliwością: Wszędzie jest selekcja, wszędzie mocni idą na wierzch, słabi na dno; w gwarnym zebraniu towarzyskim, gdzie jest więcej osób, zawsze ktoś się nudzi; zawsze znajdzie się ktoś, co skrobie pietruszkę, ktoś, kto się stroił na wieczór i cieszył się, że się zabawi, a okazał się niepotrzebny; ktoś nieśmiały, niedowcipny, nie zajmujący, nieładny, postarzały, gorzej ubrany, ktoś, na kim się nie poznali”.

Spotkaniom, o których mowa, zaszkodziłoby zapewne ograniczenie do kręgu zawodowego. Cóż bowiem czynić z obawą o opinię we wspólnym miejscu pracy? Bez znaczenia natomiast jest to, co postawi się na stole, mogą to być kartofle z masłem, bo chodzi o wspólny temat, o zaspokojenie tłumionej często czy nieuświadomianej potrzeby wspólnoty, która w nas drzemie. Nie mniej ważne jest czynienie zadość potrzebie zabawy, którą na ogół dławimy w sobie, bądź dajemy jej opaczny wyraz. Ale najczęściej zapominamy, że będąc dorosłymi wcale nie musimy być dostojni. Wkładamy siebie w niepotrzebnie za ciasne uniformy.

W dawnej kulturze polskiej dużą rolę odgrywało życie towarzyskie. Wydaje się, że mogłoby ono w naszych warunkach miejsca i czasu zostać wzmożone. Tworzyłyby się więzi autentyczne, pozbawione motywu interesowności. Nie bardzo wierzę w ciągle utyskiwanie na brak czasu. W gruncie rzeczy nie ma się czasu na to, na co nie chce się go mieć! Ustawiczny pośpiech nie jest konieczny. W gonitwie po dobra materialne wpada się często w rodzaje jakby stanu narkotycznego. Przy czym ta pogoń nie ma kresu. Ci, którzy zdobyli upragnione przedmioty nie mają czasu cieszyć się nimi, bowiem dążą do następnych. Lepiej zrezygnować z części tego ustawicznego pośpiechu po to, by zyskać moment refleksji nad sobą, nad innymi, nad życiem. Nie wiemy, jacy jesteśmy, jeśli nie poznamy siebie poprzez innych, a innych poprzez siebie. Tak zwana rutyna życia powoduje stopień wrażliwości w stosunku

do innego człowieka.

Tak jak niepotrzebne są drwiny z poczucia honoru naszych przodków, podobnie drwiny z salonów nie mają ugruntowanych podstaw. Nawet salonowa sztuka rozmów o niczym – bo nie wszystkie salony miały charakter literacki – wiązała się z pięknem polszczyzny. Nasze dzisiejsze spotkania przemieniają się często w pańszczyźniany trud, bo ludzie wyrwani z kręgu swoich kontaktów zawodowych, z kłopotów rodzinnych i od telewizorów – przy których rozmowa sprowadza się do schematów – nie wiedzą co począć ze sobą. Czują się nieswojo, poza politykowaniem i utyskiwaniem na trudności życia codziennego, nie mają sobie nic głębszego do powiedzenia.

Tym, którzy może zbyt pospiesznie czytali te, notowane w różnych okresach, rozważania chciałbym objaśnić, że nie mam na myśli salonów z lokajami, z kandelabrami i wyselekcjonowanymi gośćmi, a jedynie miejsce, w którym można by się wzajemnie odwiedzać i sięgać do tych swoich pokładów, o których bądź nawet nie wiemy, bądź zdążyliśmy już zapomnieć.

Przetańczyć życie

Dzień moich imienin, 7 października, jak również poprzedzający go wieczór, przeznaczam od lat na rozrachunek z sobą samą, na wyrazistsze zdanie sobie sprawy z odległości, która mnie dzieli od tej, jaką ja pragnęłabym stać się. Pamiętam, że kiedyś obchodziłam taki swój dzień – dla mnie najbardziej uroczysty spośród dni roku – w Innsbrucku, w dyskotecce „Irgendwo” (gdziekolwiek). Pomijam tu smutek i osamotnienie, którym przesyczone są takie lokale. Miałam szczęście o tyle, że wciąż powtarzano „Rivers of Babylon” i ta melodia, przesyciona tęsknotą za spełnieniem, sprawiała, że czas obecny zamieniał się w przyszłość i spełniał w jakiejś mierze oczekiwanie przeszłości. Złudzenie to wzmagał taniec, który zawsze był i niezmiennie jest dla mnie zdarzeniem, w którym na moment uwalniam się od odpowiedzialności za własny los, chwilą, w której radośnie podporządkowuję moją wolę komuś innemu.

Z sympatią myślę o bohaterach *Nagiego życia* Oscara Lewisa czy włoskiego filmu „Odrażający, brudni, źli”, bowiem kultura nędzy inaczej odnosi się do tańca niż zalewająca nas kultura drobnomieszczańska. Zresztą, jeden z piękniejszych tańców XX wieku – tango powstało podobno w spelunkach Buenos Aires. Smutek tanga, czy nawet pewna desperacja słyszalna w jego tonach, pochodzi z trudności przekroczenia granic osamotnienia. I nie ma ono w sobie nic z beztroskiej radości tańców neapolitańskich. Wyraża pewne sfery losu człowieka uchodzące możliwości słownego wyrazu. Muzyka i tańce, na przykład, tyrolskie, leżą na przeciwległym krańcu tego, co nie wypowiedziane w tangu; tango to zaprzeczenie hałaśliwej jednowymiarowej wesołości. Gdy słucham tanga kojarzy mi się ono nieraz z nieodgadnioną tajemnicą uśmiechu Giocondy.

Lukian z Samosat, starożytny myśliciel, w *Dialogu o tańcu* wykazuje, że taniec nie tylko bawi, ale również kształci i przynosi na tej drodze pożytek. Stał się „jednym z największych darów, danym nam od Muz”.

Wśród dawnych obrzędów o charakterze religijnym zawsze występował taniec. I ten sakralny sens tańca był na tyle wyrazisty, że – jak pisze wspomniany myśliciel – o tych, którzy nie dotrzymali tajemnicy misteriów mówiło się, że „zdradzili święte tańce”. Nawet Sokrates, kultywujący rozum i głoszący intelektualizm etyczny, cenił sztukę tańca, jej piękno, wdzięk i wytworność.

Sądzę, że wielu ludzi twierdząc, że nie lubi tańca, jest nieświadoma swego lęku przed wiążącą się z nim muzyką; ludzie unikają na ogół samych siebie, a muzyka taką ucieczkę niweczy. Większość słuchaczy nie darzy zainteresowaniem twórczości współczesnych im kompozytorów, wciąż zwracając się do dzieł klasycznych i romantycznych. Zdarza się obecnie, że na kolejne wykonanie nawet dobrze przyjętego nowoczesnego utworu symfonicznego czeka się dwadzieścia lat. W swoich publikowanych w formie książki wyznaniach, Artur Honegger spostrzega, że ta sama publiczność, która oczekuje nowości w literaturze, w filmie czy w malarstwie – w muzyce niechętnie odnosi się do nowatorstwa. W tej ostatniej dziedzinie domaga się języka co najmniej stuletniego. I dlatego Sartre, na przykład, ma więcej czytelników niż Strawiński słuchaczy. Trudy związane z dążeniem do zdobycia uznania dla własnej twórczości nie omijają tylko tych, którzy tworzą „na zamówienie”.

W rezultacie nieustannie rozbrzmiewającej wszędzie muzyki następuje stopniowe zainteresowań kompozycjami, które wyrastają ponad kulturę masową. Można by mniemać, że zbliża się przesyt muzyką. Przy czym moda hałaśliwej muzyki wytwarza pokolenie o nadwreżonym słuchu i podsycanej nerwowości.

Maria Trzebońska, poetka i reportażystka, ostatnio właścicielka biura matrymonialnego, oddająca się z pasją pomocy istotom zagubionym, wyszukała dla mnie wyjątkowo ciekawy wywiad z amerykańską twórczynią tańca nowoczesnego, *notabene*, znawczynią teorii Freuda, Martha Graham (m.in. jej uczniami był Gregory Peck czy Bette Davis), która przyjaźniła się z Helen Keller. Bliskie mi jest stwierdzenie w tym wywiadzie, że taniec objawia życie. „Aby tańczyć, trzeba mieć niezwykle głęboką świadomość tego, że się żyje”.

Taniec oddziałuje na uczuciowość. Nie ma w nim modnych zawiłości intelektualnych. Dlatego cenię tę sztukę. Ona nas ucłowiecza w tym sensie, że wyrównuje zwichnięte proporcje, czyli nadmierny wpływ warstwy pojęciowej. Przywraca nas życiu. Taniec jest uniwersalną formą sztuki. I nie zapominajmy, że wszyscy jesteśmy tancerzami! Przy pomocy ruchu wyrażamy gniew, ból, lęk i czynimy to, nim nadażymy z wypowiedzią słowną.

Chrześcijaństwo negatywnie zaciążyło na roli tańca, bowiem w XIII bodajże wieku potępiono go, jako przejaw pogaństwa. Taniec nabrał tylko świeckiego znaczenia i stąd w

Europie nie jest on tak kultywowany, jak na innych kontynentach. Wyrafinowany w formach taniec na dworach i żywiłowy taniec chłopów – oba te rodzaje tańca w swoim kręgu spełniały rolę spoiwa.

Jestem pewna, że każdy z nas ma – chociaż nie wszyscy chcą sobie to uświadomić – potrzebę przeżywania wspólnoty z innymi. Taniec to umożliwia. Wyrywa jednostkę na płaszczyznę niecodzienności i obcowania z innymi w grupie. Przenosi w wymiar bardziej odświętny. Intensyfikuje nasze doznania, do czego przyczynia się też wyrazisty rytm muzyki tanecznej. Wreszcie, dozwala na zbliżenie się do kogoś i zarazem pozostawanie w zgodzie z konwenansami. W czasach bardziej pruderyjnych niż nasze dawał możliwości flirtów.

Ale bardzo długo na naszym kontynencie między ręką i ciałem partnerki była przegroda w postaci rękawiczki oraz przepisowej odległości partnerów. Po ostatniej wojnie, w czasach wyzwolonego erotyzmu, zaczęto tańczyć solo, w oddaleniu, nawet nie patrząc się na siebie. Ta izolacja – to przeciwieństwo zezwolenia na dotykanie się nawet w miejscach publicznych.

W dyskotekach uderzający jest powiew samotności. Każdy tańczy tylko ze sobą na jakimś skrawku parkietu jak w niewidzialnej klatce. To już nie jest grupa, z którą można by się zespolić choćby iluzorycznie, na kilka godzin. To zbiorowisko wyizolowanych i dlatego z pozoru wolnych istot, poruszających się w dowolny sposób. Ale smutnych swoim wyodrębnieniem i nie odnalezioną aprobatą, bowiem każdy koncentruje się tylko na sobie.

Potrzeba zabawy

Spragniona atmosfery zabawy i tańca wybrałam się do nocnego lokalu. Zdecydowałam się na „Adrię” mimo zapewnień znajomych, że pod żadnym względem nie przypomina ona dawnego słynnego lokalu. Trwający nieustannie targ i transakcje „żywym towarem” – bo zdecydowana większość pań i panów (wśród nich wielu cudzoziemców) po to w ogóle tu przyszła – sprawił, że zamiast spodziewanej zabawy oddałam się refleksjom.

Przed wszystkim natarczywe stało się pytanie, dlaczego tak wiele obłudy w naszym życiu obyczajowym? Skoro instynkty ludzkie są silniejsze od wszelkich szlachetnych i szczytnych systemów moralnych – czy nie lepiej dać im ujście w domach do tego przeznaczonych? Dlaczego mieszać płaszczyzny potrzeb i zainteresowań, które nie muszą być styczne? Dlaczego parkiety i stoliki mają spełniać funkcje nader podwójne? Oczywiście, wyznawcy moralności pani Dulskiej w tym miejscu się oburzają. Ale nic tak nie deprawuje, jak podwójna moralność. System zakazów i formalnych likwidacji nie prowadzi do zaniku danych faktów społecznych.

Rozrywki, zabawy, tańce nie tylko dają ujście naszej potrzebie zabawy – jakże często u nas ograniczanej do biernego oglądania programów telewizyjnych – ale również uczą bycia w grupie z innymi. Tymczasem nasze lokale mogą jedynie wzniecać wstręt do naturalnej potrzeby zabawy. Już starożytni Rzymianie zdawali sobie wyraziście sprawę z tego, że chleba oraz igrzysk nie powinno nikomu brakować. Wszak ludzka natura nie zmieniła się na tyle, by w dwudziestym wieku pomijać tę potrzebę i by nie troszczyli się o nią organizatorzy naszego życia publicznego. Jednym z paradoksów ludzkiej natury jest wzmożona potrzeba śmiechu i zabawy wtedy, gdy czasy są trudne i nieprzyjazne.

Wracając do „Adrii”, ciekawe z psychologicznego punktu widzenia były komentarze siedzących za mną dziewcząt z jakiegoś małego miasteczka. Podczas pełnych wrzasku i złego smaku występów, tzw. artystycznych, dawały one wyraz swojej zazdrości: striptizerka jawiła

się im jako gwiazda, którą pragnęłyby zostać.

Być może te zasłyszane marzenia skierowały właśnie moje myśli ku sprawie wyborów miss piękności, kiedy to przez dotknięcie jakby różdżki czarodziejskiej życie jednej z milionów dziewcząt doznaje nagłego wymarzonego przeobrażenia.

Dlaczego takie wybory rozpalają aż tyle emocji? To natarczywe pytanie prowadzi do odpowiedzi nieco nas demaskujących. Otóż przenosimy do Polski modę wyboru „najpiękniejszej”. Naśladujemy. Stwarzać ma to, zapewne, pozór naszej nowoczesności. Tylko, czy te zewnętrzne, najłatwiejsze, zresztą, do zapożyczenia, pewne mody z Zachodu mają u nas jakiś sens? Czy nie są zbyt oddalone – tak, jak ta – od naszej słowiańskiej mentalności oraz od realiów naszego życia? Od naszych obyczajów, a nawet od kanonu najbliższych nam wartości?

Już Prus ustami Wokulskiego zwrócił uwagę na to, że niewłaściwość polega na przeniesieniu zwyczaju z miejsca, w którym jest on przyjęty, do miejsca, gdzie takim nie jest. Wybory w USA, pełne reklamowej wrzawy i zgiełku, dotyczą wszelkich wyborów – nie tylko miss. U nas brak jest tradycji dla takiej oprawy wyborów mężów stanu, stąd i wybór miss daje poczucie czegoś obcego, czegoś zapożyczonego. W dodatku sceneria i oprawa w Polsce dalekie są od bogactwa, rozmachu i wieloletniej wprawy wyborów miss na Zachodzie.

Źle. Na pewno źle, że tak mało rozrywek jest organizowanych dla ogółu społeczności. A przynajmniej szkoda, że te istniejące nie mają takiej oprawy, która by wznosiła na wyższy poziom nasze przeżycia estetyczne i uczyła odrazy do tego, co brzydkie i prymitywne. Zapomina się u nas jakby o potrzebie zabawy, o sensowności wzmaganie tej potrzeby oraz o zadośćuczynieniu na wysokim poziomie takim naturalnym pragnieniom. Wybory miss – w odbiorze – bywają też w naszym pruderyjnym społeczeństwie jakby namiastką atmosfery nieobecnych u nas filmów czy widowisk z mocnym dreszczykiem. Bywają odbierane nieraz w sposób odległy od intencji organizatorów, o czym świadczą niewybredne komentarze części widzów przyglądających się wyborom.

Niewątpliwie łatwiej jest kopiować niektóre obyczaje, niż wprowadzać nowe. Tyle że kopiowanie – skoro już nastąpiło – mogłoby być wierniejsze; w innych krajach na cele dobroczynne są przeznaczane sumy uzyskane w czasie wyborów miss. A jak z tym u nas?

Zwyczaj bicia rekordów w rozmaitych dziedzinach, rekordów nieraz dziwacznych, ma na celu wybicie się ponad przeciętność. Zwrócenie uwagi na siebie. Niektóre z tych rekordów – ze sportowymi włącznie – są wręcz dla zdrowia niebezpieczne. Chociażby rekord długoletności stania na głowie. Być może mają tę zaletę, że ćwiczą charakter, siłę woli. Ta tendencja do bicia rekordów, z pięknnością włącznie, rozbudza potrzebę wartości pozornych.

Cenić się zaczyna często te, które dany człowiek przynosi na świat bez swojej zasługi. A to rodzi poczucie niesprawiedliwości; twórca latami szlifuje swój talent, pogłębia się wewnątrz, a nieraz za życia brak mu nie tylko „oklasków”, ale i zrozumienia dla wysiłku. A w drodze wyboru miss można stosunkowo łatwo zdobyć (sezonowy) rozgłos. W dodatku jest to sukces szybki, harmonizujący z tempem naszych czasów.

Zgodne z naszymi fałszywymi mniemaniami jest utarte założenie, że miss musi awansować w hierarchii społecznej. Że nie powinna wykonywać już swojej dotychczasowej pracy zarobkowej, zwłaszcza, jeśli nie była pracownicą umysłową. Miss, by zadowolić oczekiwania, bo wiele dziewcząt się z nią utożsamia, ma przestać być tą, którą była przed wyborami. Znowu nakłada się komuś maskę i każe się grać nową rolę! Demokratyczne i wychowawcze byłoby, ażeby miss po wyborach odłożyła berło i pozostała nadal na swoim miejscu. Wydaje mi się w każdym razie ważne, by przy lada drobiazgu nie wstępować na fałszywą drogę traktowania wszystkiego z nowego punktu widzenia ojczyźnianego. Miss Polonia a sprawa Polski – to doprawdy odległe zagadnienie.

Nie bardzo rozumiem nagonkę prasy na obciążającą rzekomo kandydatki niewiedzę w dziedzinie ogólnokulturowej. Czy nie za dużo się wymaga? Silne i słuszne są ze wszech miar tradycje wszechstronności polskiego kształcenia, ale nie zawsze te kryteria powinny dochodzić do głosu jako rozstrzygające. Zresztą, wybory miss piękności ujawniają – zależnie od punktu widzenia – bądź względność wartości estetycznych, bądź nieczystość gry, od której nie są wolne takie wybory. W każdym razie nie mieszajmy sytuacji, okoliczności i kryteriów. Możemy oddzielnie wybierać miss intelektu. Ale po co?

Kult piękna w starożytnej Grecji nie doprowadził tam do wyborów „najpiękniejszej”. Przynajmniej żadne przekazy historyczne o tym nie informują. Może stało się tak dlatego, że Grecy wiązali ściśle piękno z dobrem? Piękno ciała od wieków stanowi wartość cenioną. Ale piękno ciała bywa znacznie pogłębione pięknem twarzy, na której rysuje się rozwinięte życie wewnętrzne człowieka, a zwłaszcza harmonia ducha. Bywają twarze, o których mówi się, że są ładne. Ale wydają się kompletnie puste. Zdarzają się aktorki o wielkiej urodzie, z których obecności na ekranie nic nie wynika. Brak im wyrazistej indywidualności. Więc może zamiast lansować „najpiękniejszą” byłoby lepiej – na wzór studentów krakowskich – wybierać „najmilszą”?

To pojęcie wiązałoby w sobie piękno z przymiotami duchowymi, a nie tylko z wymiarami czy z zasobem posiadanych wiadomości. Może wtedy takie konkursy miałyby sens, bo są potrzebne w skali ogólnej wzory do naśladowania. Wzory, które wzbogacałyby wewnątrz. Potrzebne są też zdarzenia o skali masowej, które przynosiłyby wrażenie czegoś odświeżonego,

czegoś, co przerywa zwykły szary tryb walki o byt. Zdarzenia, które elektryzowałyby publiczność i skłaniały do zastanowienia nad sobą. Ale trzeba strzec się, by w mechanizmach wyborów piękna nie zaznaczało się tak wiele elementów nie pięknych, o czym obszernie, nie zawsze wprost, donosiła prasa w czasie polskich wyborów miss.

A co z wyborami mister piękności? Czyżby można było dostrzegać tylko piękno kobiecego ciała? A uroda mężczyzn? Dlaczego znów w tej dziedzinie nierówność płci? Proponowany przeze mnie wybór „naj” z punktu widzenia i urody, i zarazem wartości osobistych, a w tym zwłaszcza wrażliwości, uczuciowości, harmonii wewnętrznej i jakiegoś „kośca” powinien dotyczyć obu płci. I uczyłby odczytywania z twarzy, z postaci, z tembru głosu, z uśmiechu i ze sposobu zachowania – tkwiących w kimś wartości indywidualnych. Wartości zależnych nie od przypadku, lecz własnego wysiłku.

Listy

Nieustanne przemiany
Szukamy oparcia
Chcemy drogowskazów
Nęka niepokój nieznanego
Bezbronni
niczego naprawdę
nie mamy.
Dlatego lubię
Twoje listy:
przychodzą zawsze
dwa razy w tygodniu.

Listy pisane dawniej stawały się nie zamierzoną autobiografią, bowiem dzielono się w nich przeżyciami duchowymi i wiadomościami o zdarzeniach mającymi niemałe znaczenie. A więc nie były to – jak często dzisiaj – pozbawione osobistego wyrazu karty, pisane z jakiejś okazji, lecz epistoły, w których wyrażała się osobowość piszącego.

Zresztą, obecnie zamiast napisać list, można nagrać na taśmę magnetofonową lub rodzaj płyty to, co pragnęłoby się przekazać. Taki rodzaj zapisu bardziej, zapewne, odpowiada duchowi naszych czasów. Tego typu listy dostawałam przez dłuższy czas z Austrii.

Wiele można by pisać o zaniku sztuki epistolarnej. Ze znanych u nas postaci podtrzymuje tę sztukę Aleksander Zaczyński z Zakopanego. Nie mam tu na myśli jego licznych korespondencji do wielu pism. Kiedyś, w dawnej „Kulturze”, w 1979 roku, Ewa Berberysz w artykule „Willa Chimera” pisała, że Aleksander Zaczyński wysyła blisko 1000 listów rocznie. Koresponduje głównie z kobietami i czyni to w kilku stylach, a mianowicie:

uwodzicielsko-lirycznym, kaznodziejskim, dworskim, a ze mną koresponduje w stylu introspekcji.

Listy stanowią materiał biograficzny i faktograficzny. Dzięki nim można poznać dokładniej życie wielu wybitnych postaci oraz epokę, w której działały. Przy czym w listach twórców znanych z historii kultury znajdują się nieraz lapidarne sformułowania, które ułatwiają zrozumienie wywodów zawartych w ich obszernych dziełach. Listy bywają też dokumentem obyczajowym – chociażby listy Oktawii do Stefana Żeromskiego, z których wyłania się Nałęczów z pierwszych lat XX wieku, Nałęczów, z którym czuję się bardzo związana. Na przykład, z korespondencji ojca Pio do kierownika duchowego dowiadujemy się wiele o trudach jego drogi i zmaganiach z „siłami nieczystymi”. Listy Tuwima zawierają cenne uwagi na temat twórczości w ogóle, zaś Bolesława Micińskiego, a przynajmniej ich część, to zarazem znakomite eseje, by podać jako przykład rozważania o psychoanalizie Freuda czy o ludzkim istnieniu w liście do Pawła Zdziechowskiego: „Życie wydaje mi się walką między automatyzmem (przyzwyczajenie) a tworzeniem (tworzeniem jest każdy ruch inny od konwencjonalnego). Odnajdujemy – bez wątplenia – wielką radość w realizacji naszych przyzwyczajzeń. Ale wtedy człowiek staje się żywym trupem”. Szkoda, że zazwyczaj tylko korespondencja wybitnych postaci jest publicznie ogłaszana, bowiem przypadkowe i niesprawiedliwe bywają nieraz wyroki uznające kogoś za nie wybitnego.

Wiedza o listach znanych ludzi powiększa się wciąż o nowe odkrycia. Nie zachowała się korespondencja wielu. Ale to, co się uważa, że już przepadło, potem nieoczekiwanie bywa odkrywane. Nie opublikowane listy wybitnych postaci są sprzedawane nierzadko za olbrzymie sumy. Bywają bezcennym dokumentem. Listy Hölderlina, Orzeszkowej, Osterwy, Krasińskiego – by wybrać z długiej listy nazwisk te właśnie przykłady – stanowią przedłużenie twórczości i klucz do niej. Zresztą, nie zapominajmy, że pisanie listów jest jednym z rodzajów twórczości. Jestem przekonana, że opublikowanie korespondencji niejednej z nieznanymi osobami z historii dostarczyłoby czytelnikom wielu przeżyć, a w tym również artystycznych.

Nasi dziadkowie i pradiadkowie – chociażby Jan Sobieski – potrafili pisać listy miłosne. Powszechnie są znane jego listy do żony Marysieńki. Tu przytoczę fragment listu Stanisława Przybyszewskiego do Dagny:

„Napiszę najcudowniejsze rzeczy, uniosę cię ku samym niebiosom, uczynię wszystko, wszystko, wszystko! Ale muszę czuć, że Ty mnie kochasz. Muszę obracać się w gorącej atmosferze Twojej miłości, muszę wiedzieć, że Ty mnie kochasz, muszę, muszę! Inaczej zginę, inaczej stoczę się w przepaść”. Czy inny przykład – fragment listu Zeldy do męża

Scotta Fitzgeralda: „Głupku – czczę Cię i wielbię, i bardzo się martwię, że choćby chwilowo unieszczęśliwiłam Cię moimi odchyleniami od normy, których nie umiem zadowolająco wytłumaczyć... Jesteś absolutnie wszystkim na świecie, co kiedykolwiek zdołałam uznać za istotne w moich stosunkach z ewolucją gatunku... Kocham Cię i chciałabym spać razem z Tobą w gorące popołudnie pod płatkami wysuszonej wody morskiej”.

Od czasu do czasu wybuchają spory o autentyczność listów. Nie tak dawno nasza prasa donosiła wiele o ostrym sporze, który wybuchł na temat autentyczności listów Chopina do Delfiny Potockiej. Omal nie doszło do procesu. Mamy zwyczaj stawiać pewne postacie na cokole, a potem nie chcemy się pogodzić, gdy dokumenty nieoczekiwanie odnalezione – objawiają nam ich ludzkie namiętności wcale nie pomnikowe.

Nie zapominajmy o tkwiących w każdym z nas zawiązkach twórczych i o rozmaitych możliwych formach wyrazu. Listy są jednym z rodzajów twórczości. Pisanie listów do bliskich stawać się może pożądaną chwilą namysłu nad tym, co czynimy, pewną próbą rozrachunku z własnym życiem. Bywa też sposobem ucieczki od stanu osamotnienia, jedyną formą szczerego podzielenia się światem własnych uczuć z innym człowiekiem.

Otoczenie, w którym rozgrywa się nasza codzienność powinno być źródłem miłych przeżyć estetycznych. Również i listy – element naszej codzienności – dobrze, gdy odznaczają się ładną formą. Sposób adresowania koperty, właściwa inwokacja czy rodzaj papieru listowego – to wszystko pozwala odczytać niektóre cechy psychiczne nadawcy, jak również wyrażający się w tym jego stosunek do adresata. Za mało myślimy w Polsce obecnie o sposobie pisania listów.

Dlaczego sztuka epistolarna zamiera? Przede wszystkim nie rozstajemy się obecnie na długo z bliskimi. Wyjeżdżamy wprawdzie z domu na odległe kontynenty, ale nowoczesne środki lokomocji skracają znacznie czas podróży. Podróż Czechowa z Moskwy na Sachalin i z powrotem (przez Ocean Indyjski) zajęła mu prawie rok. Transsyberyjska kolej jeszcze wtedy nie istniała. Rozłąki spowodowane, na przykład, wyjazdami do wód wydłużały rozstanie. W naszych czasach podróże nie przedłuża tak znacznie nieobecności, co zmniejsza potrzebę wymiany listów. Rozstajemy się na krócej. Zresztą u nas poczta leniwie i źle funkcjonuje. Po co więc pisać z wakacji z Bułgarii, skoro wrócimy wcześniej niż nadejdzie nasz list?

Dawniej w pokojach hotelowych czekał zawsze na gości firmowy papier listowy, atrament i pióro. Dziś zdarza się to w nielicznych bardziej ekskluzywnych hotelach. I ów wytworny papier z nadrukiem służy obecnie bardziej reklamie niż rzeczywistej chęci pisania. Tę ostatnią zaspokaja łatwość łączenia się telefonicznego z najdalszym zakątkiem globu. Uzyskuje się

dzięki temu natychmiast reakcje na wypowiedane słowa. Eliminujemy powoli z naszego życia czekanie na listy, które mają nadejść. To czekanie, owa niepewność wzmagała napięcie psychiczne wytwarzające się między korespondującymi ze sobą. Nadawała silniejszą barwę uczuciową naszemu istnieniu.

Listy najczęściej piszemy za granicę, bo telefony są wciąż dla nas zbyt kosztowne. A bilecików przekazywanych przez posłańca dawno już zaniechaliśmy wysyłać. Zresztą, wydaje mi się, że mniej komunikujemy się z innymi niż dawniej, aczkolwiek ta potrzeba w nas nie zamarła i osamotnienie daje się nie mniej we znaki, niż w dawnych czasach. Komunikujemy się mniej – a w tym również listownie – bo łatwo nacisnąć gałkę telewizora. Mieszkanie zapełnia się zdarzeniami, postaciami z ekranu, które zajmują nas i zniewalają. Nie chce się pisać listów. Stajemy się zastraszająco wygodni.

Bywają utwory literackie, na które składają się listy bohaterów powieści. Przykładem niech tu będą *Biedni ludzie* Dostojewskiego czy *Listy do pani Z* Kazimierza Brandysa. Życie i w tym wypadku nieraz bardziej przerasta wyobraźnię niż fikcja literacka. Zdarza się, że nawiązuje się między nieznanymi sobie korespondentami przyjaźń cementowana taką właśnie wymianą myśli i uczuć. Baird, wybitny kompozytor i Poświatowska nigdy nie mieli się spotkać. Ich przyjaźń listowna zaważyła obustronnie na twórczości. Baird skomponował muzykę do wierszy poetki.

Nieumiejętność pisania, na którą niejeden się skarży, jest najczęściej przejawem nieporadności towarzyskiej. I nie wykluczam, że wzorem dawnych czasów czy dzisiejszych Niemców przydałby się u nas podręcznik pisania listów. Bo, właściwie, skąd mają wiedzieć niektórzy, że np. na kopercie nie pisze się „Szanowny” lecz „Wielmożny” (tak adresują nadal obecnie nawet niektóre redakcje i wydawnictwa – a więc nie tylko osoby prywatne). Skąd mają wiedzieć nawet niektóre nauczycielki, czego doświadczyłam, że niegrzeczne jest pisanie na obdarłej, zgniecionej kartce, pozbawione w dodatku jakiegoś zwrócenia się w liście do adresata w rodzaju „Droga Pani”. Przykłady można by mnożyć.

List wiąże się nie tylko z osobą jego twórcy, ale i z adresatem, który staje się jego współautorem. On aktualizuje bowiem pewne treści. Adresat, zdarza się, że wydobywa z piszącego subiektywne zwierzenia i oceny, które w innych okolicznościach zupełnie by się nie zmanifestowały. Właśnie istotną właściwością listów jest ich intymność, choć bywa inaczej, ale to w listach pisanych z myślą nie o adresacie, lecz o tym, że kiedyś przyszłe pokolenia do nich zajrzą. Listy odgrywają nadal rolę w naszym życiu, aczkolwiek w zmniejszonym wymiarze. Jako przykład niechaj posłuży świetny serial grecko-angielski nadawany niedawno w naszej telewizji pt. „Kto opłaca przewoźnika”. Matka, przejmując listy

miłosne pisane z odległego kraju do córki, negatywnie zaciążyła nad losem kilku osób, doprowadzając do tragedii przywodzącej na myśl antyczną, grecką. Każdy z nas przechowuje listy od bliskich, a wśród nich ze szczególną pieczą listy pisane przez tych, którzy odeszli.

Korespondencja osób sławnych zaspokaja naszą ciekawość dającą się wyrazić w pytaniu: jacy byli na co dzień ci, których nazwisk uczymy się w szkole? Listy pozwalają obcować z wybitnymi i zbliżając do nich, czerpać wzory z ich sposobu życia. Mogą też uczyć, jak żyć nie należy. Autentyzm przemawia silnie do nas, zwłaszcza ludzi XX wieku, nieufnych wobec słów, które się wytarły i niejedną raz okazywały zwodnicze. A właśnie listy obdarzone są tą poszukiwaną właściwością.

Przechowuję wiele grubych teczek zawierających listy od osób, z którymi dane mi było w dotychczasowym życiu się zetknąć. Stanowią one dla mnie zarazem klucz do rozumienia siebie samej i pozwalają mi odnajdywać tę część mojego ja, która mimo upływu lat pozostaje niezmienna. W osobnej teczce składam listy od mojej Siostry.

Niezbędność wyższych wartości

Immoralizm, nie przez wszystkich oceniany jako pozytywne zjawisko, dochodzi silnie do głosu w niektórych epokach. Uważam właśnie nasze czasy – licząc od połowy XX wieku – jako te, w których ze szczególną siłą uświadomiona została potrzeba wyższych wartości – ale nie zawężonych do sfery moralnej – zarówno w życiu jednostek, jak i w życiu społeczeństwa. Wydaje mi się, że został bardziej obecnie, niż dawniej spełniony postulat Nietzschego wykroczenia poza sferę dobra i zła. To poszerzenie kręgu wartości, w odniesieniu do których realizuje się nasze człowieczeństwo, wynika z pewnej nieufności do nadużywanego i zdewaluowanego przez puste deklaracje pojęcia dobra.

Obecne czasy przynoszą również nowe spojrzenie na wyróżnik człowieczeństwa. Wskazywany dotąd powszechnie rozum człowieka stracił swoje uprzywilejowane miejsce w tym sensie, że rozwój nauk przyrodniczych dowiódł bezspornie, że inteligencją obdarzone są również zwierzęta, a nawet rośliny. Manifestowania się naszego człowieczeństwa poszukiwać trzeba więc w innej sferze – kulturze. Nie jest to tylko zmiana nazw, lecz zmiana punktu widzenia, bowiem tworzenie kultury jest rezultatem nie tylko naszego rozumu, ale w równej mierze bogatej sfery emocjonalno-wolitywnej. Nasza wrażliwość, uczuciowość, zdolność do empatii czy wyobraźnia decydują o tym, co powołujemy do istnienia w sferze kulturowej.

Nikt tak wyraźnie jak Gustaw Radbruch, niemiecki filozof, zmarły po II wojnie światowej, nie ujawnił tego, że nasze człowieczeństwo wyraża się w dążeniu do wartości idealnych. Moim zdaniem – estetyczne grają w tym istotną rolę. Nasza ułomność, niedoskonałość ludzkiej natury sprawia, że nie dane nam jest ich urzeczywistnienie; tworzymy – dążąc do wartości idealnych – świat na miarę naszych możliwości, tj. świat kultury. Ale wciąż towarzyszy nam bolesne rozdarcie między tym, co powołaliśmy do życia a tym, co pragnęliśmy urealnić w ludzkim świecie, świecie kultury.

Kochanowski pisał swego czasu o zdrowiu, że nikt się nie dowie, jak smakuje, aż się

zepsuje. To spostrzeżenie poety ma szersze odniesienie. Trudne doświadczenia, które przyniosła ludzkości ostatnia wojna, a w tym przeżycia wywołane przez systemy totalitarne, ludobójstwo, prześladowania, obozy koncentracyjne i inne obozy – skierowały uwagę na manifestowanie się człowieczeństwa w skrajnych sytuacjach, na pytanie o godność człowieka. Zastanowienie wywołała bezbronność człowieka wobec ustaw w państwach totalitarnych, w których legalnie narusza się podstawowe prawa człowieka. I nawiązując do Kochanowskiego, nacisk odczuwany negatywnie przez jednostki wzmógł poczucie istnienia sprawiedliwości innej, wyższego rzędu niż ustawowa. Wzmógł poczucie pewnych wartości, które muszą być przestrzegane, jeśli mamy określać siebie mianem człowieka.

Wybitny włoski filozof XX w. Giorgio Del Vecchio określa ogólnie tę sferę człowieka, która winna być respektowana w każdym państwie, mianem „prawa do samotności”. Czesław Tarnogórski znakomicie przełożył na język polski rozprawę Del Vecchio poświęconą temu zagadnieniu. Włoski filozof zdaje sobie sprawę z tego, że sposobem zniewolenia człowieka jest również w naszych czasach kultura. I broniąc człowieczeństwa, przeciwstawia destrukcyjnie oddziałującemu stanowi osamotnienia – niezbędną każdemu samotność, bez której niemożliwy jest żaden prawdziwy akt twórczy. Ale refleksje o tym rozwinę szerzej w książce o samotności i osamotnieniu, którą przygotowuję wspólnie z kilkoma osobami. Wkrótce będzie wydana.

Wśród myślicieli XX wieku, którzy wiążą człowieczeństwo z obroną pewnych zasadniczych wartości, wielu z własnych trudnych doświadczeń wyniosło przekonania, którym dali wyraz następnie w swoich teoriach. Dodaje to szczególnej wagi ich słowom, aczkolwiek geneza jakiejś teorii nie ma nic wspólnego z jej teoretycznym uzasadnieniem.

Do kręgu wybitnych twórców odwołujących się choćby pośrednio, jeśli nie wprost, do tragicznych dziejów własnego życia w świecie XX wieku należy bez wątpienia Antoni Kępiński. Ukazało się właśnie nowe wydanie jego dzieła *Melancholia*. Wiąże się z tą książką istotne niebezpieczeństwo. Szerokie zainteresowanie dziedziną, którą nazywam filozofią codzienności – powołuję ją do życia w książce *Twórcze niepokoje codzienności* – sprawia, że do *Melancholii* sięgną z pewnością również i ci, którzy nie są przygotowani do tego, by poprzez patologię dochodzić do problemów człowieka tzw. zdrowego. Gwarantuje tę łatwą dostępność duży nakład książki. A nazwisko autora rozślawione – jak to zazwyczaj u nas bywa – po śmierci – zapewnia powodzenie książki.

I tak dochodzę do problemu bardziej społecznej niż naukowej natury: musimy sami uczyć się, jak żyć – brak instytucji, które by w tym pomagały, a poznanie stanów patologicznych nie może być uznane za środek właściwy w tym procesie. Są potrzebne książki, jak również

instytucje, służące pomocą tzw. zdrowemu człowiekowi bez wprowadzania go w świat patologii. Zbyt łatwo można bowiem – przy większej wrażliwości – doszukiwać się w sobie objawów tych zaburzeń, o których informuje jakaś książka. Ta zaznaczająca się dziś powszechnie droga: przez psychiatrię, tzw. najogólniej, humanistyczną, do problemów człowieka zdrowego jest niejako nam narzucana ze względu na brak filozoficznych rozpraw, pisanych w przystępny sposób, podejmujących problemy związane z istnieniem.

Być może to zaniedbanie, tj. brak rozpraw poświęconych problemom sensu życia, cierpieniu, nadziei, miłości, przyjaźni, fantazji, samotności, problemom modelu życia i hierarchii wartości – spowodowane jest tym, że problemy te wydają się nienaukowe. Silne u nas tradycje filozofii pozytywistycznej uczyniły powyższe tematy wręcz wstydliwymi, nadającymi się do świątecznych konwersacji, nie zaś do poważnej refleksji.

Gutenberg uprzystępniał swym wynalazkiem każdemu całokształt piśmiennictwa. Pozwala to kształtować się wszystkim wielostronnie. Nie pozostaje się pod ciśnieniem jednego tylko poglądu. Można wyrabiać w sobie własną ocenę. Ale właśnie owa rozpiętość możliwych punktów widzenia czynić może nieraz jednostkę bezradną w obliczu równosilnych sądów. Rozprawy psychiatrów w tym wypadku również nie stanowią właściwej instancji odwoławczej.

Znaczenie wartości w życiu człowieka z taką samą pasją ukazują filozofujący psychiatrzy i psychologowie (A. Kępiński, K. Dąbrowski, J. Jacobi, K. Horney, V. Frankl, E. Fromm), jak i filozofowie profesjonalni (E. Cassirer, G. Del Vecchio, G. Radbruch, E. Heintel, G. Funke), czy lekarze tej miary, co profesor Julian Aleksandrowicz.

Julian Aleksandrowicz łączy w sobie czynną wiedzę medyczną z uprawianiem wychodzącej z dziedzin medycznych filozofii. Sformułował własną teorię ekologii. Podkreśla niezbędność filozofii, zwłaszcza w epoce narastającej specjalizacji, ale filozofii maksymalistycznej. Przeprowadza słuszną krytykę minimalizmu teorii neopozytywistycznej. Jest przekonany, że uczonego nie określa wyłącznie zasób wiedzy, lecz uporczywe dążenie do poznawania prawdy. Śmiałe idee Profesora oraz twórcza wyobraźnia wytyczają tę drogę. Julian Aleksandrowicz nawiązuje przede wszystkim do Hipokratesa, nadając jego myślom nowy dzisiejszy wymiar. Uważa, że uczonego-lekarza powinno znamionować dążenie do poznawania czynników środowiskowych, które wywołują choroby – po to, by przyczyniać się do ich eliminacji. Trzeba nasycać organizmy czynnikami zapobiegającymi chorobom – tak rozpoczyna się filozofia żywienia, którą tworzy prof. Aleksandrowicz. Jest przekonany, że dzięki działaniom profilaktycznym choroby uważane za nieuleczalne przestaną być zmorą ludzkości. Radość sprawia mi notowanie pewnych idei tego wspaniałego człowieka,

życzliwego ludziom i zmagającego się z zawiścią innych na swej drodze działań o zdrowie społeczeństwa. To, co jemy i jak przyrządzamy bez wątpienia wpływa również na nasze życie duchowe. Wegetarianizm pani Laryssy Humeniukowej na pewno sprzyja intensywności jej życia duchowego.

Kantor czy Szajna, odwołując się do swoich doświadczeń okresu wojny, tworzą wybitne dzieła sztuki i ukazując człowieka w sytuacjach skrajnych, przynoszą nowe spojrzenie na problem wartości. Po ostatniej wojnie wielu filozofów o orientacji neopozytywistycznej, a więc rugujących problemy wartości z rozważań naukowych, zmieniło swoje stanowisko. Sięgając do przykładu polskich filozofów ten przełom zaznaczył się u Tadeusza Czeżowskiego i Bolesława Gaweckiego.

Poszukiwanie przez ogół czytelników pomocy przy rozwiązywaniu problemów własnego istnienia w pracach wielu współczesnych psychologów i psychiatrów jest pośrednio zwrócone ku filozofii. Niektóre z tych prac stanowią kontynuację egzystencjalizmu i wpływ tej filozofii na psychiatrię nie ustaje (Maslow, Rogers, Frankl, Laing). Wymienieni przykładowo autorzy – psychiatrzy tworzą swoiste i różnorodne powiązania tej filozofii z rozważaniami psychoanalitycznymi i z metodami psychoterapeutycznymi.

Szerząca się wiedza o patologii skierowuje jednak uwagę czytelnika na tory niewłaściwe i może stawać się nawet źródłem osłabiającym aktywność, usprawiedliwieniem własnej bierności w obliczu poznawanych w książkach dewiacji, a nawet może powodować doszukiwanie się w sobie samych stanów, których w rzeczywistości się nie doznaje.

Ci, którzy poszukują rozpraw psychologicznych i psychiatrycznych, zapewne najbardziej oczekują odpowiedzi na pytanie, jaki wzorzec człowieka proponują autorzy i jakie są drogi jego osiągnięcia. Są to ludzie mający kłopoty z sobą, bądź konflikty z otoczeniem. Chcą sami temu zaradzić, chcą lepiej poznać samych siebie i trafniej sterować własnym życiem. Ale czy muszą w tym celu wnikać w stany patologiczne?

Wątpliwość ta ma podstawę również i dlatego, że pytania: co leczyć, jak leczyć i co jest stanem normalnym, stanowią w świecie psychiatrów oraz psychologów przedmiot dyskusji. Wciąż zarysowują się nowe stanowiska. Ale po co wprowadzać każdego, kto oczekuje pomocy i pozostaje w granicach tzw. normy w świat chorób i różnorodnych na ich temat opinii? Jest to niebezpieczeństwo duże, zwłaszcza dlatego, że znaczna większość psychiatrów i psychologów jest przekonana, że wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle. I muszę zaznaczyć, że w filozofii Kant już w końcu XVIII wieku wprowadził pełne treści pojęcie człowieczeństwa, jako celu samego w sobie.

Człowiek i jego istnienie – jako główny przedmiot zainteresowań, to nowe zjawisko i

znamienne dla naszych czasów. W starożytności, na przykład, interesowano się przede wszystkim kosmosem. Zainteresowanie budziła istota człowieka czy w kolejnych wiekach – ludzkie zdolności poznawcze. Epoka obozów była na tyle niedawno, że zaprzeczenie człowieczeństwa, jakie ze sobą przyniosła, nie minęło bez śladu. A problem totalitaryzmu nie należy niestety do historii. Wzmoczone dociekania nad prawem natury czy słusnością wzmagają się zawsze, gdy prawodawcy popełniają błędy oraz gdy prawo pozytywne nie godzi w poczucie słusności, ale jego realizacja odbiega od tego, co obowiązuje jako prawo. Ucisk wywierany na poczucie wolności jednostek i ich swobodę, ucisk doświadczany, budzi i wzmaga przekonanie, że te ograniczenia gwałcą jakieś prawo niezależne od ustanowionego przez państwo. Wzmaga przekonanie, że jest pewien zakres praw indywidualnych, które państwo powinno uznać przez samoograniczenie.

Za Kantem, którego wielkość umiał dostrzec. Kępiński głosi, że w każdym z nas zawiera się wewnętrzna siła moralna i że człowiek może być moralny dzięki samemu sobie i przez siebie. Te poglądy A. Kępińskiego zdają się odbiegać od tendencji immoralizmu, o której pisałam na wstępie; w teorii Kępińskiego problem człowieka jest ujęty głównie w jego odniesieniach do wartości moralnych. Jednakże wydaje mi się, że można odczytać w jego teorii odwoływanie się do poczucia wewnętrznej powinności, do imperatywu kategorycznego, jako nakazu naczelnego – a więc pojęcia szerszego od nakazu czynienia dobra.

Najbardziej cenne jest, moim zdaniem, odważne ujawnienie przez Antoniego Kępińskiego, że psychiatria jest bliska sztuce. Dzieje się to między innymi dlatego, że lekarze mają do czynienia z indywiduum a nie z człowiekiem w ogóle. Odwaga Autora zawiera się w uznaniu poznania psychiatrycznego za probabilistyczne i w stwierdzeniu, że chory psychicznie nie może być zgłębiony bez reszty przez lekarza. Nasuwa się tu na myśl książka Dąbrowskiego *Dwie diagnozy*. W każdym rozdziale, omawiając zaburzenia charakteru, psychozy, objawy neurotyczne, psychonerwice etc., K. Dąbrowski powołuje diagnozę literacką, tj. dzieło jakiegoś pisarza oraz diagnozę psychiatryczną tych samych przypadków. Poziom diagnoz pisarzy jest różny, zależny od poziomów ich wnikliwości, ale różni się zasadniczo swą głębią, penetracją w indywidualne przeżycia bohaterów od psychiatrycznych diagnoz, charakteryzujących się schematyzmem.

Narasta we współczesnej filozofii pojmowanie człowieka jako czegoś więcej niż funkcji rozumu. Filozofująca psychiatria wzmogła tę tendencję. To dla pisarzy, poetów, artystów było i jest czymś oczywistym, ale w filozofii ugruntował dopiero egzystencjalizm. Wszystkich wymienionych tu przeze mnie z nazwiska myślicieli łączy przekonanie, że człowiek nie jest – jak chce np. Skinner – zniewolonym elementem społeczności, tworzącym kulturę na

podobieństwo własnego organizmu.

Człowiek istnieje w świecie, a istnieć to znaczy działać, działanie implikuje z kolei wybór między alternatywami, które są ustawione wzdłuż *continuum* dobra i zła, prawa i nieprawości. Świat człowieka jest światem wartościowania, które opiera się zawsze na określonym stosunku człowieka do innych ludzi i do samego siebie. Niestrudzonym krzewicielem potrzeby istnienia w świecie wyższych wartości jest Kazimierz Zieliński, który od lat bezinteresownie, z pasją działa m.in. w ruchu higieny psychicznej i w harcerstwie. Podziwiam jego niezłomność wobec przeciwności, które napotyka ze strony tych, którzy myślą kategoriami własnych korzyści.

Wiedza o świecie i samowiedza są zakorzenione w *aestimo ergo sum*, które jest nawet bardziej pierwotne niż *cogito ergo sum* klasycznego kartezjanizmu. Zarówno, zresztą, wartościowość, jak i prawdziwość nie są czymś transcendentnym w stosunku do człowieka. Pozostają w korelacji z jego potrzebami, co nie oznacza opowiedzenia się za relatywizmem. Historia wskazuje bowiem na stałość podstawowych potrzeb człowieka, a tym samym stałość zaspokajających je powszechnych wartości.

Więzi istotne

Januszowi Anuszewiczowi

Jestem przejęta głębokim humanizmem teorii Juliana Aleksandrowicza i jej praktycznym znaczeniem dla każdego z nas. Niezwykła i przyciągająca jest osobowość Profesora i jego nie malejący w ciągu lat entuzjazm i oddanie sprawie. Uważam za nader istotne najszersze zaszczerpienie poglądów tego lekarza, bowiem dotyczą one zagrożonego obecnie zdrowia biologicznego i psychicznego każdego z nas.

Wyjątkowo mocno podkreśla J. Aleksandrowicz niezbędność filozofii i krytykuje minimalizm teorii o nastawieniu pozytywistycznym. Uporczywe dążenie do poznawania prawdy ma określać uczonego. Bliska mi jest postawa Profesora i cieszy współbrzmienie, porozumienie z tym wielkim uczonym. Podziwiam nie zachwianą wiarę Juliana Aleksandrowicza w to, że ekologiczna profilaktyka nie będzie napotykała na tak duże trudności, jak obecnie. Jestem pewna, że to, co jemy, rzutuje na naszą psychikę. Nic nie poradzimy na tę naszą zależność od Kosmosu. Jesteśmy również nie mniej zależni od innych jednostek, ale wciąż trudno o serdeczne więzi międzyludzkie. Zatruwamy siebie złością, zazdrością, zawiścią, niechęcią, nienawiścią i to do tego stopnia, że emocje te czynią spustoszenie w naszym ja, nierzadko prowadząc do chorób nawet somatycznych. Człowiek, w którym zło dochodzi do głosu jest moralnie chory i to schorzenie niszczy przede wszystkim jego psychikę i ciało. Nawet same złe, wrogie myśli, nie uruchamiające działań, mają ten autodestrukcyjny charakter. I można nieraz mieć wątpliwości, czy systemy filozoficzne, które głoszą, że człowiek jest istotą społeczną, mają na uwadze stan istniejący. Być może opisują stan pożądany, ten, który być powinien.

Nie jest wykluczone, że społeczne instynkty będziemy powściągać w sobie łatwiej wówczas, gdy weźmiemy pod uwagę nie tyle otaczające nas jednostki czy abstrakcyjne dobro

społeczności, w której żyjemy – lecz dobro nas samych.

To, co czynimy, jak również nastawienie, z jakim zwracamy się ku innym ludziom – wraca jak fala w postaci dobra i zła wyrządzanego nam przez innych. Od nas, od treści naszych poczynań oraz intencji zależy, czy będziemy mogli spodziewać się życzliwości ze strony tych, którzy nas otaczają, jakkolwiek niekoniecznie od tych, ku którym zwraca się nasza życzliwość. Wiele rozczarowań wynagrodziła mi przyjaźń Austriaczki Annemarie Hertel.

Tak realna pomoc, jak świadomość jej gotowości, przynosi poczucie bezpieczeństwa, bo stanowi punkt oparcia. Ten dziennik nie byłby szczery bez dedykowania tych słów Januszowi Anuszewiczowi. Najwyższy czas, by przezwyciężyć dualizm moralności: tej głoszonej, którą winniśmy spełniać i która, wydaje nam się często – nie bez samookłamywania – że jest spełniona oraz moralności realizowanej, pełnej niechęci do bliźnich, a nawet agresji często z błahych pobudek. Wyraża się to np. w naszych nieprzychylnych opiniach o bliźnich. Chętnie i łatwo oceniamy negatywnie tych, których znamy w gruncie rzeczy powierzchownie. Wymaga to znacznie mniej wysiłku, niż przyjęcie postawy empatii, wyrażającej się nie tylko w chęci rozumienia innych, ale i wczuwania się w świat ich przeżyć oraz motywów, którymi się kierują. Jakże chętnie śmiejemy się brzydko z tych, którzy w swoim życiu wyłamują się spod pewnych obyczajów. Na życie „po swojemu” wolno się zdobyć tym, którzy są znani – ale dlaczego sława łagodzi ostrość sądów obyczajowych? Wybacz się nie pani Kowalskiej, lecz Sarze Bernhardt, że poślubiła młodszego od niej o 11 lat Greka, czy Agacie Christie szczęśliwej w małżeństwie z archeologiem Maxem Mallovanem o czternaście lat od niej młodszym. Gdyby nie Krystyna Kolińska i jej dociekliwość nie wiedzielibyśmy o miłości syna wybitnego myśliciela Gumpłowicza do starszej przeszło dwadzieścia lat Marii Konopnickiej, zakończonej jego samobójstwem, ponieważ odrzuciła tę miłość.

Z faktu, że małżeństwo Salvatora Dali, młodszego od Gali o blisko 10 lat, trwało pół wieku i było udane, nie płyną wnioski łagodzące nasze presje obyczajowe, aczkolwiek wzrasta liczba rozwodów i powszechnie widzi się nieudane małżeństwa, mimo że w Polsce – bo niekoniecznie w innych krajach – zachowywana bywa „przepisowa” różnica wieku między mężem i żoną. A więc jesteśmy w gruncie rzeczy zaskorupiali w konserwatyzmie obyczajowym, choćby stanowił on rezultat czasu prymatu mężczyzn i ich wyraźnej dominacji.

W swoich *Dziennikach* w 1940 roku Jean Paul Sartre m.in. wyraził swój stosunek do pieniędzy. Wkleiłam sobie w 1984 roku do dziennika wyznanie tego pisarza: „Odczuwam potrzebę wydawania. Nie po to, by kupić jakiś przedmiot, ale by spowodować eksplozję tej energii monetarnej, by jej się pozbyć i odrzucić ją daleko jak ręczny granat. Jest w

pieniądzach pewna zniszczalność, nietrwałość, którą lubię: lubię jak przepływają przez moje palce i giną gdzieś daleko. Nie trzeba jednak, by zostały zastąpione jakimś przedmiotem solidnym i wygodnym, którego obecność byłaby jeszcze wyraźniejsza, niż obecność pieniędzy. Trzeba, by rozplynęły się w nieuchwytnych sztucznych ogniach. Pójść na dancing, wydać tam dużo, jeździć taksówką, itd., itd., krótko mówiąc tak, by w zamian za pieniądze nie pozostało nic poza wspomnieniami – a czasem mniej niż wspomnienie. Normalnie wieczorem w dniu wypłaty mam już tylko dwie trzecie zarobków. Nigdy zresztą nie liczę, a w każdym razie, nie na początku. Trzeba, by pieniądze były przedłużeniem moich gestów, żebym wydawał tak, jak oddycham...”.

Czytając te słowa, doznałam ulgi wynikającej z radosnego odkrycia, że nie jestem osamotniona w tym, co staram się zakryć, by nie drażnić odmiennością, jakkolwiek najbliższe otoczenie, i tak nie zmyłone, czyni mi wyrzuty za nieumiejętność oszczędzania. Uważam za potrzebne, by zanotować tu słowa Sartre’a – nie tylko z tych osobistych powodów, ale i ze względu na zagadnienie szersze, które mnie niepokoi.

Otóż ludzie wokół, i to nie tylko półinteligenci z dyplomami, ale nawet część tej inteligencji, którą, w odróżnieniu od urzędników, trzeba by określić mianem intelektualistów i artystów – w gruncie rzeczy myślą tylko o poprawie warunków materialnych. I gdzie tu miejsce na uczucia wyższe, na bezinteresowną sympatię do innego człowieka?

Z dużym przejęciem czytałam w tym roku zbiór opowiadań Jana Stępnia *Pierwsze doznania*, zresztą, mi dedykowany, a następnie powieść Scotta Fitzgeralda *Wielki Gatsby*. Piszę o tym łącznie, bowiem w równym stopniu w wypadku obu lektur pociągnęła mnie oszczędność słowa, troska o czytelnika, by nie nudził się ani chwili, jak również wrywanie się bohaterów poza horyzont. Gatsby, podobnie jak ja, od lat starał się podporządkować swoje istnienie pewnym schematom uznanym przez siebie za słuszne, schematom narzucającym woli ukierunkowany wysiłek. Trudno mi się porozumieć w ocenie książek z innymi – jak notowałam w czasie studiów – bowiem traktuję literaturę jako źródło pomocnicze do rozwiązania szeregu problemów natury filozoficznej.

Są utwory, które polecałabym każdemu, kto pragnąłby głęboko uczestniczyć w duchowej spuściźnie minionych pokoleń. Ale tu ogromną rolę odgrywa tradycja kulturowa rodziny. W pewnych kręgach czyta się *Błękitny zamek* Montgomery, *A lasy wiecznie śpiewają* Trygeve Gulbrandsena, powieści Lutosławskiej czy Romain Rollanda i te lektury poszerzają wyobraźnię i uczuciowość.

W moim doświadczeniu sprawdza się, że narodowość jest momentem określającym tradycje kulturowe, w których ktoś wyrastał, ale więcej o człowieczeństwie danej jednostki

nie informuje. Zdarzyło mi się w trudnych momentach zaznać wiele pomocy ze strony przedstawicieli innych narodów, a w tym wiele ze strony Żydów, co podkreślam tak bardzo starannie, ze względu na odżywiający u nas falami – i wciąż czający się w zakamarkach świadomości, nawet zdawałoby się z pozoru świątłych jednostek – antysemityzm. Przyjazną dłoń Niemców Beatę oraz Joachima Frings niech mi tu też będzie wolno wspomnieć.

Dlaczego więc wychowujemy pokolenia w niechęci do innych narodów? Dlaczego publicznie tak rzadko pisze się o bliskości naszej kultury i niemieckiej? Porozumieniu mojemu z Beate i Joachimem Frings nie stała na przeszkodzie odmienność narodowa. Znacznie mi jest trudniej niejednokrotnie porozumieć się z Polakiem.

Może miał rację socjolog amerykański Mills, że tworzy się powoli międzynarodowe braterstwo intelektualistów i artystów całego świata, aczkolwiek przeceniał rolę tej grupy; najczęściej to, co pospolite rozporządza siłą i zniewala jednostki ponadprzeciętne.

Wstrząsem intelektualnym w czasie moich podróży, wyjazdów na stypendia do Wiednia i Rzymu było zetknięcie się z narastającą silnie ideologią młodych, przeciwstawną całkowicie wartościom patriotycznym, w których tak bardzo natarczywie byłam wychowywana. Nieważna narodowość – słyszałam na uniwersytetach, nieważna ideologia. To są pojęcia anachroniczne, my chcemy istnieć, nie zaś tracić życie w imię jakichś wartości. Przemawiało przez nich, nieświadomie, rzecz jasna, przekonanie kantowskie o człowieczeństwie, jako celu samym w sobie, a więc o tym, że nikt z nas nie może być środkiem nawet do najbardziej szczytnego celu.

Wybredny smak indywidualny bywa przeszkodą w harmonijnym związku z otoczeniem. Na pewno wygodniejszą – co nie znaczy lepszą, drogę mają ci, których zadowala kicz i moda ze swoimi pulsującymi pośpiechem zmianami. Akcentuję to, ponieważ zaspokojenie potrzeb estetycznych przez kicz ujawnia przeciętność upodobań i potrzeb danej jednostki. Znacznie wyżej cenię tych, którzy pozostają w zatargu z obiegowymi upodobaniami swoich czasów.

Spragniona wciąż piękna w otoczeniu, zmęczona brzydotą i zaniedbaniem naszych miast i miasteczek, przerażona brakiem pielęgnowania niszczących zabytkowych budowli – nareszcie nasyciłam się pięknem w Austrii, w Niemczech i w Holandii. Oszalała w tempie podróży z dwoma mecenasami, Łazem i Januszem Anuszewiczem, przywróciła mi poczucie harmonii z otoczeniem i przyniosła uspokojenie, bowiem tempo przemieszczania się z miejsca na miejsce było równe sile mojego wewnętrznego niepokoju. W pewnej chwili poczułam się zmęczona nadmiarem piękna. A brak śladów wojny w tych krajach był dla mnie – wychowującej się jak inni wśród ciągłych o niej wspomnień – zaskakujący.

O twórczości

Uproszczony obraz człowieka-funkcji rozumu w filozofii przełamano. Poznajemy świat nie tylko rozumem i zmysłami rejestrującymi zmienność tego, co nas otacza, ale i w nie mniejszym stopniu właściwą nam skalą uczuciowości. Stanowimy jedność psychosomatyczną. Ale zbyt mało wniosków z tego wyciągnięto.

Tworząc kulturę, czyli zostawiając ślady jednoznacznie wskazujące na dzieło człowieka, angażować trzeba nie tylko intelekt, ale w równym stopniu emocje i wolę, dawniej pomijane przez filozofów. Namietności, pragnienia, niepokoje, przeczucia, instynkty człowieka wyrażają się na równi z przemyśleniami. Zdawałoby się – czytając teraz te słowa – że wskazywanie na tworzenie kultury, jako na czynność znamionującą człowieka, jest banałem, ale jeszcze niedawne czasy wzorowały koncepcję człowieka na naukach przyrodniczych i dziś również nie wygasły w pełni takie tendencje.

Minione pokolenia oceniamy stosownie do stworzonych przez nie i ocalałych, dzieł kultury. Efekty procesów twórczych – oto wartość, którą przede wszystkim cenimy. Na przykład, życie van Gogha umierającego w nędzy i zapomnieniu nie ma znaczenia dla społeczeństwa, dopiero mają znaczenie książki o jego życiu i, oczywiście, pozostałe po nim obrazy. Wartoścujemy pokolenia stosownie do pozostawionych przez nie śladów kultury. A pokolenia, które są żywe? Nie wskazuje się im tworzenia kultury jako wartości, której winno służyć życie człowieka. Paradoks – ujawniony współcześnie przez Gustawa Radbrucha – polega na tym, że inną miarą mierzy się pokolenia należące do przeszłości, a inną miarę przykłada się do tego, które jest i żyje.

W każdym człowieku są zawiązki twórcze. One, zresztą, dochodzą do głosu zawsze wtedy, gdy obcujemy z tworem kultury. Oglądając bowiem dzieło sztuki, czytając je czy słuchając, nie jesteśmy pasywni. Współuczestniczymy w tym procesie czynnie, zdobywając się nie tylko na wysiłek pojmowania dzieł kultury, ale i emocjonalnego, uczuciowego przeżywania ich na

własny, indywidualny sposób. Bez udziału odbiorcy dzieło pozostałoby martwe, a niekiedy nawet zdolność wyrażania twórcy nie byłaby w pełni urzeczywistniana. Mam na myśli przykład Rubinsteina, który w swoim dzienniku *Moje młode lata* notuje: „Kiedy światła wygasły, a na sali zapanowała absolutna cisza, wyczułem ten szczególny, nieuchwytny kontakt łączący mnie z publicznością, kontakt, który jest dla mnie natchnieniem w czasie gry”.

Wpływ tzw. odbiorcy dzieł kultury i jego nieodzowność w zaistnieniu tego, co twórca stworzył, wyraziście można zilustrować przykładami zaczerpniętymi ze sztuki, zwłaszcza tej, która stanowi zaprzeczenie malarstwa odtwarzającego. W muzeum sztuki nowoczesnej w Amsterdamie widziałam obrazy Manzonię, wielkie białe płaszczyzny, które widz zabudowuje swoją wyobraźnią, bądź przeżywa wytwarzane przez tę wielką płaszczyznę zimno i pustkę. Obraz, którego twórcą jest Antoni Tapies, przedstawiający czarną płaszczyznę z dwoma czarnymi workami wypełnionymi słomą, też angażuje do ataku kreacyjnego.

Mglistość wypowiedzi twórcy oraz intelektualizacja postaw artystycznych stwarza trudności w odbiorze, ale jednocześnie pobudza do konstruktywnego wysiłku. Zachodzi – przynajmniej przez moment – splecenie się odbiorcy z dziełem i ten styk, owa jedność, zaspokaja nie przez wszystkich dość jasno uświadomioną potrzebę wewnętrznej integracji, wyrażającej się nie tylko w intelektualnym, ale i emocjonalnym oraz wrażliwym kontakcie ze światem. Dzieła sztuki pobudzają naszą wyobraźnię i wrażliwość, pomagają spotęgować emocjonalny kontakt ze światem. Rzadko zdarzają się jednostki charakteryzujące się takim bogactwem struktury psychicznej, że łączą w sobie docieranie do sensu rzeczywistości, właściwe artystom z filozoficzną dyskursywnością. Stąd, zresztą, wynikają często trudności ze znalezieniem płaszczyzny porozumienia.

Niektóre kierunki dzisiejszej sztuki pogłębiają naszą wrażliwość i wzmagają bogactwo wyobraźni oraz skojarzeń, pobudzają do patrzenia na codzienne przedmioty w sposób inny niż dotąd. Wymaga to od nas wysiłku.

Odpowiada oczekiwaniu barwności i wielorakości świata. Oto, dzięki, na przykład, sztuce kontekstualnej (pisał o niej studium Jan Świdziński), poznajemy nowe znaczenia przedmiotów, tych zwykłych, z którymi obcujemy na co dzień. Ta sztuka jest zainteresowana „stałym procesem dekompozycji znaczeń i zarazem tworzeniem nowych aktualnych znaczeń”. Stymuluje nowy sens rzeczywistości w drodze przekształceń tych znaczeń, które mają sens już ustalony i powszechnie uznany.

Zagadnienie roli sztuki w życiu człowieka bardzo mnie absorbuje. Z dziełami sztuki styka

się każdy z nas, niemal niechcący, na co dzień. Choćby ze sztuką architektoniczną. Samo zresztą urządzenie mieszkania nie obywa się bez jej udziału (stylowe meble, obrazy czy reprodukcje znanych dzieł). Tak wie oddziaływa na człowieka sztuka i nie możemy się uwolnić od niej, od jej związku z naszymi potrzebami, choć byśmy poświęcali jej niewiele uwagi.

Dla każdego z nas, choćby z punktu widzenia zdrowia psychicznego czy więcej – szczęścia, niezbędna jest swoboda w wyrażaniu uczuć. Tę szczerą uzyskać można najprawdziej w tym, co się tworzy. Zapewne w najdogodniejszej sytuacji znajduje się aktor, tancerz czy mim, ponieważ może bezpośrednio dać upust tym stanom psychicznym, które jak nauczano nas, są niewłaściwe, wstydlive, a nawet złe.

Poszczególne rodzaje dzieł: literatura, sztuka, film, dramat, muzyka etc. pogłębiają właściwymi sobie sposobami naszą wrażliwość, czynią nas bardziej samoświadomymi i lepiej pozwalają zdać sobie sprawę z naszych autentycznych potrzeb. Dzięki twórczości następuje wzrost samoświadomości, następuje zbliżenie z odmiennym rodzajem wrażliwości niż ta, która nas znamionuje i dlatego na tej drodze możliwe jest pełne spotkanie między człowiecze. Bez zaspokojenia tej potrzeby trudno myśleć o szczęściu.

Uczestniczenie w świecie kultury nie jest zależne od poziomu materialnego. Ubóstwo, czego doświadczyłam, może nawet wzmacniać potrzeby kulturowe, a w każdym razie, nie jest czynnikiem przeszkadzającym w prawdziwie twórczym wysiłku. Tę prawdę odnoszącą się i do wieków poprzednich uznać można za prawidłowość. Potwierdza się ona też i w odniesieniu do współczesności.

Brak miłości, akceptacji, wewnętrznego porozumienia, nie wymagającego wielu słów, tkliwości, współodczuwania naszego wewnętrznego świata przez innego człowieka doskwiera na tyle, że skłania niejednokrotnie do choćby pozornego zaspokajania w twórczości. Oczywiście tworzy się nie tylko w rezultacie przeżywania braku czy cierpienia. Również nadmiar, psychiczne, radosne „nadwzbogacenie” zmusza do wzięcia pędzla czy pióra do ręki. Podobnie z udziałem biernym w świecie kultury. Powieściowych romansów raczej nie wchłania w siebie ten, kto znajduje w życiu wystarczającą podniecie dla swej wyobraźni i bodźce zaspokajające potrzebę miłości. Tworząc czy uczestnicząc w świecie kultury w sposób bardziej bierny, możemy znajdować pewne namiastki, pewne substytuty, pewne iluzoryczne spełnienia potrzeb. Kultura masowa jest, zresztą, nastawiona na to, by doprowadzać tę iluzoryczność spełnienia do perfekcji.

W obozach koncentracyjnych głód prowokował nieraz do opowieści o jedzeniu, o sposobie przyrządzania potraw, o wyszukanych zestawach dań. Ale trudno byłoby polecać powszechną

zastępczość. Dzieła flamandzkich mistrzów, pełne bekasów, przepiórek, polci mięsa, nikt sensowny nie poleci jako środka zaspokajającego inne potrzeby niż czysto estetyczne. Munch – odwołując się do innego przykładu – wolałby mieć przy sobie Dagny, niż malować obrazy wyrażające ogrom tęsknoty, zazdrości i samotności. Pigmalionowi – i to w mitologii – zdarzyło się, że ożyła Galatea.

Kiedy samemu się nie tworzy zastępczo, wtedy szuka się przynajmniej, też zastępczo, kontaktu z innym przez jego dzieło. Słuchając dzieł muzycznych, stykamy się, być może w najpełniejszy sposób, z twórcą, bo bezpośrednio, nie poprzez słowa ze wszystkimi możliwościami zniekształceń, jakie one zawierają.

Potrzeba akceptacji jest właściwa każdemu. Mylnie utarło się mniemanie, że akceptacji wymagają głównie aktorzy czy śpiewacy. Nie chodzi o oklaski, lecz o coś znacznie głębszego i pełniejszego – zrozumienie i afirmację przynajmniej ze strony jednego człowieka. Gdy brak akceptacji otoczenia, szukamy jej we wzmożony sposób w twórczości własnej i cudzej, i bywa, że z niej czerpiemy siłę wytrwania i pozostawania wiernym sobie. Niejeden raz dzieła literackie wzmagają moje siły i słuszność obranej drogi mimo oporu bliskiego otoczenia.

Kultura, w której przychodzimy na świat, i odbierane zgodnie z nią wychowanie dają nam wzory życia i uczą rozwiązywać cały szereg naszych problemów; wystarczyłoby powielać gotowe wzory. Nikt z nas nie musi zaczynać od początku żmudnego procesu przewartościowania wartości pod warunkiem, że biernie przyjmuje propozycje kultury. To nęci. W każdym z nas tkwi pewna ociężałość, lenistwo, niechęć do wysiłku. Jednakże ta funkcja kultury, przystosowująca do ogółu za cenę poddania się jej wzorom, niepokoi, ponieważ zabija wewnętrzny autentyzm i zwalnia z odpowiedzialności za swoje życie. Jest to wygodne, lecz niebezpieczne. Można żałować tego poddania się stadnym instyngtom zwłaszcza wówczas, gdy już późno i trudno zaczynać inaczej, po swojemu.

Stąd właśnie pozytywny sens buntu, który skutecznie przewycięża naszą tendencję do marazmu i budzi potrzebę szukania własnych dróg. Tak więc naturalne tendencje buntu okresu młodzieńczego powinny być w dalszych latach pogłębione. Umocniły mnie w tej postawie dzieła Ibsena i Londona. Splata się ona z postawą przeciwną konformizmowi i oportunizmowi w życiu i w twórczości. Bunt uwalnia od nacisków rodzinnych, środowiskowych, kulturowych. Właśnie twórczość autentyczna – czyli wyrastająca z głębi osobowości twórcy – w odróżnieniu od tej, którą nazwałbym koniunkturalną, tworzoną dla celów nie mających związków z twórczością jako taką, bywa okupiona dotkliwymi trudnościami. Historia kultury uczy, że wielu spośród wybitnych dotkliwie przeżywało ostracyzm społeczny, ale wybierali tę wyboistą drogę.

W tworzeniu dzieł wiąże się ściśle to, co jednostkowe z tym, co ogólne. U podstaw tego procesu leży potrzeba pełnego, wzajemnego porozumienia z innym człowiekiem. Wyjście poza siebie po to, by – w rezultacie spotkania autentycznego z innym człowiekiem – powrócić do siebie w sposób wzbogacony i uspokojony odczuwalną więzią z innymi.

Charakter prywatny twórczości, wyznaczanej wartościami wyższymi, nie zaś celami pragmatycznymi, ujawnia się wówczas, gdy analizujemy dzieła z punktu widzenia ich genezy. Ta prywatność jest wyraźna i wtedy, gdy twórca przeżywa konieczność ustosunkowania się do zjawisk, które go otaczają. Naturalnie każdy z nas jest uwikłany w problemy zbiorowości i uwarunkowany przez zbiorowość; nikt z nas nie jest wyizolowany. Każdego środowisko stara się określić w sposób sobie podobny. Biorąc pod uwagę ten wpływ społeczności, jej wzorów i zastanej kultury, można by – przerysowując – mówić o li tylko społecznym charakterze twórczości, skoro stanowimy konglomerat wpływów innych, działających na nas bądź to bezpośrednio, bądź poprzez swoją twórczość.

Jednakże, tak jak kształtowanie własnej indywidualności wymaga nieprzystosowania wobec gotowych wzorów i nie pozwala na bierne przejmowanie proponowanego modelu życia, podobnie i twórczość autentyczna jest przejawem wstępującej samowiedzy. Wyłania się ona niczym własne oblicze spod skrzyżowanych różnorodnych wpływów. Nie jesteśmy anachoretami i nie taki sens należy nadawać prywatnemu charakterowi twórczości.

Samookreślenie w twórczości – zarówno ze strony wąsko pojętej grupy twórców czy szeroko – w znaczeniu tzw. odbiorców – angażuje cały świat wewnętrznych przeżyć, a w tym często nie uświadamiany nasz regionalizm. Choćbyśmy bowiem chcieli być europejscy, zawsze pozostaniemy uwarunkowani przez nasz rodzimy, środowiskowy i kulturowy region, w znaczeniu całego zespołu wartości, w których wstępujemy. I ten regionalizm wyznacza nas. Nawet wtedy, gdy buntujemy się wobec niego, gdy jesteśmy nie przystosowani – regionalizm stanowi miarę negatywną. Ta szamotanina, to marzenie o uniwersalizmie zostało genialnie wyrażone w twórczości Gombrowicza. Ale wyraziło się w niej i również to, że usiłowanie jest skazane na niepowodzenie.

Twórczość wznaga rozwój wewnętrzny, ujawnia twórcy wyraźniej jego własne ja, uczy znajdować oparcie w sobie oraz wznaga odwagę kształtowania się na swój własny sposób. Prywatny charakter twórczości nie przeczy regionalnemu uwarunkowaniu każdej twórczości i nie przeczy też społecznemu znaczeniu dzieł, które twórca stworzył. Rezultaty twórczości sprawdzają się w osobistych odczuciach i przemyśleniach tych, którzy ją odbierają, współtworzą na własny sposób.

Mamy skłonność do przeceniania wartości badań naukowych. Wciąż się wydaje, że wiedza

zdobyta w badaniach naukowych jest jedyną uprawnioną wiedzą. Znacznie głębsza jest ta, moim zdaniem, którą najogólniej określić można mianem wiedzy przednaukowej. Zawiera ona cały szereg prawd intuicyjnych, sprawdzalnych i wyprzedza wciąż to, co potem powoli jest udowodniane w badaniach naukowych. Na przykład, twórczość artystyczna jest domeną, w której głównie wiedza przednaukowa dochodzi do głosu. Prawdy zawarte w utworach poetyckich, w prozie są często prawdami, które wyprzedzają badania uczonych. Nasuwa mi się tutaj przykład *Inteligencji kwiatów* Maeterlincka. Wiele dziesiątków lat później uczeni amerykańscy udowodnili w swoich laboratoriach, że rzeczywiście rośliny odznaczają się dużym stopniem wrażliwości, co można byłoby określić mianem inteligencji.

Zdecydowana większość systemów filozoficznych Europy i obu Ameryk ceni to przede wszystkim, co daje się ująć pojęciowo. Człowiek jednakże nie tylko pojmuje intelektualnie, ale przede wszystkim przeżywa świat i w rezultacie wie znacznie więcej niż jest w stanie zrozumieć. Świadomość tego przynosi wniknięcie w dzieła literatury czy sztuki. W twórczości artystycznej bowiem ujawnia się twórca pełniej niż w naukowej, w której to, co osobiste, jednostkowe nie ma prawa obywatelstwa. Twórczość artystyczna przybiera często postać autobiografii w szerokim znaczeniu tego słowa, o ile ma charakter autentyczny (zaprzeczenie twórczości wynikającej z pobudek koniunkturalnych). Ten autobiografizm stanowi zarazem o regionalnym charakterze twórczości. Pisząc bowiem „samym sobą”, daje się upust przeżyciom związanym z zakorzeniem w jakimś zakątku świata. I na nic nie zda się tu wewnętrzny protest. Ale zniewolenie nim nie przeszkadza w nadaniu regionalizmowi wyrazu uniwersalnego. Region może istnieć bez twórcy, ale nigdy twórca bez regionu.

Potrzeba utrwalenia nie tylko swych przemyśleń, czy impresji, ale dziejów własnego życia wraz z panoramą spotykanych ludzi znamionuje wielu. Jest to zarazem zapis wpływów własnego regionu na nasze życie. Jest to również potrzeba rekapitulacji, namysłu nad sensem czasu, który upłynął. W tym zastanowieniu wyraża się opór wobec przemijania i chęć powrotu do tego świata, który tworzyli ci, co już odeszli. Chęć powrotu do korzeni i wzmożona potrzeba samoświadomości czy też inaczej, rejestru wpływów szeroko rozumianego środowiska niezależnie od postawy mniej czy bardziej przystosowawczej. Nawet buntując się wobec własnego regionu, pojmowanego w sensie geograficzno-społeczno-zawodowo-kulturowym, dokonujemy samookreślenia wobec treści narzucanych przez region. Zresztą, i tak abstrakcyjnie pojęte społeczeństwo, złożone z obok siebie istniejących jednostek, nie byłoby wolne od uwarunkowań regionalnych, choćby w sensie tradycji, krajobrazu, klimatu, spraw gospodarczych.

Utrwaliło się przekonanie, że kultura znamienne dla naszych czasów, tj. masowa, różni się

od dawniejszych kultur tym, że jest uniwersalna na tyle, iż zagadnienia regionalizmu jej nie dotyczą. Różnice upatruje się również w tym, że kultura masowa stanowić ma rezultat rozwoju techniki – masowych środków łączności. Przyjmując takie stanowisko, zapomina się łatwo, że dawniejsze przemiany kulturowe pozostawały również między innymi w związku ze zmianami technicznymi, a więc nie były jedynie rezultatem przemian świadomości.

Wynalazek druku doprowadził do modelu samotnego myśliciela. Kultura okresu rękopisów wiązała myśliciela z konieczności bardziej ze wspólnotą. W dobie rękopisów panował zwyczaj publicznych ścierań się poglądów i publicznie też niemal krystalizowały się przemyślenia światopoglądowe.

Rozwój środków audiowizualnych przynosi nową rewolucję, następują przemiany w charakterze i sile ludzkich reakcji. Gerhard Funke, wybitny filozof niemiecki, którego znam korespondencyjnie, przyznaje, że audiowizualne środki przekazu dostarczają olbrzymiej sumy informacji brutto, ale zniewolenie nie jest jedynym rozwiązaniem tej sytuacji. Człowiek ma wszak możliwość sprawowania funkcji kontrolnej wobec tego, co wszechwładnie chciałoby nas pochłonać. G. Funke żąda nieprzerwanie krytyczno-rozumowego nastawienia wobec ślepego zaangażowania. Mimo cenzury nakładanej przez państwa, coraz mniej od czasu Gutenberga zaznacza się tabu w publikacjach. Coraz pełniej wyrażają one człowieka i jego problemy, bez żadnych niedopowiedzeń, a zarazem świat–region, w którym twórca się kształtuje.

Jakość kultury nie jest zależna od poziomu materialnego. Ta obserwacja potwierdza się też i w odniesieniu do współczesności, gdy weźmiemy pod uwagę, na przykład, postawę grupy hippisów amerykańskich, wywodzących się z bogatych domów; odrzucają swe środowisko po to, by w trudzie, z dala od ułatwień i ustosunkowanych rodzin, podejmować wysiłek urzeczywistnienia siebie. Kieruje nimi godna pochwały niechęć do konformizmu. Naturalnie, odrzucając swój, nazwałabym to, rodzinno-biologiczny regionalizm, może nie tyle odnajdują, co współtworzą nowy własny regionalizm. Regionalizm z wyboru.

Poglądy głoszące wyrazistą rozdzielność kultur masowej oraz elitarnej są nie całkiem trafne. Najłatwiej zilustrować to na przykładzie odbiorców, a tych nie da się ująć w dwie rozłączne grupy, to znaczy takie, które by albo czerpały z kultury masowej, albo z elitarnej i zarazem ją współtworzyły poprzez uczestnictwo. Dlaczego?

Przed wszystkim poeci (jak Rimbaud) oraz malarze (Breton, Duchamp), rzeźbiarze (Max Ernst), osadzili twórczość w codziennej rzeczywistości, w tej, do której odwołuje się kultura masowa. Od czasu, kiedy każdy przedmiot może oznaczać dzieło sztuki, odkąd sztuka jest narzędziem, działaniem, a nie celem samym w sobie, kultura elitarna w dziedzinie sztuki zrobiła wielki krok w kierunku kultury masowej. Staje się to jeszcze bardziej wyraziste w

sztuce konceptualnej, która włącza sztukę w rzeczywistość. Nie powołuje do życia nowych przedmiotów – składników świata estetycznych przeżyć. Wybitne dzieła Felliniego czy Bergmana, będąc elitarne, są zarazem częścią kultury masowej.

Podobieństwa między kulturą znaną dla naszych czasów i kulturą poprzednich epok dotyczą również zagadnienia regionalizmu, leżącego u podstaw procesów twórczych. Nie chodzi tu, by, na przykład, opisywać uroki miejscowości, w której przyszło się na świat, bądź dzieje własnego rodu. Bywa lokalizm znacznie bardziej potężny, lokalizm z wyboru: Nałęczów Żeromskiego, Tatry Karłowicza czy Szymanowskiego.

Nie można istnieć i nie można formować siebie, pozostając w izolacji. Trzeba w jakimś miejscu zapuścić korzenie. One decydują o naszej indywidualności i sensie twórczości. Pozostaje się zawsze elementem jakiejś mikrospołeczności i ona wyznacza nas. Od tak pojętego regionalizmu nie ma ucieczki.

Regionalizm rodzinno-geograficzno-biologiczny ma w sobie coś z przypadkowości. Ale nie jesteśmy na to skazani. Zdarza się regionalizm z wyboru. Stanowi zazwyczaj rezultat długiej drogi poszukiwań i nie ma w sobie nic z przymusu. Ja tak bardzo lubię Nałęczów.

Z powrotem do Przybyszewskiego

Od dawna nurtuje mnie potrzeba napisania o Przybyszewskim. Od dawna drażnią mnie stereotypowe, bez namysłu powtarzane sądy deprecjonujące jego twórczość.

Nawet duma narodowa z jego wpływu na literaturę innych krajów nie przewyższa niechęci narosłej wokół niepospolitego pisarza: duma – bowiem oddziałł niewątpliwie na kształt kultury innych narodów. Uprawiając swoiste mogilnictwo w Polsce, uznając często talent twórcy i jego niepospolitą wielkość dopiero wtedy, gdy odejdzie – nie postąpiliśmy tak jednak z Przybyszewskim. Jest to tym więcej niezrozumiałe, ponieważ jego wielkość została doceniona w wielu krajach. Mimo tej negatywnej opinii naszych krytyków funkcjonującej w społeczeństwie – zainteresowanie jego twórczością i jego życiem nie ustaje.

Przykładami są książki: *Fantasia alla polacca* Marii Kuncewiczowej, Ewy K. Kossak *Dagny Przybyszewska* czy *Stachu. Jego kobiety i jego dzieci* pióra Krystyny Kolińskiej (która zadała sobie wiele trudu w poszukiwaniu dokumentacji) czy film o życiu jego żony, Dagny (niestety pokazujący pisarza według najgorszych obiegowych stereotypów). Z fascynacji Przybyszewskim zrodziły się głębokie studia Stanisława Helsztyńskiego i jego wysiłek wydania listów pisarza. Przybyszewski staje się również centralną postacią wspomnień Alfreda Wysockiego *Sprzed pół wieku*. Warto pamiętać, że Wyspiański uznał, iż Kraków powinien postawić pomnik Przybyszewskiemu.

Mody literackie są często przemijające i interesujące byłoby zbadanie procesów kreujących na wielkich pisarzy, jak również motywów skazywania danego pisarza na sąd o drugorzędności jego dzieła. Rozbieżne oceny twórczości Przybyszewskiego może znalazłyby wówczas pogłębione uzasadnienie. Niepodobna bowiem narosłej wokół tego pisarza niechęci wyjaśniać jedynie nieznamościami jego twórczości oraz złą sławą ugruntowaną przez Boya. U podłoża ośmieszających opinii Boya leżało wszak uczucie tego wybitnego tłumacza literatury francuskiej do żony Przybyszewskiego, Dagny. Przy czym, nie wybaczone

Przybyszewskiemu faktów, które – analogicznie – nie stanęły na przeszkodzie temu, by Żeromskiego przedstawić w podręcznikach jako pisarza – Polaka godnego czci. Przybyszewski przynajmniej nie zmienił wiary dla celów osobistych. Jakże bezmyślnie przyjmujemy sądy o innych!

Zwykliśmy z opóźnieniem uznawać tych rodaków, których talent zyskał rozgłos za granicą. W odniesieniu do Przybyszewskiego zawodzi nawet i to. Tymczasem jego nazwisko należy do znanych na świecie może nie mniej niż Sienkiewicza.

Jednym tylko z przykładów wysokiej oceny twórczości Przybyszewskiego jest fakt, iż w dziele Paula Fechtera, poświęconym dramatom europejskiemu, jest mowa jedynie o czterech polskich twórcach, a w tym o Przybyszewskim. Nicoll – wybitny angielski krytyk – w *Dziejach dramatu*, cenionej pracy o światowej literaturze dramatycznej – wyraża swe uznanie tylko dla jednego Polaka. Dla Przybyszewskiego. A trzeba dodać, że wymienia sporo polskich twórców dramatycznych. Przybyszewski, zdaniem Nicolla, posiadał siłę niezwykłej miary. Zapominamy, że o rolę w dramatach Przybyszewskiego toczyły walki znakomite aktorki, że grał w nich Bolesław Leszczyński, Solski, Siennicka, z którą o role w dramatach Przybyszewskiego rywalizowała Zapolska. Jego dramaty wystawione po ostatniej wojnie cieszyły się powodzeniem zarówno w teatrze, jak i telewizji. Ujawniane są w nich te same problemy, które, przykładowo, nurtują Pintera czy Bergmana w jego filmach.

Pięćdziesięciolecie śmierci pisarza w 1977 roku, nie było uczczone w sposób odpowiedni dla jego miary. Twórczość Przybyszewskiego – zostanie to zapewne dostrzeżone – ujawnia głębokie prawdy o człowieku i jego potrzebach. Pisarz ten, podobnie jak Beckett, ukazuje jednostkę w sytuacjach skrajnych. Wyjawia m.in. prawdę, którą chętnie się przemilcza, a mianowicie, że namiętność jest siłą przyspieszającą ludzkie działania, o czym pisał kiedyś Stanisław Wlazoł.

Wnikając w biografię Przybyszewskiego, śledzę poszukiwania pełni życia, wyrażone następnie w dramatach, rapsodach i powieściach przez niego pisanych. Obcowanie z jego twórczością wzbogaciło mnie, bowiem z otwartością i szczerością nie cofającą się przed zdejmowaniem masek – które nawet wobec siebie samych chętnie nakładamy – daje ona wyraz problemom związanym nierozdzielnie z ludzką kondycją. Pisarz chce ujrzeć człowieka w jego nagości. Chce ujawnić bez reszty emocje rządzące relacjami międzyludzkimi.

Przybyszewski był pisarzem, który w bardziej decydujący niż kto inny sposób nadawał ton literaturze europejskiej w latach 1895–1905. I Niemcy, i Rosjanie, i Skandynawowie znali z Polaków, poza Sienkiewiczem, przede wszystkim Przybyszewskiego. Dlaczego nie chcemy być z niego dumni?

Uważam, że należałoby na nowo odczytać sens stanowiska Przybyszewskiego. Wiele nieporozumień narosło wokół domagania się przez niego sztuki dla sztuki. To hasło uległo spłyceciu i ośmieszeniu. A wypada uznać, jak sądzę, że hasło sztuka dla sztuki wniosło wiele interesującego materiału poznawczego do analizy procesów twórczych.

Przybyszewski pisał wyraźnie, że tworząc nie myśli o tym, w jakie ręce dostaną się jego książki. Że nie tworzy dzieł sztuki ze względu na cele leżące poza nią. To nie znaczy jednak, by wobec rzeczywistości zewnętrznej pozostawał obojętny. Z pasją publikował w „Gazecie Robotniczej” artykuły o treści społecznej i politycznej, zadaje zasadniczych przemian. Tworzenie dzieł – jeśli mają być sztuką w pełnym tego słowa znaczeniu, a nie tworem pisanym z wycucia momentu – musi pozostać sprawą bardzo własną twórcy. I to niezależnie od ich społecznego działania, którego owa „własność” nie wyklucza.

Hasło „sztuka dla sztuki” podkreśla, że rodzaj pobudki uruchamiającej proces twórczy decyduje o wartości stworzonych dzieł. Dlatego właśnie, mimo różnic narodowych, wspólna jest wszystkim taka sztuka, która – mówiąc słowami Przybyszewskiego – pozwala mi w jakimkolwiek bądź tworze jakiegokolwiek narodu przegłądać się mojej duszy jak we własnym narodowym zwierciadle. Charakter własny, osobisty twórczości autentycznej – tj. wyznaczonej wartościami wyższymi, nie zaś celami doraźnie pragmatycznymi – ujawnia się wówczas, gdy analizujemy dzieła z punktu widzenia ich genezy.

Ta prywatność jest wyraźna i wtedy, gdy twórca przeżywa konieczność ustosunkowania się do zjawisk, które go otaczają. Jest oczywiste, że każdy jest uwikłany w problemy zbiorowości i uwarunkowany przez zbiorowość; nikt nie jest wyizolowany. I jeżeli wzięłoby się pod uwagę ten wpływ społeczności, to można by głosić twierdzenia o społecznym charakterze twórczości, ale nieujawnianie zarazem jej charakteru prywatnego prowadzi do zafałszowań. Jednostkowy sens tworzenia przestaje być ważny, gdy motywami stają się cele użyteczne, zwłaszcza samego piszącego. Również w twórczości – co już wiadomo – oportunizm i konformizm czynią szkody nieobliczalne. A społeczny odbiór – choćby twórca tego nie wyrażał – prawdziwego twórcę interesuje zawsze i nie musi przy tym prowadzić na manowce. Sztuka dla sztuki niesłusznie nosi u nas akcent *odi profanum vulgus*.

Zastanawia mnie niechęć zdecydowanej większości naszej krytyki do twórczości Przybyszewskiego. A może zawiera się coś istotnie słowiańskiego w jego twórczości – a my tak bardzo i za wszelką cenę chcemy być europejscy? A może głoszone przez niego prawdy o człowieku, obnażające naszą pruderię i obiegowe sądy, drażnią nas aż tak, że nie zostaje dostrzeżone to, co wartościowe? Wydaje się, że twórczość tego pisarza wzmagą potrzebę intensywnego myślenia, poszukiwania prawdy własnego życia oraz istotnych związków z

innymi ludźmi.

Wyrażając sąd o czyjejś twórczości, kreując pisarza na wybitnego, zachowujemy się tak, i to nie od dziś, jakby obiektywnie w jego dziele tkwiło owo znamię wielkości – a my pozostawalibyśmy biernymi świadkami tego, wziętymi jakby przez tę twórczość w niewolę. Oceny mają subiektywno-obiektywny charakter. W sferze wartości estetycznych godzimy się na to, by uznawać oceny grona znawców za powszechnie obowiązujące. Boimy się wyłamać z tej konwencji w lęku, że wydamy się otoczeniu nie dość na poziomie. Często za to po cichu pochłaniamy literaturę drugorzędą, publicznie przyznając wartość najwyższą tej uznanej za wielką, chociaż wcale nie musimy jej ani znać, ani cenić. Ja się przynajmniej nie wstydzę tego, że wielu wielkich pisarzy mnie nudzi.

Przybyszewski torował drogi zjawiskom zupełnie nowym. Rozsławił Muncha i Vigelanda, przyczynił się do tego, że świat odkrył El Greco i grafiki Goyi. Nie tylko z okazji rocznicy Kochanowskiego warto przypomnieć, że nikt tak wysoko nie stawiał twórczości tego poety jak Przybyszewski. Cenił go na równi z Mickiewiczem, którego czcił jako geniusza.

Odkrywczy umysł Przybyszewskiego skłaniał go do wnikliwych studiów w wielu dziedzinach. I śmieszne byłoby deprecjonować go z powodu braku dyplomu uniwersyteckiego, jakkolwiek ten miernik wartości człowieka u nas, niestety, obowiązuje. Doktor Carl Schleich, słynny chirurg berliński, właśnie pod sugestią Przybyszewskiego – pisze o tym Stanisław Helsztyński – dokonał epokowego wynalazku w medycynie, mianowicie tzw. znieczulenia miejscowego.

Mówiło się w Berlinie, w Skandynawii czy w Czechach o Przybyszewskim jako o genialnym Polaku. Jego niemieckojęzyczni czytelnicy zapewne nie mieli zastrzeżeń estetycznych na przykład do *Totenmesse*. Sława, z którą przyjechał do Polski, opierała się właśnie na jego dziełach niemieckich. Rzadko autor dzieł artystycznych jest zarazem kongenialnym tłumaczem na inny język, nawet na ojczysty. *Msza umarłych* jest istotnie czymś innym niż oryginał niemiecki. Po polsku pisał potem pospiesznie z wielu przyczyn, ale jeżeli kierował się mniej rygorystycznymi wymogami formalnymi – to przecież takie zastrzeżenie nie podważa wartości dzieł, na przykład, Dostojewskiego. Również gdzieś poza granicami kraju twórczość Przybyszewskiego nadal wzbudza zainteresowanie, więcej – oddźwięk.

Z reguły oceniamy twórczość Przybyszewskiego przez pryzmat jego życia, widzianego powierzchownie, w kategoriach skandalu. Zapominamy o zdaniu Mickiewicza: chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie – a wobec Przybyszewskiego uzurpujemy sobie rolę sędziów. Życie Żeromskiego mierzy się jakoś inną miarą. Nawet na Zamek Warszawski

Przybyszewski nie powróci; upamiętnione zostanie mieszkanie Żeromskiego, którego narodowa pamięć uczciła muzeami. Przybyszewski na zamku mieszkał również kilka lat.

Swoisty los spotkał Przybyszewskiego. Choć jego powieści nikt prawie nie czyta, dramaty rzadko są wystawiane, a w programach nauczania traktowany jest zdawkowo, niemal każdy, nie znając jego twórczości, opierając się na tym, co słyszał, jest pewny, że to twórczość bezwartościowa i przebrzmiała. Tym, którzy powracają do Przybyszewskiego, nie udaje się jak dotąd przełamać tego obiegowego sądu. Mnie on wiele nauczył. Zwłaszcza sięgania pod ludzką skorupę i ludzkie maski. A potem nauczycielem był mi Ibsen ze swoim dążeniem do prawdy w stosunkach międzyludzkich. Nie są to jednak bezpieczne nauki.

Nie wstydzmy się Rodziewiczówny

Modne w dzisiejszej literaturze stało się przenoszenie nijakości z życia. Tylko właściwie, po co? Wszak czytelnik biorąc książkę do ręki szuka na ogół wartości, których nie odnajduje w otaczającej go rzeczywistości. Jednakże zamiast postaci – wzorów promieniujących na sposób naszego życia, postaci, z którymi pragnęłoby się utożsamiać, odnajduje się postacie nijakie, rozmyte.

Wychowałam się na utworach niedocenianego dziś, na przykład, Londona, Ibsena, czy Rodziewiczówny, ucząc się kultu wyższych wartości. Duże znaczenie ma możliwość czerpania wzorów dla ukierunkowania energii życiowej i potwierdzenia sensu własnych wysiłków. Wiele postaci-wzorców – choćby Don Kichot – funkcjonuje na tyle silnie, że ich li tylko literackie istnienie nie zmniejsza siły oddziaływania. A sposób życia wielu wybitnych jednostek nie nadaje się do tego, by stanowić wzorzec do naśladowania, mimo że stawiamy im pomniki i wymazujemy pewne fakty z biografii.

Uważam, że literatura w większej mierze niż wiedza naukowa służy namysłowi nad własnym życiem i kierunkiem pożądanym w nim przemian. Przeszkodą w tym bywają autorytatywne i o dużej sile oddziaływania sądy krytyków, którzy wytwarzają w czytelnikach opory przed sięganiem do książek, które ich pociągają. Krytycy ci oceniają cały szereg dzieł, dawniej czytanych, mianem literatury drugorzędnej i czytelnik zmusza się do czytania książek nudnych, zrażających nawet do literatury w ogóle. Na przykład, zostali u nas przereklamowani przez niektórych krytyków, jak mi się wydaje, pisarze iberoamerykańscy, a z polskich chociażby Drzeżdżon. Lansuje się u nas jeden tylko styl w poezji, chociaż inny jej rodzaj jest oczekiwany przez odbiorców. We współczesnej plastyce – zestawiając z poezją – odświeżająca jest wielość odmiennych nurtów i manifestów.

Od pewnego czasu kodeks moralny krytyków przestał się rządzić racjami artystycznymi. Pozaliterackie względy dyktują oceny. Zresztą, wszelkie oceny estetyczne mają zabarwienie

subiektywne. Wracając do Rodziewiczówny – nie mogę uznać jej twórczości za przebrzmiałą i niegodną uwagi tylko dlatego, że pewna grupa uzurpowała sobie prawo, aby zaliczyć ją do literatury drugorzędnej. Podobnie stało się, na przykład, i z Dołęgą-Mostowiczem mimo znakomitej konstrukcji jego powieści, na pewno pod tym względem przewyższających pisarstwo Żeromskiego. *Kariere Nikodema Dyzmy* uważam za jedną z najlepszych powieści XX-lecia. Utwory pisane jasnym, klarowym językiem są niżej obecnie u nas cenione od tych, pisanych językiem ciemnym i pokrętnym. Utarła się więc pewna niedobra maniera. To, co trudno czytelne wydaje się mądre przez swą złożoność. Dotyczy to prac naukowych i literackich.

Książki Rodziewiczówny są wznawiane w dużych nakładach i błyskawicznie się rozchodzą. *Dewajtis* doczekał się po ostatniej wojnie co najmniej 5 wydań. Rodziewiczówna propaguje takie wartości, do jakich jesteśmy po dziś dzień bardzo silnie przywiązani. Pewien zespół wartości – znajdujący wyraz w twórczości Rodziewiczówny – oddziaływał w przeszłości i dziś utrzymuje się nadal, i to w dodatku w rozmaitych kręgach społecznych.

Gdy w roku 1979 objęłam, na pewien czas, stanowisko zastępcy redaktora naczelnego kwartalnika „Zdrowie Psychiczne” – wydawanego z zasiłku Polskiej Akademii Nauk – jednym z pierwszych moich posunięć było zamówienie artykułu o wartościach wychowawczych twórczości Rodziewiczówny. Napisał go docent Jan Wiktor. Czytamy tam m.in., że jest ona najpoczytniejszą polską pisarką w obecnych czasach. Tylko dlaczego dużej odwagi wymaga obecnie przyznanie się publicznie do tego, że lubi się czytać jej książki? Dlaczego tak chętnie obniża się rangę powieści Rodziewiczówny?

Maria Rodziewiczówna tworzyła nie na zamówienie, lecz pod wpływem nadmiaru przeżyć i przemyśleń, które domagały się ujścia. Reagowała silnie na problemy, które niosło życie. Zniechęconych i zawiedzionych podnosiła i podnosi na duchu swoją niezłomną wiarą w to, że dobro ostatecznie w życiu odnosi zwycięstwo. Wierzy też, że sprawiedliwość musi wreszcie brać górę nad bolesnymi przejawami jej braku. Uczyła wychodzić z zamkniętego kręgu własnego egoizmu i wyjaśniała sens ludzkiego cierpienia.

Wbrew utartym mniemaniom życie Rodziewiczówny przypadło na czasy współczesne. Tylko mało kto wie o tym – rekonstruuje tu na podstawie rozsianych wspomnień w drobnych artykułach – że w okresie niemieckiej okupacji Rodziewiczówna należała do konspiracji i przed wybuchem powstania warszawskiego została odznaczona krzyżem walecznych. Otrzymała też stopień oficerski. Była do ostatnich swych dni człowiekiem czynu. Niewiele też wiadomo o tym, że książki Rodziewiczówny były przed wojną nagradzane: *Straszny dziadunio* w konkursie pisma „Bluszcz” (Maria Konopnicka) oraz *Dewajtis* w konkursie

„Kuriera Warszawskiego” (Henryk Sienkiewicz).

To ostatnie pismo w 1911 roku, z okazji 25-lecia pisarstwa Rodziewiczówny, opublikowało list Sienkiewicza do Rodziewiczówny (cytuje za Janem Wiktorem „Zdrowie Psychiczne” 2/1979): „Radość, z jaką społeczeństwo przyjęło pierwszą Twą powieść, sława i uznanie, jakie ją otoczyły, były dowodem, że istnieje ścisły, serdeczny i głęboki związek między Twoją duszą a duszą polskiego ogółu i że Ty wypowiadasz w wysokiej artystycznej formie to właśnie, co on myśli, co czuje, do czego dąży”. Wysoko cenili talent pisarski Rodziewiczówny również literaci tej miary co Adam Grzymała-Siedlecki, Tadeusz Boy-Żeleński czy światowej sławy filozof Wincenty Lutosławski, zmarły po ostatniej wojnie.

Utwory Rodziewiczówny przenika wiara w możliwości rozwojowe człowieka, w siłę jego woli, zdolną przeobrażać nas wewnątrz. Jej optymizm jest tak silny, że wzmacnia wiarę w spełnienie nadziei zdawałoby się utopijnych. Jan Stępień podnosi w „Tu i Teraz” jako wartość pisarstwa Rodziewiczówny – głoszony przez nią kult heroizmu, który przecież stanowi o naszym człowieczeństwie.

Nie bez znaczenia jest też umiejętność pobudzania przez Rodziewiczównę wyobraźni czytelnika. Zdolność do widzenia świata codziennego w wymiarze przesyconym dążeniami przekraczającymi wymiar naszych codziennych trudów wokół utrzymania się przy życiu. Rodziewiczówna uczy nie poprzestawać na deklaracjach; uczy, na przykładzie swoich bohaterów, czynnej postawy wobec innego człowieka jako sprawdzianu uczuć przyjacielskich oraz miernika charakterów. Postawa otwartości i życzliwości wobec innego człowieka jest podstawowym wzorem, który Rodziewiczówna przybliża i czyni to bez natrętnej dydaktyki. Wartość szczególną przyznaje tym, którzy heroicznie walczą ze swoim ja, by ukształtować się na wyższym poziomie. A drogą ku temu jest rozbijanie świata przymysłów intelektualnych i schematów, w które wrośliśmy, jak również zwrócenie się ku naszym emocjom i kształtowanie w sobie tego, co określa się dziś mianem empatii. Wdzięczna jestem mojej matce, że podsunęła mi książki tej pisarki. I dobrze się stało, że „Za i Przeciw” drukuje fragmenty pamiętnika Skirmuntówny – towarzyski życia i zarazem miłości życia Rodziewiczówny.

Próżnia filozoficzna

Notuję te uwagi, by zdać sobie sprawę z wielości nurtów filozoficznych u nas w dniu dzisiejszym. Brak opracowań sprawia, że podejmuję to, co wolałabym w formie gotowej przeczytać. Postanowiłam ten fragment dziennika opublikować, ponieważ niepokoi mnie brak – w skali powszechnej – elementarnej wiedzy o tym, co dzieje się w świecie filozoficznym. A właściwie każdy powinien być choć trochę o tym poinformowany, a zwłaszcza pisarze i artyści, którzy bywają tak blisko problemów filozoficznych, że często ich dzieła pobudzają do refleksji filozoficznych i pozwalają odnajdywać odpowiedzi na pytanie „jak żyć”.

Niemożliwy jest rozwój nauk humanistycznych bez przywrócenia należnej rangi dociekaniom filozoficznym, i to o charakterze pluralistycznym. Równoległe z obniżeniem społecznej rangi filozofa, nastąpił wzrost społecznego znaczenia dziennikarzy i socjologów. Łatwiej uznać filozofię za „przelewanie z pustego w próżne” niż zadać sobie trud jej zgłębiania. Skoro mamy reformować nasze życie publiczne i starać się o prawidłowy kształt życia intelektualnego, to należałoby również przełamać pełen pobłażania stosunek do filozofów i myślą filozoficzną nasycić codzienność. Ale to nastąpić może jedynie za sprawą samych filozofów, ich postawy życiowej, o ile naczelnym stanie się dążenie do prawdy. Zależy to również od sumiennego i wszechstronnego popularyzowania filozofii w społeczeństwie.

Przełamanie postawy koniunkturalnej to główna droga ku temu, by filozofowanie dzisiejszych myślicieli odzyskało autentyczność, a zatem – wzbudzało szacunek. Oczekiwać należy zarazem wyrazistszego niż dotąd rozwoju myśli filozoficznej w jej poszczególnych odmianach. Moglibyśmy wtedy zacząć uczestniczyć – na polski sposób – w wielkich czasach filozofii. Z postulatem wielości nurtów w obrębie filozofii nie wiąże się żadne niebezpieczeństwo, bowiem – jak pisał Lenin – z filozofii idealistycznej można wysnuwać wnioski z pożytkiem dla partii. Wystarczy też przypomnieć stosunek Marksa do filozofii Hegla, do jej spożytkowania przez niego. Rozwój innych nurtów filozoficznych miewa więc

znaczenie pobudzające rozwój samego marksizmu. Każdy z systemów zawiera jakąś część prawdy o rzeczywistości, odmiennie ją wyrażając. Ale wyznawcy rozmaitych systemów mogą być zwolennikami tej samej orientacji politycznej.

Wiedza w obrębie nauk szczegółowych, jak również wiedza filozoficzna, nie tworzą się na podstawie samych „czystych” faktów doświadczenia. Są w nich uwikłane założenia teoretyczne. Przy czym, nie można uzyskać kontaktu ze światem w sposób nie zabarwiony subiektywizmem. Nie powinno to być rozumiane jako zarzut pod adresem filozofii. Nawet w naukach szczegółowych ten sam zespół faktów wyjaśnić można za pomocą nie jednej, lecz kilku teorii wzajemnie nieraz sprzecznych.

Wytworzyło się u nas błędne, a potoczne mniemanie, że filozofia może być tylko marksistowska albo chrześcijańska. Odmiany tego ostatniego nurtu (neotomizm, augustynizm, personalizm, teilhardyzm) mało są znane filozofom, nie mówiąc już o szerszych kręgach inteligencji. O Hoene Wrońskim i kantyzmie w Polsce wiedzą tylko nieliczni. Inaczej nieco kształtuje się sytuacja w kręgach uniwersyteckich, gdzie zaznacza się – w zamkniętych raczej grupach filozofów i literaturoznawców – fenomenologia, a wśród filozofów i części przyrodników – tendencje neopozytywistyczne oraz wciąż za mało znana filozofia rozwoju Bolesława Gaweckiego.

Interesuje mnie problem oddziaływania nurtów filozofii niemarksistowskiej na społeczeństwo. Podstawowe bowiem wydaje się pytanie, na ile te różnorodne i odmienne w sile swojego oddziaływania systemy kształtują świadomość inteligenta w Polsce. Nie jest zadowalające stwierdzenie o wyizolowanych kręgach, uprawiających określoną myśl filozoficzną na wysokim nawet poziomie. W „próżni filozoficznej”, niestety, kształtuje się u nas dzisiaj światopogląd większości jednostek.

Próżnią nazywam stan, w którym przenika nasze życie kulturowe właściwie jeden nurt filozoficzny – marksizm. Nie należy tej wypowiedzi posądzać o chęć negowania wartości marksizmu, lecz o coś zupełnie innego. Mianowicie jeden tylko nurt filozoficzny stał się u nas tym, który wchłaniają w siebie wszyscy, nawet i ci, którym obcy jest ateizm. Wytwarza się w mentalności ogółu konglomerat marksistowskiego pojmowania rzeczywistości zespolonego niekoherentnie z religijnymi wartościami chrześcijaństwa.

Próżnia filozoficzna, moim zdaniem, pojawia się wtedy, gdy oddziałuje jeden system niezależnie od jego wartości. Bowiem dopiero w sytuacji krzyżowania się rozmaitych tendencji mogą wykrystalizować się wyraziste światopoglądy jednostek, utwierdzonych rzeczywiście – nie zaś powierzchownie – w swoich poglądach.

Utarło się mylne rozumienie filozofii, jako wiedzy odległej od rzeczywistości. Potrzeba

praktycznego korzystania z filozofii wiąże się ściśle z niepokojami, jakie niesie codzienność, wobec których jesteśmy często nieporadni. Tradycje polskiej filozofii narodowej wskazują na związek filozofii z życiem, na to, że ma ona być przewodnikiem życia narodów. Tymczasem brak u nas ożywionej wymiany poglądów, polemik filozoficznych, bo to, co zaznacza się czasem w naszym piśmiennictwie, ma charakter sporów światopoglądowych a nie filozoficznych.

Powszechny oddźwięk znajdują u nas jedynie książki z zakresu psychiatrii i psychologii. Prawd o człowieku nie poszukuje się na ogół w filozofii. Ale po co wprowadzać tych, którzy oczekują pomocy i pozostają w granicach tzw. normy, w świat chorób i różnorodnych na ich temat opinii? Jest to duże niebezpieczeństwo, zwłaszcza dlatego, że większość psychiatrów i psychologów jest przekonana, że wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle. Obcowanie z patologią nie dla każdego jest wskazane. Ta zaznaczająca się dziś powszechnie droga: przez psychiatrię – określaną często mianem humanistycznej – do problemów człowieka zdrowego, jest nam niejako narzucana, a to z braku filozoficznych rozpraw, w przystępny sposób podejmujących problemy związane z sytuacją człowieka w codzienności. Ale czy przy takich uprzedzeniach wobec filozofii byłyby te rozprawy – gdyby nawet istniały – czytane? Silne u nas tradycje filozofii pozytywistycznej uczyniły tematy cierpienia, nadziei, miłości, samotności, przyjaźni, wręcz wstydliwymi, nadającymi się do odświętnych konwersacji, lecz nie do poważnej refleksji.

Poszukiwanie przez szeroki ogół czytelników pomocy w pracach wielu dzisiejszych psychologów i psychiatrów można też odczytać optymistycznie – jako pośrednie zwrócenie się ku filozofii. Niektóre z tych prac stanowią kontynuację egzystencjalizmu i wpływ tej filozofii na psychiatrię nie ustaje. Maslow, Rogers, Frankl, by wymienić przykładowo tylko tych psychiatrów, tworzą swoiste i różnorodne powiązania egzystencjalizmu z rozważaniami psychoanalitycznymi i z metodami psychoterapeutycznymi.

Szerząca się wiedza o patologii skierowuje jednak uwagę na tory niewłaściwe i może stawać się nawet źródłem osłabiającym aktywność, usprawiedliwieniem własnej bierności w obliczu poznawanych w książkach dewiacji, a nawet może powodować doszukiwanie się w sobie stanów, których w rzeczywistości się nie doznaje.

Społeczeństwo polskie jest – jeśli opisywać fakty, nie zaś życzenia – bardziej dwu – niż wieloświatopoglądowe. Owa wieloświatopoglądowość wymaga pogłębienia i zaplecza w postaci popularyzowania tego, co dzieje się w filozofii akademickiej, po to, ażeby wyraźniej się zaznaczyć. Występowanie w świadomości ogółu głównie światopoglądu chrześcijańskiego lub marksistowskiego wynika właśnie stąd, że filozofia zarówno marksistowska, jak i

chrześcijańska są najpowszechniej znane. Jeżeli idzie o tę ostatnią, to jej elementarne zasady wchłaniane są przy okazji nauczania religii czy słuchania kazań.

Filozofia neoscholastyczna posiada u nas wiele ośrodków – bo i seminaria duchowne, i wewnętrzne wyższe studia zakonne, i Akademię Teologii Katolickiej w Warszawie, i Katolicki Uniwersytet Lubelski. W tym ostatnim ośrodku nastąpiło, pod patronatem dzieł Gilsona, swoiste ujęcie metafizyki. Zdaniem o. Krąpca – twórcy lubelskiej szkoły w tomizmie – „naczelną i zasadniczą, autonomiczną dyscypliną poznawczą filozoficzną jest metafizyka, a wszystkie inne dyscypliny filozoficzne są tylko swoiście pojętą partykularyzacją (nie egzemplifikacją) przedmiotu metafizycznego poznania”. Jest to więc stanowisko odległe od lowańskiej wersji tomizmu, tj. uprawiania filozofii w ścisłym związku z naukami przyrodniczymi i w dyskusji z innymi prądami filozoficznymi. Uprawiana w KUL egzystencjalna metafizyka jest wyznaczana głównie przez dzieła o. M. A. Krąpca. Tradycyjną wersję tomizmu reprezentował w tej uczelni ks. prof. S. Adamczyk. W latach 1957–67 występowały więc w KUL dwie wersje filozofii bytu: egzystencjalna i tradycyjna. Ta ostatnia nie ma obecnie swoich przedstawicieli w tej uczelni.

Szerszy wpływ, z racji autorytetu papieża, mają prace Karola Wojtyły. Są rozchwytywane również i przez tych, którzy na ogół nie sięgają do prac filozoficznych. Pozostając na gruncie tomistycznym, Karol Wojtyła dąży do wzbogacenia tego nurtu filozoficznego przez elementy filozofii Schelera i metodę fenomenologiczną. Fenomenologia Ingardena wywiera wpływ na ośrodek lubelski, a zwłaszcza na poglądy A. Stępnia w dziedzinie teorii poznania. Natomiast egzystencjalizm, neokantyzm czy teilhardyzm – do których nawiązują neoscholastycy zachodniej Europy i obu Ameryk – są przez kulowski tomizm całkowicie odrzucane.

Silne oddziaływanie właśnie neotomizmu wśród filozofii akademickich można wyjaśnić nie tylko tym, że jest wiele poważnych ośrodków promieniujących u nas tą myślą oraz wiele wydawnictw ją szerzących, ale również i tym, że ta filozofia wiąże się z Kościołem. Inne nurty filozoficzne nie mają odpowiadających im instytucji.

Zupełnie odmiennie rysuje się sytuacja egzystencjalizmu. Nie ma właściwie ośrodka filozoficznego, który by promieniował tą myślą, bo trudno za jej kontynuatorów uznać tych nielicznych u nas badaczy.

Natomiast filozofia ta ma najszerszy – spośród wszystkich tu omawianych – oddźwięk w społeczeństwie, i to najczęściej w formie, rzekłabym, utajonej. Egzystencjalizm – zresztą, najczęściej powierzchownie znany i błędnie pojmowany – przenika sposób myślenia twórców wielu dziedzin, a zwłaszcza poetów i pisarzy. I to właśnie pulsowanie egzystencjalizmu w kulturze oddziałuje na światopogląd wielu jednostek. Należałoby innym nurtom życzyć

podobnie silnego podskórnego istnienia – ale to wymaga dobrych popularyzatorów, aby nie umknęło to, co wartościowe. A nie można zapominać, że znakomitą formą popularyzacji są utwory literackie. Egzystencjalizm stał się u nas filozofią nieakademicką. Siłę jego promieniowania można tłumaczyć tym, iż twórcy tego kierunku sięgali dla wyrażania swoich poglądów nie tylko do formy traktatów, lecz i dzieł literackich.

Nie można zapominać, że dzieła elitarne mogą stawać się w znacznym stopniu składnikami kultury popularnej. Wystarczy – tytułem przykładu – powołać dzieła Felliniego czy Bergmana. Podobnie możliwa jest, w wyższym stopniu niż dotąd, absorpcja przez kulturę masową różnorodnych składników filozoficznych, co doprowadziłoby do bardziej wielowarstwowego kształtowania światopoglądów. Pozwalałoby to swobodniej dobierać treści korespondujące z własnym ja. Ale te treści rozmaitych systemów filozoficznych powinny być – jeśli mają oddziaływać – wprowadzane przez ich wyznawców, a nie historyków współczesności, którzy zaznajamiają z prądami filozoficznymi przez krytykę ich założeń bądź konfrontację z wyznawanymi poglądami. Marksisci konfrontują w swoich pracach marksizm ze strukturalizmem, neopozytywizmem, egzystencjalizmem, fenomenologią, neotomizmem, personalizmem, teilhardyzmem, kantyzmem, psychoanalizą – ale tak przekazywane wiadomości o treściach innych systemów filozoficznych ani nie mogą doprowadzić do ich poznania (z racji swego uwikłania w osady krytyczne), ani tym bardziej do ich wyznawania. Rozwój historii filozofii jest u nas po ostatniej wojnie jednym, zapewne, z przejawów dążenia do unikania wyraźnego samookreślenia się w filozofii. Prace w tej dziedzinie dotyczą głównie filozofii średniowiecznej oraz XIX wieku.

Ośrodkami akademickiej filozofii są Polska Akademia Nauk, uniwersytety oraz – w pewnym sensie – oddziały Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Spróbuję naszkicować tu w zarysie oddziaływania poszczególnych niemarksistowskich nurtów filozoficznych w powojennej Polsce na szersze kręgi społeczeństwa. Nie wszystkie z nich mają swoje źródła w wymienionych ośrodkach. Na przykład, filozofia Teilharda de Chardin ma u nas grupę wyznawców nie pochodzącą z kręgu fachowych filozofów. Również personalizm Mouniera ma znaczną grupę zwolenników i kontynuatorów, ale nie zaliczają się oni do „zawodowych” filozofów. Pismo „Więź” przede wszystkim, ale również – na przykład – „Chrześcijanin w Świecie” propagują tę myśl filozoficzną.

Wśród kierunków filozofii współczesnej, które wywierają największy wpływ na ogół społeczeństwa w Polsce – oprócz marksizmu, neotomizmu i egzystencjalizmu – wskazać należy personalizm. To są te nurty filozoficzne, które wchłania szerszy ogół.

Znaczny wpływ filozofii neopozytywistycznej ogranicza się do środowisk naukowych,

zresztą, nie tylko filozofów. Być może promieniuje obecnie szerzej za sprawą pisarstwa Stanisława Lema, który – odwołując się do oceny A. B. Stepnia – w *Summa technologiae* zawarł scjentystyczną teorię świata i taką eschatologię. Omawiany autor zalicza filozoficzne próby Lema do nurtu pozytywistycznego.

Neopozytywizm był wpływowy i dominujący w Polsce w okresie międzywojennym. Uczniowie tzw. szkoły lwowsko-warszawskiej objęli po wojnie wiele katedr. Z biegiem czasu katedry te zajęli przedstawiciele filozofii marksistowskiej, krytycznie oceniający tendencje neopozytywistyczne.

Kierunkiem filozoficznym zdecydowanie elitarnym, wymagającym wprowadzenia jest fenomenologia. Poza kręgiem części filozofów – jej elementy oddziałują na kulturoznawców. Wiele niejasnych, spornych punktów w omawianym kierunku filozoficznym ujawnił Piotr Chojnacki.

Na terenie filozofii akademickiej nie dochodzi do głosu ani mesjanizmu typu Lutosławskiego, ani Hoene Wrońskiego. Trudno uznać za jego przejawy prace z zakresu historii filozofii dotyczące mesjanizmu. Kontynuatorzy myśli Hoene Wrońskiego wnieśli obecnie do rozwoju jego filozofii niezmiernie wiele nowych elementów, jakkolwiek ich rozprawy są znane zbyt wąskiemu gronu.

Wśród zwolenników Heone Wrońskiego znajdowali się i znajdują przedstawiciele różnych państw Europy i Ameryki. Do polskich najwybitniejszych dzisiejszych wrońkistów należą: L. Łukomski, S. Kozłowski, J. Łuszczewski, A. Madej, J. Stępniewski, Cz. Domaradzki, K. Zieliński. Odrębne miejsce zajmuje zmarły w 1975 roku w Rzymie Jerzy Braun. O tej odrębności zdecydowała wielorakość form, z poezją włącznie, w których Braun wyrażał i popularyzował idee Heone Wrońskiego.

Jerzy Braun przypomina we wszystkich swoich publikacjach, że myśl polska odgrywała, w pewnych okresach jej dziejów, rolę prekursorską w odkrywaniu nowych perspektyw duchowych. Doniosłe znaczenie ma sprawa ustalenia wartości, którym ma służyć naród. Podkreślając, że idea dobrobytu materialnego nie rozwiązuje zagadnienia narodu – Braun uwypukla rolę idei, które wyznaczają drogi rozwojowe. Docenia doniosłość roli światopoglądu, przedkładając jego wpływ nad uwarunkowania cywilizacyjne i ekonomiczne. Ta myśl przenika książkę na temat Pawła VI i reformy moralnej w polityce.

W celu uniknięcia nieporozumień podam dokonane przez Brauna odróżnienie trzech odłamów mesjanizmu, które są mało znane również i wśród tych, którzy z historycznego punktu widzenia badają naszą filozofię narodową. Mistyczno-cierpiętniczy mesjanizm Towiańskiego proklamował Polskę „Chrystusem narodów”. Mesjanizm narodowy

Krasińskiego, Ubeka, Trentowskiego i Cieszkowskiego – przyznawał wyjątkową rolę w odrodzeniu religijnym i społeczno-politycznym Polsce i narodom słowiańskim. Mesjanizm filozoficzno -religijny Wrońskiego przypisywał misję zbawczą nie Polsce, lecz odnowionemu chrześcijaństwu i Kościołowi.

Augustynizm reprezentowali w Polsce: ks. J. Pastuszka z KUL (łączył ten nurt filozoficzny z tomizmem), ks. F. Sawicki oraz W. Kornatowski z Torunia. Ten ostatni jest również zasłużonym tłumaczem świętego Augustyna na język polski. Wiktorowi Kornatowskiemu była bliska u tego świętego m.in. odraza do wszelkich kompromisów ideowych i umiłowanie ideałów.

Augustyniści grupują się wokół Stowarzyszenia PAX. Bolesław Piasecki uznawał świętego Augustyna za filozofa, do którego dzieł winien twórczo nawiązywać współczesny katolik, czuły na problemy swojego czasu. Uprawienie strony emocjonalnej oraz irracjonalnej człowieka wiąże dzisiejsze prądy kulturowe raczej z Augustynem niż z Tomaszem z Akwinu. Przewycięzanie ciężącego wciąż jeszcze w tradycji filozoficznej poglądu o człowieku, jako funkcji rozumu, jest zgodne z duchem augustynizmu. Ten pogląd nie zawęży śladów swoiście człowieczego wysiłku w kierunku budowy nauk. Pisarze podkreślają, że byt poznany to nie jest żaden byt, dopóki wrażliwość jednostki go nie odkryje. Egzystencjalizm ze swoją analizą istnienia człowieka, umykającą pojęciowemu ujęciu, ciąży na kulturze XX wieku.

Jest jeszcze jeden przejaw stanu, który określiłam mianem próżni. Otóż książką filozoficzną o szerokim rezonansie społecznym jest bez wątpienia *Historia filozofii* Władysława Tatarkiewicza. Jego nazwisko jest znane nie tylko w kręgu profesjonalistów (dzieje się tak m.in. za sprawą jego książki o szczęściu). Trzeba wziąć pod uwagę, że najbliższym W. Tatarkiewiczowi kierunkiem filozoficznym była filozofia analityczna, tj. taka, która nie buduje poglądu na świat, chce natomiast przeprowadzić skrupulatne analizy i ustalić to, co naprawdę wiemy. W związku z tą postawą mimo że Władysław Tatarkiewicz uczy obcowania z myślą filozoficzną Europy – nie pobudza jednak do podejmowania dociekań metafizycznych. Nie zapala do zgłębiania określonego systemu. Tomy *Historii filozofii* Tatarkiewicza znajdują się w niejednym polskim domu i przyciągają wciąż nowe pokolenia czytelników. Ale nie pobudzają do szukania prawdy w filozofii polskiej, której poświęcił tak mało miejsca. One informują.

Do tego, by rozbudzić u nas myślenie filozoficzne w wymiarze wielowarstwowym potrzebny jest nie chłodny obiektywizm, lecz żarliwość i entuzjazm. Taki, który reprezentowali, na przykład, Wiktor Wąsik i Bolesław Gawecki, pisząc o potrzebie

kontynuowania polskiej filozofii narodowej czy Paweł Trzebuchowski, przybliżając myśl Brzozowskiego i Wincentego Lutosławskiego.

W każdym razie, dbając o rozwój filozofii w jej różnych odmianach, nie powinniśmy popełniać dawnego błędu hołdowania europejskim modom myślenia filozoficznego. Odbiega ono często od naszej mentalności i tłumi rozwój rdzennie polskiej filozofii.

Pluralizm w filozofii to znacznie więcej niż tolerancja, która związana jest zawsze z koncepcją pewnego filozoficznego systemu dominującego i innego – tolerowanego.

Oczywiście najbardziej zależy mi na odrodzeniu kantyzmu, który w okresie Dwudziestolecia miał w Polsce swoich przedstawicieli. Znużona jestem trudnościami wynikającymi z mojego samotniczego nawiązywania do Kanta. Cięży mi brak ułatwień, które mają ci przypisujący siebie do jakichś instytucji.

Filozof tragiczny

Pragnę utrwalić postać tego przedwcześnie zmarłego polskiego myśliciela. Przy czym, polskiego nie tylko z racji urodzenia, ale i treści uprawianej filozofii. Był on niewątpliwie kontynuatorem – i to twórczym – polskiej filozofii narodowej, w której szczególnie zaszczytne miejsce przyznawał z myślicieli dwudziestowiecznych – Wincentemu Lutosławskiemu, a spośród żyjących – Bolesławowi Gaweckiemu.

Pozornie każdy z nas zdaje sobie sprawę z konieczności własnej śmierci, jak również śmierci przyjaciół. Jednakże tę niepokojącą myśl odsuwa się w zakamarki świadomości udając przed sobą, że życie nie jest kruche. I że krąg bliskich, stanowiący coś w rodzaju oazy, będzie nam nieprzerwanie towarzyszyć. Jednym z naruszeń mojego świata jest odejście właśnie Pawła Trzebuchowskiego. Poznałam go wcześniej niż jego prace. Ita Jabłońska, przyjaciół Pawła jeszcze z okresu jego studiów filozoficznych, zarysowała mi jego obraz duchowy, który po latach nie uległ zmianie w swych zasadniczych rysach.

Profesjonalny awans Pawła Trzebuchowskiego pozostawał daleko za wartością jego dorobku. Świadom swej wiedzy i umiejętności prowadzenia pisma, bolał nad tym, że dane mu było zredagować zaledwie kilka numerów „Przeglądu Polskiego i Obcego”. Bolał nad niemożliwością reaktywowania pisma, nad niemożnością podjęcia przez siebie sensownych działań na jakimś szerszym polu.

Pawła Trzebuchowskiego otaczała samotność. Wybredny w doborze ludzi, spragniony był wspólnoty działania z tymi, których mógłby cenić. Poświęcenie i oddanie się sprawie szerzenia polskiej filozofii narodowej charakteryzowało go w sposób porównywalny jedynie z Jerzym Braunem. I właśnie tragizm istnienia Pawła Trzebuchowskiego zawierał się nie tylko w osamotnieniu, ale wynikał też z przeżywanego nieustannie rozdźwięku między poświęceniem i oddaniem się sprawie a brakiem należytego odzewu.

Momenty ożywienia i radości wносиły do jego życia nie tylko spotkania z ojcem, dopóki

ten żył, z siostrą i z kilkoma osobami, do których ograniczał swój krąg; cieszyła go też perspektywa spotkań towarzyskich w większym gronie, które dawały mu poczucie trwania w iluzorycznej – bo na przeciąg kilku godzin – wspólnocie. Organizując spotkania towarzyskie, cieszyłam się, że go zobaczę radosnego i tańczącego. Był nieskazitelny w swoich manierach. Ale zżerała go choroba, której nasilenie, jak sądzę, przyspieszało osamotnienie na co dzień.

Paweł Trzebuchowski należał do tych, którzy postępowaniem poświadczają wyznawaną prawdę. Z uwagą odkrywał w czytanych dziełach fragmenty korespondujące z jego przemyśleniami i w licznie publikowanych omówieniach swoich lektur dawał temu entuzjastyczny wyraz.. Był zdolny do empatii. Może na tej drodze nie tylko umacniał się w swojej prawdzie, ale przełamywał, pośrednio, swoje oddalenie od innych?

Gdyby refleksje Pawła Trzebuchowskiego nad losem człowieka w świecie – rozproszone przy okazji dzielenia się z czytelnikiem wrażeniami z lektur – wyłuskać i zebrać je w całość, to powstałaby lektura warta przemyśleń. Spróbuję tu jedynie fragmentarycznie tego zabiegu, rekapitulując przemyślenia na temat prawa.

Według Pawła Trzebuchowskiego prawo stanowi centralne zagadnienie w życiu każdego społeczeństwa. Kształtuje ono strukturę społeczną, przenikając ją od podstaw po wierzchołki. Prawo – jak pisał – potrzebne jest istotom posiadającym złe skłonności, ale świadomym dobra i zła. Filozof ten twierdził, że prawo jest niezbędne z powodu złych, antyspołecznych instynktów natury ludzkiej; jego celem jest ochrona wartości moralnych. Prawo, podobnie jak praca, jest zdaniem P. Trzebuchowskiego szczególnym znakiem człowieczeństwa, tylko ludzkim fenomenem.

Paweł Trzebuchowski podkreślał obiektywny charakter wartości. Dobro nie przestaje być dobrem, nawet gdy ktoś uznaje za zło i odwróci się od niego. Jego rozprawy przenika przekonanie, że najskuteczniejszym prawem jest miłość bliźniego.

Najnowsza, książka P. Trzebuchowskiego, wydana już po jego śmierci została zatytułowana *Praca jako znak człowieczeństwa*. Znakiem człowieczeństwa wydaje się nie, zaznaczająca się również i w świecie zwierzęcym, praca – lecz twórcza praca, decydująca o naszej swoistości, o naszym niepowtarzalnym miejscu wśród tworów przyrody. To przekonanie przewija się na kartach omawianej książki. Inna wybitna, chociaż nie doceniona książka Pawła Trzebuchowskiego dotyczy filozofii pracy Stanisława Brzozowskiego.

Zafascynowanie myślą autora *Legandy Młodej Polski* płynęło z odnalezienia przez Pawła Trzebuchowskiego w jego dziełach pewnych przemyśleń, które były w szczególny sposób bliskie. A więc przede wszystkim przekonanie, że poznanie zdobywa człowiek poprzez czyn i pracę. „Bierna, spektatorska postawa wobec świata nie rodzi poznania. Poznanie to czyn”.

Również ostra opozycja Brzozowskiego wobec pozytywizmu i racjonalizmu była zarazem postawą myślową Pawła Trzebuchowskiego. Pozytywizm uznawał za bankructwo poznania filozoficznego. Dobro narodu, wartość uczuć patriotycznych Paweł Trzebuchowski uznawał za wartość dominującą.

Przytoczę fragment rozważań (bardzo mi bliski) Pawła Trzebuchowskiego o pracy: „Pamięć ocala wszystko to, co wzniosłe i piękne. A piękny jest każdy czyn bezinteresowny. Człowiek staje się szlachetny dzięki swym szlachetnym czynom. Te czyny nadają przemijającemu życiu nieprzemijające znaczenie i sens... Nie każdy może tworzyć genialne dzieła na miarę Cezara, Dantego i Goethego. Ale każdy jest w stanie naśladować bohaterów z książek Saint-Exupery’ego. Każdy w miłości i wierności może upodobnić się do bohatera *Odysei Północy* Londona. I każdy może iść za ideałem, iść aż do końca. Każdy może dla siebie odnaleźć wiecznie zielone i kwitnące pola elizejskie. Niech marzenie idzie w parze z surową dyscypliną, niech nawet będzie jej skutkiem. Marzenie może ocalić Świat, tak jak ocala pojedyncze jednostki. Ono jest źródłem piękna. A bez piękna życie staje się nie do zniesienia”.

Kiedy z pewną dozą goryczy Paweł Trzebuchowski zwraca uwagę na to, że myśl Brzozowskiego, zjawisko zupełnie u nas nowe, nieprędko została należycie oceniona – myślał być może zarazem również o własnym losie.

Przyjaciel narkomanów

Pragnę przybliżyć i utrwalić w pamięci postać kogoś, kto był oddany bez reszty próbom wyrwania młodzieży z narkomanii, dra Zbigniewa Thille. Tragicznie zmarł przed kilkoma laty. Pomagał z wiarą, że siła charakteru w warunkach rzeczywistej przyjaźni umożliwia pełnię wszechstronnego rozwoju.

Był lekarzem niezwykłym. Ale – a raczej właśnie dlatego – miał wielu przeciwników. Odznaczał się sokratejskim podejściem do tych, którzy przychodzili do niego, oczekując pomocy. Szczególne znaczenie przypisywał relacjom osobistym – zaś słowo pisanemu, porównawczo, znacznie drugorzędne. Należał do tych, którzy słowem mówionym starają się oddziaływać na otoczenie. Szczególne znaczenie mają więc, w związku z jego odejściem, świadectwa tych, którzy z nim się zetknęli. Są one źródłem dla rekonstrukcji poglądów dra Thille i – zgodnej z nimi – jego postawy życiowej.

Nazwę „pacjenci” odrzucił. Był rzecznikiem określenia „klienci” i takiej właśnie używało się terminologii za jego sprawą w Konsultacyjnym Ośrodku Rozwoju Twórczego i w Konsultacyjnym Ośrodku Higieny Psychiczej dla Ludzi Zdrowych. Obydwie instytucje powstały w Warszawie w połowie lat siedemdziesiątych. Pracowaliśmy tam wspólnie, wzajemnie omawiając poszczególne przypadki. Zbigniewa Thille powołał do Konsultacyjnego Ośrodka Rozwoju Twórczego – Jerzy Grotowski, który był inicjatorem tego laboratorium higieny psychicznej i finansował pierwszy z wymienionych Ośrodków.

Mądrość, wszechstronność, wykraczanie poza utarte schematy myślowe i umiejętności wnikania w stany psychiczne rozmówcy, przyciągały do dra Thille wielu klientów. Charakteryzująca go empatia była czymś, co ratowało niejednego bywalca naszych Ośrodków przed rozpaczą samotności. Ale metoda lecznicza, traktowanie każdego przypadku jako indywidualnego, powstrzymywanie się przed nazywaniem stanu chorobowego ze względu na indywidualny charakter każdej niedomogi, ograniczanie do minimum środków

farmakologicznych – czyniły go niepopularnym w kręgu psychiatrów. Więcej, był przedmiotem ataków ze strony swoich kolegów.

Cechy indywidualne miały zawsze dla Zbigniewa Thille znaczenie pierwszorzędne i był on ostrym przeciwnikiem naginania jednostek do ogólnych kanonów jakichkolwiek wzorców, a w tym opisie stanu chorobowego, czy metody leczniczej. Dr Thille podkreślał suwerenność naszej psychiki, zdolność do samokształtowania się człowieka. Bliskie były mu próby parateatralne Jerzego Grotowskiego, z którym łączyły go więzi przyjacielskie. Z Kazimierzem Dąbrowskim, kierownikiem wymienionych Ośrodków, dyskutował, bowiem nie był rzecznikiem teorii dezintegracji pozytywnej, jakkolwiek uznawał częściowo jej słuszność.

Zdaniem Zbigniewa Thille, wyrażonym w artykułach drukowanych w kwartalniku „Zdrowie Psychiczne” – do czego go nakłaniałam, gdy byłam zastępcą naczelnego – uwarunkowania społeczne nie są siłą determinującą rozwój wewnętrzny człowieka. Każdemu z nas właściwe jest niepowtarzalne środowisko wewnętrzne. W rozwoju zachodzą zjawiska wielopoziomowe i dochodzą do głosu procesy dezintegracji oraz integracji. Należy się uczyć umiejętności akceptowania tego, co w nas jest autentyczne i wykraczać poza powszechnie uznane kategorie dobra i zła. Idzie o to, by dokonywane przez każdego z nas wybory i motywacje dotyczyły autentycznych potrzeb psychicznych – nie zaś narzuconych. Przyjmował, że człowiek realizuje samego siebie niekoniecznie, a nawet nie na ogół, przez progresywne i harmonijne doskonalenie intelektualne i moralne. Człowiek w każdej chwili – we wszelkich przejawach swojej wewnętrznej czy zewnętrznej aktywności – doświadcza siebie i doświadcza życia, w którym uczestniczy. Doświadcza wzlotów i upadków, klęsk i zwycięstw. Doświadcza siebie zarówno wtedy, gdy realizuje swoje najwznioślejsze imperatywy uczuciowe, jak i wówczas, gdy ulega instynktom animalnym.

Zbigniew Thille zwracał też uwagę na to, że pewne podstawowe pojęcia, ze względu na obciążenie ich wadliwym stereotypowym znaczeniem, mogłyby zostać z powodzeniem wykreślone z naszego słownictwa. Na przykład, konflikt pokoleń, dojrzałość człowieka, jak również niedojrzałość. Właśnie ten ostatni stan człowieka bywa oceniany powszechnie jako pejoratywny, chociaż dzięki niedojrzałości zdolni jesteśmy przyswajać sobie nowe wartości i prawdziwie się rozwijać. Ale w myśl obiegowych sądów mamy ją w sobie przewyciężyć. Wiek biologiczny oraz formalna przynależność do określonego pokolenia niewiele mają wspólnego z tak pojętym rozwojem. Potrzebę samorealizacji dr Thille uznawał za równie podstawową, co potrzebę zachowania siebie i gatunku.

Podobnie jak Grotowski, odnajdywał sens naszego człowieczeństwa w dziejącej się

teraźniejszości. Uważał, że w rozwoju człowieka przeszłość i przyszłość liczy się, na ile przeżywa się ich wizję tu i teraz. Najtrudniejsze są konflikty, wbrew obiegowym sądom, nie z otoczeniem, lecz z samym sobą. Wyraża się to w braku akceptacji dla własnych zachowań, dążeń, postaw i pragnień. Wskazywał na zachodzącą współzależność między poziomem konfliktów a poziomem rozwoju psychicznego człowieka wchodzącego w sytuację konfliktową.

Duże efekty osiągnął Zbigniew Thille w leczeniu narkomanów. Utrzymywał też kontakty z niektórymi ośrodkami zagranicznymi, specjalizującymi się w leczeniu narkomanii. Bliskie jest mi jego przekonanie, że przyczyną nałogów jest tęsknota za tym, co nieosiągalne w naszym życiu. Jego zdaniem w każdym człowieku istnieją, najczęściej ukryte, nałogi. Do brania narkotyków skłania potrzeba poznawcza i twórcza, jak również potrzeba pozostawiania elementem jakiejś grupy.

Nałóg, to nie tylko przymus brania narkotyków, lecz również, na przykład, przymus gromadzenia przedmiotów, w tym pieniędzy czy kolekcji, jak również przymus bicia rekordu w jakiejś dziedzinie czy też przymus tworzenia bądź prowadzenia badań naukowych. A więc skoro wszyscy niemal jesteśmy obciążeni nałogami – płynie stąd optymistyczna wiara w sensowność podejmowania prób leczenia narkomanów czy też toksykomanów, czyli osób wykazujących lekozależność, na przykład; używających stale leków przeciw bólom głowy.

Brak możliwości znalezienia przyjaźni skłania najczęściej tych, którzy już weszli na drogę narkomanii, do zażywania haszyszu i alkoholu, by ułatwić sobie nawiązanie bardziej intymnych kontaktów z ludźmi. Po środki psychodeliczne, jak LSD czy meskalina, sięgają ci, którzy pragną osiągnąć stan tzw. nadświadomości. Niektórzy pod wpływem halucynogenów mogą osiągać szczyt możliwości twórczych. Lekarz często jest bezradny, zwłaszcza że nie ma podstaw ku temu, by narzucać pacjentowi swoją prawdę życiową. Nie jest upoważniony do tego, by pouczać i określać kształt drogi życiowej. Jak zwraca uwagę dr Thille – terapeuta może tylko stawiać pytania i starać się służyć pomocą w celu usunięcia chorobliwych mechanizmów oraz stereotypowych sposobów myślenia i odczuwania.

Rozumiał, że używanie tych środków to sposób ucieczki od rzeczywistości, która w odczuciu danego człowieka jest szara i beznadziejna, jak również nieznośnie pospolita. Używanie środków narkotycznych odczytywał zarazem jako krzyk, wołanie o pomoc. A więc różnił się od tych, którzy oceniają osoby biorące środki odrzucające jako leniwe, lekkomyślne, złośliwe, pozbawione ambicji, aspołeczne, a nawet psychopatyczne i zdegenerowane. Warto utrwalić zdanie doktora Thille, że nie ma chorych jednostek, lecz zdarzają się chore układy społeczne w skali mikro– oraz makrospołecznej. Nie mogę

pogodzić się z jego nieobecnością wśród żywych, chociaż nie rozmawialiśmy często. Ale istotna była świadomość podobnego widzenia świata i ludzi. Jego śmierć to oskarżenie ludzkiej nietolerancji, której nadmiar bywa nie do zniesienia. Nietolerancji, która zwraca się przeciw każdemu żyjącemu inaczej niż czyni to ogół. A w tym przeciw homoseksualistom, bowiem nawet w sferze tak osobistej jak sfera erotyczna, to co statystycznie przeważające ma być rzekomo prawidłowe.

Niepokoje młodzieży

O konfliktach pokoleń pisano wiele; o młodzieży najczęściej z powątpiewaniem, z żalem, że nie dorównuje starszym, że nie wykorzystuje swojej szansy życiowej, że daleko odbiega od oczekiwań. Ale jakie jest właściwie to pokolenie, które dziś wzrasta? Czy sądy negatywne o nim są usprawiedliwione? Czego ono pragnie? Jakie wartości wyznaje? I czy za ewentualne swoje braki młodzież ma odpowiadać? Kto jest winny?

Kultura, w której przychodzimy na świat i zgodnie z nią odbierane wychowanie dają nam wzory życia i uczą rozwiązywać cały szereg problemów. Wystarczyłoby powielać gotowe wzory. Można, oczywiście, nie podejmować żmudnego procesu przewartościowywania wartości, ale tylko wtedy, gdy biernie przejmie się zastane wzorce. To nęci. W każdym z nas tkwi pewna ociężałość, lenistwo, niechęć do wysiłku. Już dawno Kant ujawnił tę stronę człowieka.

Wydaje się, że każde pokolenie z pewnym powątpiewaniem spogląda na tych, którzy wzrastają i buntują się wobec zastanych wartości. Egzystencjaliści mają racje wskazując, że życie człowieka jest procesem stwarzania siebie samego. Człowiek, wybierając określoną wizję własnego ja – tworzy równocześnie wzór człowieka takiego, jakim być powinien. Wybieranie jest bowiem zarazem afirmacją określonych wartości.

W okresie stanu wyjątkowego, na przykład, wojny czy dźwigania kraju z ruin, wybór wartości nie nastęrcza kłopotów. Cel i sens istnienia jest wyrazisty. Zdawanie sobie sprawy z tego, że każda chwila może być ostatnią, skłania ku możliwie najlepszemu i najpilniejszemu jej wykorzystaniu; oczywiście, w granicach wyznaczonych przez tak swoiste warunki. Pisząc więc o niepokojach młodzieży, zdałam sobie sprawę z tego, że za mało w nich poczucia przemijającego czasu. Poczucia, które prowadziłyby do intensyfikowania treści własnego życia.

Słusznie zauważył Zbigniew Czajkowski, że ojcowie tych, którzy potem bohatersko

walczyli w AK, w powstaniu warszawskim – jeszcze w końcu lat trzydziestych, a nawet w pierwszych latach niemieckiej okupacji wątpili w dorastające pokolenie i zarzucali mu często niewłaściwą hierarchię wartości. Jest to spostrzeżenie głębokie, które pobudza do wydawania ostrożniejszych sądów i do przemyślenia powszechnie funkcjonujących u nas negatywnych sądów o młodzieży.

Pejoratywny stosunek do jakiejś wyodrębnionej grupy w społeczeństwie – co trzeba wziąć pod uwagę – poprawia samopoczucie wydających ten sąd. Tak właśnie dzieje się w odniesieniu do młodzieży. Deprecjonowanie jej wartości rodzi samouspokojenie i samozadowolenie tych, którzy krytykują. Mogą bowiem czuć się od kogoś lepsi.

Dlaczego pokoleniu, które wschodzi, wydaje się, że nie przyniesie mu korzyści czerpanie z wiedzy starszego pokolenia? Wprawdzie własnymi doświadczeniami nie można nikogo ochronić przed dokonaniem analogicznych błędów, ale wiele można się nauczyć, poznając doświadczenia czyjegoś życia.

W naszej kulturze europejskiej dzieci wysuwa się na plan pierwszy w życiu rodzinnym i społecznym, ugruntowując w ten sposób egoizm i obojętność wobec starszych. Wypacza to od zarania stosunek dzieci do dorosłych. A tworzenie własnego ja odbywa się pod wpływem środowiska, wychowania, no i elementów dziedzicznych. Nasza epoka koncentruje ze znaczną siłą uwagę na tych, którzy dorastają, ale to wcale nie znaczy, że ta troska dotyczy spraw najważniejszych, to jest kształtowania osobowości, a w tym światopoglądu. Za mało na przykład, zwraca się uwagę na to, że niezależnie od przeciwności powinno się działać tak, jakby wszystko zależało od wolnej decyzji. Jeżeli już musimy stawiać kogoś na pierwszym planie, to proponuję, ażeby byli to ludzie sędziwi.

Nawet w środowiskach inteligentnych po wojnie z dziecka uczyniono punkt zainteresowania, ale niewłaściwie pojęty. Zamiast wychowania – rozpieszczanie. Wywołuje to postawy żądania, co prowadzi do braku szacunku najpierw dla rodziców, a następnie przenosi się na resztę społeczeństwa. Czyli, nawiązując do tematu, wina leży po stronie dorosłych, a nie młodzieży. Pewne niepokojące zjawiska uparcie występują. Jednym z nich jest obojętny i nieraz okrutny stosunek młodego pokolenia do ludzi sędziwych. Ma on wprawdzie swoje źródło w podstawowych błędach wychowawczych, niemniej nadszedł czas, by doprowadzić tu do pewnych radykalnych zmian. Zresztą zagadnienie to dotyczy każdego z nas. Clifford W. Beers, publikując w 1908 roku książkę *Umysł który sam siebie odnalazł*, zapoczątkował dopiero w naszym stuleciu ruch higieny psychicznej, który zmienił zasadniczo stosunek do chorych na nerwice i psychonerwice. Wykazał, że te kategorie osób są szczególnie wartościowe i twórcze. Może więc pora nadeszła, ażeby teraz z kolei

przewartościować nasz stosunek do ludzi sędziwych i dać temu wyraz?

Bliskość i dalekość pokoleń to zagadnienie, które każda generacja podejmuje na nowo. Nikłość rezultatów płynie z niedostatku wyobraźni; pokoleniu wchodzącemu w życie wydaje się zazwyczaj, że zawsze pozostanie młode. Świadczyłyby o takim nastawieniu obserwowane okrucieństwa czy częste przejawy bezduszności wobec ludzi starszych, a więc bezbronnych.

Odseparowanie w czasach nam współczesnych od świata przyrody, a w tym od naturalnego cyklu narodzin i przemijania, sprawia, że tym trudniej godzimy się ze śmiercią. Być może lęk przed tym zjawiskiem, niechęć zetknięcia się z nią po to, by nie runęły pewne mity, powoduje oddalenie pokoleń? A przecież pokolenia są sobie wzajemnie potrzebne. Starość wywołuje u niektórych chęć ucieczki, odwrócenia się od jej nosiciela.

Tradycja ucieleśniona w ludziach sędziwych mogłaby stanowić spoiwo pokoleń. To sprawa niesłychanej wagi, ażeby kolejne pokolenia miały przekazywane jakieś minimum analogicznych informacji. Idzie o to, by wnukom i pradziadkom znane były te same podstawowe dzieła świata kultury. Stworzyłoby to klimat porozumienia, wytwarzałoby wspólny sposób pojmowania i kreślone byłyby jednolite wzory do naśladowania dla różnych pokoleń.

Wbrew przyjętym i szerzonym poglądom młodzież reprezentuje szereg wartości, których brak zaznacza się u przeważającej części starszego pokolenia. Na przykład, bezkompromisowość, spontaniczność, wyrazista potrzeba wyższych wartości, wyrwanie się ku czemuś więcej niż niesie codzienność, brak serwilizmu w dążeniu do prawdy.

Tworząc koncepcję edukacji, powinno się mieć wizję potrzeb młodzieży oraz jej oczekiwań. Opór młodego pokolenia wobec starszych wynika z obserwowanego konformizmu, oportunistycznego i dwulicowości, w której się wychowuje. Również brak pogłębionego stosunku uczuciowego w rodzinie nie wzbudza w dorastającym pokoleniu należytego szacunku. Wyczuleni na nieprawdę są niestety skazani nader często na jej doświadczanie.

Byłoby trudne pisać dalej o różnicach pokoleniowych bez wyjaśnienia, że uważam, iż należy je ujmować nie w sensie metrykalnym, lecz z punktu widzenia znamionujących jednostki właściwości psychicznych. Świeżość, entuzjizm, bezpośredniość, wrażliwość i intuicja, twórcze rozwijanie się wewnętrzne – mogą znamionować również człowieka, na przykład, sześćdziesięcioletniego. Młode pokolenie tworzą ci, którzy przystosowują się do tego, co powinno być – i są odlegli od zamknięcia się w kręgu stereotypowo określonej rzeczywistości oraz zdolni do wewnętrznego rozwoju.

Trudno krytykować młode pokolenie, skoro dorośli na ogół nie są należytych wzorem.

Sugerowane wartości materialne, jakkolwiek niesprzeczne z potrzebami młodzieży – nie mogą jej jednakże wystarczyć. Sugerowany prymat rozumu staje się też źródłem niepokoju, ponieważ zmusza do tłumienia uczuć. Co gorsza, w nieumiejętności wyrażania uczuć nikt nie przychodzi z pomocą. Sugerowana wartość przystosowania się do tego, co ogólnie przyjęte, budzi zrozumiały bunt. Jakkolwiek ograniczany jest on lękiem, by nie zostać uznanym za „dziwaka”.

Potrzeba zaaprobowania przez otoczenie jest jednym z najsilniejszych oczekiwań. Długotrwały brak uznania może prowadzić do psychicznej deformacji. A przy silnym niepoahamowanym pragnieniu może wytwarzać się niebezpieczna postawa koniunkturalizmu, jako sposobu znalezienia pożądanej aprobaty.

Potrzeba uznania ze strony innych przejawia się w niepokoju o opinię otoczenia. Działa to nieraz hamująco na kształtowanie się indywidualności. I znów winą tu należy obarczyć starsze pokolenie. W szkołach czy na uniwersytetach ci właśnie przystosowani – nie zaś wyraziste, nieprzystosowane indywidualności – mają sytuację najdogodniejszą. To wytwarza nieraz postawy cyniczne, postawy niewiary w sens wyższych wartości. Kryteria aprobaty i dezaprobaty środowiska mają silny wpływ na postępowanie. Ale nie zawsze zewnętrzna dezaprobata dowodzi tego, że słuszność jest po stronie krytycznie ocenianej jednostki.

Aprobata wewnętrzna, czyli aprobata siebie przez siebie samego, jest wyrazem narastającej samoświadomości i związanego z tym procesu wyzwania się spod niewolnictwa opinii otoczenia. Jest wyrazem narastającego procesu poszukiwania wewnętrznego autentyzmu. Jeżeli aprobata wewnętrzna bierze górę nad aprobatą zewnętrzną, to znaczy, że zachodzi w nas pożądany proces rozwojowy. Wymaga on samozaparicia oraz odwagi kształtowania się na swoją własną odpowiedzialność.

Aprobata wewnętrzna ma społeczny charakter w tym sensie, że to odnajdywanie siebie może następować tylko poprzez kontakt z innymi. Ten rodzaj aprobaty zawsze bywa niepełny, ponieważ będąc wobec siebie szczerzy, zdajemy sobie sprawę z następującego rozdarcia: ja tu i teraz oraz ja – jakim uważam, że powinienem być. Problem aprobaty jest istotny, bowiem ma ona właściwości katalizujące. I wbrew pozorom młodzież nie oczekuje aprobaty, która by przychodziła łatwo, ale byłaby tylko pozorowana. Młodzież ceni tych, którzy skłaniają do wysiłku wewnętrznego, aczkolwiek jest to odległe od wygodnictwa, do którego wszyscy podświadomie zmierzamy. Zresztą, brzmi to paradoksalnie, ale cierpienie wynikłe z braku aprobaty w określonych warunkach bywa potężną siłą napędową. Przeżywając niedosyt, dokuczliwe osamotnienie, młodzież gotowa jest zdobywać się na takie czyny, które w warunkach aprobaty nie zostałyby spełnione. Szczególną moc wyzwala

bowiem rozdźwięk między aprobatą wewnętrzną a brakiem aprobaty zewnętrznej. Ten stan przeżywa się jako niesprawiedliwość i krzywdę. Jeśli jednostka jest silna wewnętrznie, to wówczas nowy sens zyskują słowa Mickiewicza: „Mierz siły na zamiary”.

Niepokoje w ogóle należy uznać za zjawisko twórcze. Jest to bowiem przejaw wewnętrznego wrzenia, stanów ambiwalencji i ambitendencji, które skłaniają do wielu przemyśleń. Ale są też niepokoje zbędne, nie prowadzące do niczego konstruktywnego. Mam tu na myśli przede wszystkim stany powstające w wyniku nacisku otoczenia, które pragnie przystosować dorastającego do tego, co jest. Jesteśmy świadkami nietypowego zjawiska w Polsce. Otóż młodzież zwykle buntująca się wobec nacisków religijnych – co tak znakomicie zarysował Parandowski w powieści *Niebo w płomieniach* – u nas wyjątkowo zwraca się w stronę Kościoła. Tam właśnie poszukuje wartości wyższych, być może niekoniecznie religijnych, ale takich, które wyrwywają z zakresu spraw codziennych i decydują o naszym człowieczeństwie.

Takie poszukiwanie czegoś poza horyzontem codzienności przejawia się też u nas, na przykład, w ucieczce młodzieży w świat muzyki rockowej. Nieprzypadkowo – z braku innych, przemawiających do młodzieży programów – piosenka zespołu „Perfect” zatytułowana „Chciałbym być sobą” staje się wyznaniem wiary. Świadczy to o przepaści międzypokoleniowej, ponieważ młodzież na ogół nie obserwuje takiej tendencji u swoich rodziców, ciotek i dziadków.

Ruch hippisów ustąpił miejsca ruchowi punków. Cechuje ich wprawdzie słuszny bunt, ale agresja i brak pozytywnych treści sprawia, że nie jest to właściwy drogowskaz.

Slang młodzieżowy jest niewątpliwym protestem wobec języka propagandy oraz karykaturalnego języka urzędowego. Kult człowieka mocnego, rozniecony u nas filmem „Wejście smoka” – to też jeden z przejawów niepokoju młodzieży, która pragnęłaby czegoś ponad to, co otrzymuje od dorosłych. Główny bohater filmu, mistrz walki obronnej, stał się mitem z braku żywych wzorów. Poszukiwane przez młodzież wartości, jeśli mają spełniać swe zadania, muszą być ucieleśnione. W tym kulcie człowieka mocnego wyraża się silna potrzeba sprawiedliwości i szlachetności, bowiem bohater wspomnianego filmu odznaczał się wiernością słowa i jednością myśli, słów i czynów.

Pewne przejawy życia społecznego zniechęcają młodzież do pracy nad kształtowaniem swojego charakteru. Zniechęcenie to ma źródło w fałszywych miarach wartości powszechnie obowiązujących u nas. Ocenia się, mianowicie, ludzi stosownie do ich miejsca w hierarchii, społecznej stosownie do cenzusu wykształcenia i zasobów materialnych. W potocznym przekonaniu zdobycie dyplomu czy stopnia naukowego świadczyć ma o tym, że jego

posiadacz jest lepszy i mądrzejszy. W ten sposób młodzież wzrasta w świecie pozornych i kruchych wartości.

Obserwuje się, niestety, brak zainteresowania wartościami reprezentowanymi przez człowieka niezależnie od roli, jaką on pełni w społeczeństwie. A zdarza się przecież, i to nie rzadko, że, na przykład, jednostki o wysokim poziomie intelektualnym wykazują niedorozwój uczuciowy i że daleko im do człowieczeństwa. Zaś ci, którzy chcą być sobą i żyją stosownie do tego pragnienia – zostają ośmieszani, jako naiwni i niezaradni. Trzeba więc dużej samodzielności sądów i odwagi, ażeby, obserwując ten stan rzeczy, wybrać prawidłową drogę.

Nie każdy ma niestrudzoną siłę, by walczyć przeciw wszystkim. Zwłaszcza, że nie zawsze można liczyć na zrozumienie ze strony najbliższych. I wtedy osoby psychicznie słabsze sięgają po środki pozwalające na chwilę ucieczki od sytuacji konfliktowej i związanego z nią niepokoju. Najłatwiejsza jest ucieczka w świat alkoholu. Przy tym sprzyja on odnajdywaniu się w jakiejś grupie, zmniejszając poczucie niezrozumienia we własnym środowisku. Ułatwia on, zmniejszając nieufność, otwarcie się wewnętrzne wobec innego, co przynosi chwilową poprawę samopoczucia. Tragizm alkoholizmu polega, między innymi, na braku poczucia szybkiego upływu czasu.

Najbardziej niebezpieczne są próby rozwiązywania przez młodzież problemów za pomocą narkotyków. Środki te wzmagają chęć ucieczki od rzeczywistości, która przyniosła rozczarowanie. Dają pozór odwracania się od pospolitości. Co gorsza, stają się przejawem pewnej mody. Na ogół ocenia się osoby uzależnione od środków odurzających jako leniwe, aspołeczne wyrodne, a nawet jako psychopatyczne i zdegenerowane. Oceny te są czysto zewnętrzne i nieco pochopne. Zgadza się z dr. Zbigniewem Thille, niedawno tragicznie zmarłym psychiatrą, leczącym głównie narkomanów, że najczęściej są chore nie jednostki ale układy w skali mikro– oraz makrospołecznej.

Zbigniew Thille podkreślał, że brak możliwości zawiązania przyjaźni oraz tworzenia grup powiązanych indywidualnymi upodobaniami – skłania do używania narkotyków, które ułatwiają nawiązywanie bardziej intymnych kontaktów. Notowałam te rozmyślenia o konfliktach pokoleń i o niepokojących w rozmaitych okresach mojego życia i ze zdumieniem stwierdzam, że tworzą one łącznie zwartą całość.

Przeniknięci żarliwością, dokonujący czegoś z pasją, oddający się czemuś z wewnętrznym napięciem i przekonaniem o słuszności nie podlegają tym nakreślonym niebezpieczeństwom. Dzieje się tak dlatego, że mają coś, czemu pragną służyć. Wola spełnienia koncentruje nas w pełni na celu, ku któremu się zbliżamy i łatwiej być wtedy głuchym na przejawy dezaprobaty

otoczenia. Również w relacjach z innymi silnym argumentem staje się żarliwość, dzięki sugestywności, którą ze sobą niesie. Łatwiej osiągać wyobrażone cele i wywierać wpływ na innych, gdy te zamierzenia są nie tylko intelektualnie przemyślane, lecz potwierdzone również naszą uczuciowością i tzw. wolą.

Nawoływanie do kalkulacji, do umiaru jest właściwością starszego pokolenia, które jednak, na szczęście, nie jest zdolne powstrzymać buntu młodych. Bez żarliwości niewiele się osiąga. Bywa ona niebezpieczna wtedy, gdy nabiera charakteru fanatycznego. W żarliwości zachodzi zespolenie naszych myśli i uczuć oraz postanowień wokół tego, co nas absorbuje. Nie ma tu miejsca na „rozsądne” rozważanie na temat „czy mi się to opłaca”. I stąd nieporozumienia pokoleń, bowiem starsi zbyt często kalkulują.

W słynnej powieści Musila *Człowiek bez właściwości* jednostka jawi się jako istota bezkształtna, nie wykrystalizowana, ukrywająca się pod pozorami racjonalistycznych uzasadnień. Taki jest nasz współczesny obraz. Demagogia oddziałująca na tak nie ukształtowanego człowieka może wydawać z niego zachowania pożądane dla swoich interesów. Człowiek innego typu, przedstawiciel młodego pokolenia, bądź młody przedstawiciel starego pokolenia – oddający się czemuś z wewnętrznym napięciem i przekonaniem o słuszności – nie podlega temu niebezpieczeństwu. Ma właściwości. I ma coś, czemu pragnie służyć.

Potrzebne są wspólne ideały łączące ze sobą pokolenia w obrębie narodu. Taką rolę pełni niewątpliwie patriotyzm, zwłaszcza w chwilach zagrożenia niepodległości. Właśnie sytuacje krańcowe narodu pozwalają się mocno cementować pokoleniom i wówczas konflikty między nimi stają się kategorią nieprzystającą do rzeczywistości.

Pokolenia wzajemnie odchodzą daleko od siebie, wytwarzają w społeczeństwie podziały. W rezultacie okazuje się, że silniejsze więzy mogą wytworzyć się między przedstawicielami różnych narodów reprezentujących to samo pokolenie. Różnice narodowościowe i rasowe nie stanowią przeszkody w porozumieniu. Ma rację amerykański socjolog Mills, pisząc o międzynarodowej elicie intelektualnej jako silnej wspólnoty. Tyle, że pewne nasze polskie sprawy są nieprzekazywalne, a między innymi, wciąż świeża obecność wydarzeń ostatniej wojny w naszej teraźniejszości.

Człowiek nie jest funkcją wieku biologicznego i nie jest zdeterminowany przez wykonywaną pracę. Natomiast czyta się często o wieku przed-, po- i produkcyjnym i stosownie do tego wartościuje się jednostki. To właśnie podejście staje się jednym z silnych źródeł konfliktu pokoleń. Można je eliminować. Ale są konflikty nie do uniknięcia. Wywołuje je nie różnica wieku, lecz różnica poziomów i płaszczyzn rozwoju jednostek i grup

społecznych!

Nie może wystarczyć sam opis faktów. Idzie nie tylko o pogłębioną analizę obecnej sytuacji, ale w niemniejszym stopniu o zarysowanie sposobu jej rozwiązania. Jeżeli stwierdzam istnienie konfliktu pokoleń i w zasadniczym stopniu winą obarczam dorosłych – to powinnam nakreślić kierunek pewnych przemian. Wydaje mi się, że nawoływania do udoskonalenia młodzieży pozostaną sloganami pozbawionymi oddźwięku tak długo, dopóki w starszym pokoleniu nie nastąpią pożądane przeobrażenia.

Energię należałoby kierować ku wyrwaniu dorosłych ze schematów ich życia i myślenia, jak również pobudzać ich wyobraźnię i wrażliwość. Nie są to mrzonki, bowiem w świecie kultury masowej znajdują się środki, które można by wykorzystać dla przeobrażania mentalności tych, których zaliczam do pokolenia starszego. Niestety, telewizja i inne środki masowego przekazu nie służą temu celowi. Nastawione są raczej na samouspokojanie i wytwarzają bierność.

Nie są to mrzonki, bowiem możliwa byłaby multiplikacja ośrodków dla ludzi zdrowych, w których można by zdobywać wiedzę o tym, jak zachować młodość wewnętrzną, zdolność do rozwoju i nieustannego kształtowania własnego ja. Ośrodki takie miałyby powodzenie jako miejsca, w których można by się uczyć emocjonalnego przeżywania. Tego nikt nie uczy, bowiem większość powołanych do życia instytucji troszczy się o stronę intelektualną. Te słowa podpowiadają mi wyniesione doświadczenia z pracy w Laboratorium Higieny Psychiczej (Konsultacyjny Ośrodek Rozwoju Twórczego). Powstał on z inicjatywy Jerzego Grotowskiego przy współdziałaniu i kierownictwie Kazimierza Dąbrowskiego. Został potem przekształcony w Ośrodek Higieny Psychiczej dla Ludzi Zdrowych, do którego zgłaszali się ci wszyscy, którzy szukali pomocy w pokierowaniu rozwojem wewnętrznym, jak również rozwikłaniu konfliktów międzypokoleniowych.

Z pracy w tym Ośrodku wyniosłam przekonanie, że poczucie braku więzi rodzinnych, odczucie pewnej pustki, występujące często u młodego pokolenia, jest nierzadko zawinione przez pochłoniętych pracą zarobkową i codziennymi sprawami rodziców. Starsze pokolenie nie ma czasu, jak twierdzi, na więzi przyjaźni, zastępując ją pozorami tejże. Dzieci wzdychają, obserwując więzi międzyludzkie oparte na zasadach interesowności. Jest to wielka strata, bowiem kultywowanie przyjaźni przez rodziców podpowiadałoby jej niepodważalną wartość i mogłaby się ona stawać łącznikiem międzypokoleniowym. Zwłaszcza, że w przyjaźni nie liczą się lata. Nie zna ona bariery wieku. Zawija się zawsze, gdy napotka się kogoś o podobnym rodzaju wrażliwości na świat, i umacnia – gdy każda z zaprzyjaźnionych stron na swój sposób zmierza do urealnienia wartości, do twórczego przekształcania siebie otwartego

dla innych. Dążenie do przyjaźni z wielką siłą wybucha w wieku kilkunastu lat. I dążenie to, wraz z jego świadomością i mocą wewnętrznej potrzeby, można ocalić na przeciąg całego życia. Dlaczego nie kultywuje się przyjaźni?

Osobowość tworzy się w wyniku ciągłej walki jednostki z jej własną biologiczną naturą oraz społeczeństwem, nadrzędnym w stosunku do jednostki, niezbędnym dla jej rozwoju. Człowiek tworzy się, na co wskazał Gombrowicz, w zetknięciu z innym człowiekiem. Określa go forma, która rodzi się między ludźmi. Zachodzi to niemal w każdej chwili. Nawet w przypadkowym zetknięciu. W ten sposób każdy z nas jest w pewnym sensie tego słowa stwarzany od zewnątrz. A w pełni określają nas nie deklaracje słowne, lecz podjęte działania. Człowiek nie może potwierdzać swojej osobowości, nie uznając osobowości innego. Ale czy starsze pokolenie jest tego świadome?

Bunt, niezgoda na kompromis – ta postawa życiowa wprowadza linię demarkacyjną w kontaktach pokoleń. Z jednej strony rysuje się koniunkturalizm, a z drugiej – najczęściej postawa niezgody na kompromis. Ta ostatnia wyraża się w chęci weryfikowania wszelkich modeli życiowych i odejścia od biernego naśladownictwa starszych, którzy często stanowią zaprzeczenie poszukiwanych wzorów. Chcąc być posłusznym i przystosowanym, niejednokrotnie młody człowiek przypląca swój wysiłek i fałsz wewnętrzny nerwicami i psychonerwicami. Młode pokolenie pragnie uniknąć utartych dróg, odznacza się jasnością widzenia i żywością odczuwania. Te właściwości są do tego stopnia cenne, że stanowią wystarczającą przeciwwagę dla obiegowych, i tak bardzo chętnie powtarzanych, sądów deprecjonujących młodzież. Pisarzem, który bunt podnosi do rangi najwyższej w swojej twórczości, jest, poza Camusem, niewątpliwie Ibsen. Budzi swoją twórczością odwagę do tego, by żyć według własnych zapatrywań i odważnie występować przeciwko złym tradycjom. Jego bohaterowie cierpią na potrzebę prawości i mają odwagę – dyskusyjną – odbierać bliźnim kłamstwo ich życia.

Postawa buntu stawia wysokie wymagania zwłaszcza sobie, bo inaczej bunt byłby nieszczerzy. Nie można innym odbierać kłamstwa ich życia, jeżeli tkwi się w nim samemu. Trzeba równocześnie głęboko rozumieć innych i zarazem być bezkompromisowym. Tymczasem postawie buntu starsze pokolenie przeciwstawia wygodnictwo, które wyraża się w biernym przystosowaniu do opinii ogółu i unikania w ten sposób odpowiedzialności. Wyrabiana zostaje w każdym z nas od dziecka tendencja do posłuszeństwa. Tak więc naturalne tendencje do buntu muszą być w ciągu życia pogłębione. Idzie bowiem o bunt dojrzały, a nie powierzchowne „jestem przeciw wszystkiemu”. Bunt kształtuje pozytywnie charakter jednostek, bowiem domagają się one respektowania i urzeczywistnienia tego co,

słuszne.

Rozprawa o zazdrości międzypokoleniowej wydaje się równie potrzebna, co dramat o czekaniu, który został już (przez Becketta) napisany. O zazdrości pisze się wiele, ale zwykle w innym kontekście, w związku z uczuciem miłości. Zazdrość stanowi istotny problem w relacji pokoleń, ponieważ wyłącza nas z poczucia wspólnoty, niszczy i tak zbyt kruche więzi pokoleniowe. Przedmiotem zazdrości starszego pokolenia jest głównie młodość biologiczna i sfera namiętności. Natomiast pokolenie wschodzące zazdrości starszym pieniędzy, koneksji, wychodząc z założenia, że „starym nic nie jest potrzebne”.

Mechanizm zazdrości jest niebezpieczny, bowiem może usprawiedliwiać niedostatek własnych wysiłków. Łatwiej jest zazdrościć niż mieć do siebie pretensje o wkładanie w życie zbyt małego wysiłku. Bywa, że to uczucie chroni przed rozczarowaniem sobą. Może też umacniać w mniemaniu o pechu, który nas rzekomo osacza. A więc bywa, że wzmacnia bierność i umacnia przeświadczenie o bezcelowości działań. Można też zazdrość określić jako rezultat braku wyobraźni, bowiem przeżywając takie stany, nie dopuszcza się myśli o trudach, które przebył inny człowiek, ażeby osiągnąć to, czego brak u siebie przykro odczuwamy. Uczeń zazdrości mistrzowi, ale nie dostrzega, na przykład, własnych ograniczeń. Czujemy się teoretycznie omnipotentni i to zaostrza konflikty pokoleń. Zazdrość dorosłych dzieci o rodziców nie tylko często łamie życie samotnej matce czy ojcu, którzy dla nich rezygnują z ponownego małżeństwa, ale też prowadzi do konfliktu między rodzeństwem. Zdarza się, że urodzenie młodszej siostry wywołuje u starszej poczucie utraty pierwszeństwa i że nie może się ona pogodzić z tym, że odtąd rodzice będą obdarzać czułością również to nowo narodzone. Utrata uprzywilejowanej i wyłącznej pozycji. Stosunek do innych przybiera formy, które można objąć skalą od egoizmu oraz egocentryzmu – do empatii. Ta ostatnia jest czymś więcej, niż przejawem życzliwości i sympatii do jakiegoś człowieka. Jest ona szczególnym rodzajem rozumienia. Polega ono na umiejętności nie tylko wysłuchania kogoś, nie tylko myślowego przeniknięcia czyichś spraw, ale na wniknięciu w świat wewnętrzny rozmówcy, i to w sposób nie oceniający. Jest to zdolność postawienia siebie w sytuacji drugiego, a co za tym idzie – emocjonalnego odebrania odczuć tego, kto nimi się dzieli; empatię można określić jako subtelne przeniknięcie od wewnątrz czyjegoś świata. I właśnie dlatego rozbudzanie zdolności do empatii stanowić by mogło przeciwwagę dla rysującego się od wieków konfliktu pokoleń, pokoleń w sensie tu przedstawionym. Ale gdzie się jej uczyć?!

Empatia to stan postulowany w miejsce obserwowanego dzisiaj stanu agresji i to nie tylko międzypokoleniowej, ale w ogóle międzyjednostkowej. Spełnienie go przyczyniłoby się też do pełniejszego poznania samego siebie. Wgląd emocjonalno-intelektualny w innego

poszerza świadomość naszego ja. Stając się w procesie empatii pełniejszym człowiekiem, uczymy się tolerancji, która nie ma nic wspólnego z pobłażliwością, lecz jest pełną rozumienia aprobatą pluralistycznie zorganizowanego społeczeństwa. Empatia sprzyja wyzbywaniu się uprzedzeń, które tkwią u podłoża agresji międzypokoleniowej.

Wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu obciążeni stereotypowymi sposobami myślenia oraz przesądami, co niekorzystnie waży na relacjach międzypokoleniowych. Pewne mniemania, przekazywane z pokolenia na pokolenie, już z góry niejako utrwalają trudności porozumiewania się. Dążenie do empatii stanowi zarys idealnego rozwiązania konfliktu pokoleń. Można je traktować jako ideał, do którego jedynie asymptotycznie mogą się zbliżać pokolenia na wzór państwa celów – ideału nakreślonego przez Kanta dla wszelkich następujących po sobie pokoleń. Skoro dążąc do tego, co idealne, musimy pozostawać w świecie niedoskonałym należy dojrzeć dodatnie strony agresji, buntu, zazdrości, czyli tego, co jest wprawdzie powodem przepaści międzypokoleniowych – lecz zarazem siłą napędową ludzkich działań; trzeba je umieć uszlachetniać. Świat, jaki być powinien, jest światem na miarę naszego nieprzystosowania.

W galerii Cezarego

Interesuje mnie działalność Klubu Studenckiego Riviera-Remont, bowiem z nim współdziałałam, zwłaszcza w okresie bliskiej współpracy z Polskim Towarzystwem Higieny Psychiczej. Interesuje mnie Galeria kierowana od października 1982 roku przez Cezarego Staniszewskiego. Narosła we mnie, jako obserwatorze wystaw w tej Galerii, potrzeba spisania uwag na jej temat. Bezpośrednim bodźcem stało się uczestnictwo w dniu 7 czerwca 1985 roku o godzinie 18.00 w zdarzeniu artystycznym „Ptaki”, powołanym do życia przez Włodzimierza Borowskiego, Andrzeja Mitana, Cezarego Staniszewskiego i Tomasza Wilmańskiego.

Podaję tak dokładnie datę i czas, bowiem było to zdarzenie artystyczne jednorazowe, niepowtarzalne. Trudno przekazać je nie uczestniczącym, ponieważ istota owego zdarzenia wyrażała się w pozasłownej sferze jego oddziaływania. Owładnęło ono uczestnikami nie tylko w sferze intelektualnej; również wraźniowej i uczuciowej. Zmuszało do przeżycia tego, co, ujawnione na innej drodze, nie przemawia tak wyraźnie. Mianowicie – stan naszego zniewolenia pojmowanego szeroko, a więc również w sensie zależności od opinii, obyczajowości czy nawet tego, co „wypada”, prawidłowe – jest niedostrzegalny i nieodczuwalny dostatecznie wyraźnie, dopóki z takich pęt i więzów – których jesteśmy wszak dobrowolnymi więźniami – nie otrząśniemy się.

Omawiane zdarzenie artystyczne pozwoliło spojrzeć na siebie jakby z zewnątrz, stać się na chwilę obserwatorem własnej zależności. I w następstwie zastanowić się nad głębokim sensem poglądu Kazimierza Dąbrowskiego, który nauczał, by iść drogą nieprzystosowania pozytywnego.

Piszę o tym, co działo się w Galerii w dniu 7 VI 1985 o godzinie 18.00, ponieważ nie po raz pierwszy – choć tym razem szczególnie mocno – przeżyłam sens filozoficzny tego, co należy do zakresu twórczości artystycznej. Jestem przekonana, że często właśnie artyści i pisarze – a obecnie również fizycy i biologowie – bliżsi są filozofii niż, paradoksalnie, wielu

profesjonalnych filozofów. W każdym razie ci ostatni wydają się często nie tak mocno zaangażowani uczuciowo w zbliżanie się do poznania bytu i egzystencji jak artyści i pisarze.

Wytarły się słowa. Czai się fałsz w relacjach międzyludzkich. Ale pozostaje prawda naszych działań. Przemawiają te, które są zgodne z wewnętrznymi przekonaniem, te, które dokonujemy zgodnie z poczuciem wewnętrznej powinności. I dlatego w Galerii Cezarego Staniszewskiego, również i tym razem, uczestnik był zawładnięty zdarzeniem artystycznym. Odmierni, nie znający się ludzie, zostali przez moment zespoleni. Ta jedność różnorodnych indywidualności stanowi istotną wartość.

Zdarzenie, o którym piszę, rozgrywało się w anonimowej norze. Brak było wirtuozerii wykonawczej u wymienionych czterech artystów, ale za to przemawiali szczerością. Andrzej Mitan tym razem nie śpiewał, lecz wydobywał z siebie dźwięki na wzór krzyku. Pozostawał w chórze z ptakami. Kolorowy obraz telewizyjny pozwalał zobaczyć karmienie papug przez artystów. Klatki były właśnie umieszczone w tej norze.

Włodzimierz Borowski, Andrzej Mitan, Cezary Staniszewski i Tomasz Wilmański zostali sprowadzeni do roli oprawców. Jedyne dodatnie przeżycie estetyczne, to włosy Mitana w artystycznym nieładzie. Po zabiciu od wewnątrz drzwi owej nory urwała się transmisja telewizyjna. Gdy pozwolono nam do niej wejść, najbardziej uderzające było uświadomienie sobie, że wewnątrz owej nory-klatki nie czuło się braku wolności w tak dojmujący sposób, jak wówczas, gdy sytuację klatki przeżywało się od zewnątrz. Dodam, że dla Włodzimierza Borowskiego „Ptaki” stanowiły logiczny ciąg dalszy jego wcześniejszego, niezmiernie interesującego wernisażu „Rozdarcia”.

Słuszna wydaje mi się zasada działania Galerii sformułowana przez Cezarego Staniszewskiego: prezentuje to, co w odczuciu własnym i swoich przyjaciół dzieje się istotnego w sztuce. Nie stara się sformułować manifestu. Byłby ograniczeniem. To raczej chwila pisze program – tak wyraził swoje stanowisko w rozmowie i dodał, że wystawia to w Galerii, co żywe w sztuce, a więc dziejące się teraz.

Galeria pozostaje w kontaktach z innymi krajami. Utrwalił mi się szczególnie mocno w pamięci muzyczny happening – tak bym to określiła – Szweda Sven-Ake Johanssona z Berlina Zachodniego. Przeżycie mocne – artysta w ekstazie. Podczas swej ekspresyjnej gry na perkusji stworzył sytuację ulotną w czasie i zarazem osadzającą słuchaczy – widzów bez reszty w chwili teraźniejszej. Absolutna szczerość.

Podstawowe kryterium działania Galerii to wyeliminowanie banału i sztuki komercyjnej. Brak wyrazistych kategorii estetycznych sprawia, że wraca się w sztuce do kategorii etycznych. Zresztą sztuka XX wieku w wielu swoich prądach wzbogaca wiedzę o człowieku i

oddziałuje korzystnie – przynajmniej ta w Galerii – zmuszając do współtworzenia, do współdziałania w akcie twórczym.

Piszę o Galerii z tym większym zainteresowaniem, że nie można o niej orzec nic w sposób ostateczny. Galeria ta ma dla mnie znaczenie szczególne, bowiem wiąże treści filozoficzne z poszukiwaniami artystycznymi.

Święta u Stefana

Poznałam go jeszcze w okresie studenckim. Stanowi dla mnie trwały punkt odniesienia.

Doktor Stefan Król jest autorem książek z zakresu historii i zarazem malarzem, poetą oraz twórcą religii życia. Jego wielokierunkowe zainteresowania twórcze wyraziły się, na przykład, w utworzeniu Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej czy w kierowaniu szkołą muzyczną, a potem pierwszym w kraju Ośrodkiem Higieny Psychiczej dla Ludzi Zdrowych. Nie złamany ciężkimi przeżyciami w obozach koncentracyjnych oddawał się również z pasją działalności społecznej, wspólnie z innymi tworząc Klub „Krzywe koło” czy Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich. W 1970 roku wystawił sztukę pt. „Noc styczniowa” opartą na dziejach powstania 1863 roku. Była to jedna z pierwszych sztuk wystawionych w Warszawie w nowym rozwiązaniu scenicznym; zerwał z konwencją widowni i sceny, aktorów wprowadził między widzów – tak, aby w toku akcji widz stawał się uczestnikiem rozgrywających się wydarzeń.

Zawód, jak podkreśla Stefan, rzadko jest pasją. Zawód jest czymś trwałym – zaś pasje ulegają zmianie. Z takiego wewnętrznego impulsu wywodzi się jego twórczość w dziedzinie filozoficzno-religijnej. Przeżycia obozowe nie miały na to bezpośredniego wpływu. Po takich przeżyciach ludzie z reguły potem albo stają się sceptykami, albo poszukują oparcia w światopoglądach już istniejących. U Stefana zaś zaznaczyła się postawa poszukiwania nowego systemu. Natomiast wojna zaznaczyła ślady w jego malarstwie.

Nazywa swoje malarstwo „metafizycznym” – ja zaś zaliczyłabym je do symbolicznego. Nawiązuje zarówno do tradycji młodopolskich, jak do surrealizmu. Koloryt obrazów działa silnie i uwypukla zawarte w nich treści filozoficzne. Skłaniają do kontemplacji zarówno dramatyczne wizje jego obrazów, jak i sugestywna siła witalna, która z nich emanuje.

Oglądając portrety namalowane przez Stefana, mam wrażenie, że są one penetracją jego duszy, ale w osobie malowanej. On nie maluje kogoś. Maluje przeżycie, które wzbudza w

nim ów portretowany. Bardziej podobają mi się portrety tworzone przez Stefana niż te liczne, które można oglądać na wystawach ostatnich lat. Jego obrazy są wręcz szokujące, pełne niepokoju. Przykuwają uwagę. Wydają się snem, a może raczej projekcją wyobraźni pełnej wyrazu.

Stefan jest konsekwentny: filozofia życia i filozofia malarstwa są u niego styczne. Wciąż na nowo potwierdza się moje przeświadczenie, że problemy filozoficzne są mocniej przetrawiane przez artystów, a zwłaszcza malarzy, niż przez profesjonalnych filozofów. Swoje *credo* artystyczne zatytułował Stefan w sposób nie wymagający komentarza: „Tworzyć to znaczy żyć”. Sztuka jak mówi, przynosi ludziom nie tylko zachwyty, ale i ukojenie, a więc jest i życiem, i niekiedy azylem.

Religia Stefana głosi, że życie jest głównym celem istnienia oraz najwyższym stopniem w rozwoju człowieka. Życie – to najwyższe dobro. Nic z bieżącego życia, jak powtarza, nie należy oddawać niebu. Wiąże się to z przekonaniem, że należy wykorzystać to, co jest możliwe, a dodatkowo, zdobywać to, co jest niemożliwe i od nas w pełni zależne.

Modlitwa do samego siebie pełni istotną funkcję w rytuale filozoficzno-religijnym Stefana. Zwraca się ona nie do jakichś sił zewnętrznych, lecz do sił, które tkwią w samym człowieku – po to, by te siły wzmocnić i skierować do działania. Pomocy trzeba szukać w sobie, a potem odwoływać się do czynników lub osób nam przyjaznych. Jego modlitwa zwraca uwagę na własne indywidualne możliwości człowieka. Jest więc samodynamizującą się formą odnoszenia się do siebie. Utrwala też wartość własnego istnienia i życia.

Dobrze jest mieć możliwość, choćby kilka razy w roku znalezienia się w domu Stefana, po to, aby spotkać interesujących ludzi, z którymi iluzorycznie, bo na przeciąg kilku godzin, można się zespolic. Tworzenie własnej indywidualności musi być przerywane przez takie chwile, w których wspólnota w grupie niweczy obcość poczucia odmienności.

Święta w powszechnie znanych religiach związane są z osobą twórcy czy reformatora religijnego: Mojżesza, Chrystusa, Mahometa, Buddy – oraz wiążą się z narodem, z jego tradycyjnymi kultami. Religia życia proponowana przez Stefana nie wiąże swoich świąt ani z osobą, ani z wydarzeniem specjalnym, ani z wiekowym kultem. Wiąże się ona z wartościami, których każdy człowiek powinien przestrzegać. Obchodzi co roku cztery święta. Od 21 XII do 25 XII trwa święto Życia. Czci się w tych dniach wartość samego życia. 21 marca ustanowił święto ku czci Miłości pojmowanej jako siła twórcza o znaczeniu biologicznym, psychicznym i społecznym. Jest to zarazem święto twórczości w ogóle. 21 czerwca – święto Dobra, które odnosi się do kształtowania stosunków międzyludzkich oraz stosunku ludzi do świata zewnętrznego. Przypomina, że musimy uznać indywidualność tego, co nas otacza. 21

września – święto Przodków. Poświęcone jest pamięci człowieka i kulturowego dorobku przodków oraz jego związku z życiem każdego z nas. Chodzi o trwały element człowieczego istnienia, który trwa mimo śmierci jednostki. Stąd też jedna z modlitw w tym dniu nosi znamiona modlitwy zmarłego do żywych.

Stefan ustalił terminy świąt w okresach zmian pór roku. Uważa bowiem, że człowiek dla swojego dobra winien bardziej wiązać egzystencję z prawami rytmu przyrody tak ziemskimi jak i kosmicznymi. Nie narusza to praw tworzonej przez człowieka cywilizacji. Istotą każdego święta – oprócz rozważań filozoficzno – religijnych, jest wniesienie przez każdego uczestnika tego, co go nurtuje, choćby w powszechnym odbiorze wydawało się nieważne, śmieszne czy obrazoburcze. To cenię szczególnie, bo można u Stefana bez obaw manifestować swoje „ja”. Pomaga uczestnikom w zdejmowaniu ich masek i zaskorupień. Pociąga mnie też to, że rytuał jest stale rozwijany przez samych uczestników.

Inspiracjom Stefana, dążeniu do tego, by uczestniczący w świętach odważnie wyrażali te treści, które w nich tkwią i nie oglądali się na uznane autorytety – zawdzięczam powstanie obszernego fragmentu mojej książki *Dociekania nad prawem natury czyli o potrzebach człowieka*. A przy tym pewność, że cztery razy w roku czyjeś drzwi będą gościnnie otwarte dla każdego, pewność odnalezienia się we wspólnocie – wielokrotnie podtrzymywała mnie na duchu w momentach nieprzyjaznych.

Kryzys szkół naukowych

Słuszne hasła pluralizmu światopoglądowego, jak również pozytywne orzeczenia takiego stanu obecnie w Polsce, będą tak długo niedostatecznie żywe, póki nie zostaną przełożone na język faktycznych objawów życia kulturowego. Spełnienie tego, co chwilowo jest w dużej mierze postulatem, doprowadziłoby do wielości szkół naukowych w poszczególnych dziedzinach.

Rozważając dwie sfery twórczości człowieka: artystyczną i naukową, uważam, że twórczość artystyczna w większym stopniu spełnia u nas obecnie postulat pluralizmu niż naukowa. W dziedzinie sztuki zaznaczają się różne kierunki, na przykład, w teatrze, by wymienić osiągnięcia twórców miary Grotowskiego, Kantora czy Szajny. Twórcy ci grupują wokół siebie adeptów, tworząc własne szkoły artystyczne. Znajdują również oddźwięk w świecie. To przejawienie się rozmaitych szkół jest wyraźne w literaturze. Pisarz czy poeta o wybitnej indywidualności wywołuje chęć naśladownictwa u innych. Mamy, by wymienić tytułem przykładu, wielu poetów Wojaczków czy pisarzy upodabniających się do Hłaski.

Indywidualności niezbędne są po to, by następował rozwój kultury. Niewystarczająco zaznaczają one dziś swoją obecność w dziedzinie twórczości naukowej. Pociąga to za sobą zmierzch szkół. Czy jest tak dlatego, że wiele dziedzin twórczości artystycznej, jak poezja czy literatura, nie wymaga specjalistycznej edukacji, przynajmniej, w zakresie swego rodzaju tworzenia? Twórczość naukowa, czy to w dziedzinie nauk przyrodniczych, czy humanistycznych, wymaga przejścia przez odpowiednio kształcące studia. Być może, te studia niedostatecznie pielęgnują zaznaczające się talenty lub nawet utrudniają ich rozkwit?

Niski stopień przygotowania nauczycieli do zawodu, przypadkowy dobór osób wykonujących ten zawód, traktowanie go w sposób pozbawiony poczucia pełnionej misji, jaką jest wychowanie kolejnego pokolenia. Oto niektóre przyczyny błędów edukacji, w wyniku których kształtują się indywidualności nie wykrystalizowane. W trakcie edukacji nie

sprawdza się uzdolnień, lecz wiadomości, nie kształtuje wiedzy oraz intuicji.

Wybitny uczony reprezentuje nie tylko talent, ale również i wyraziście ukształtowaną osobowość. Tymczasem system nauczania jest zbiurokratyzowany i nastawiony na kształtowanie umysłu. Kształtowanie własnego „ja” pozostawione jest dobrej woli jednostek. Nie rozbudza się należycie potrzeby dążenia do wartości wyższych. Idea dobrobytu materialnego, jako celu dążeń, zatacza coraz szersze kręgi. Wszechstronny rozwój człowieka, jego podstawowych indywidualnych właściwości, odsuwa się na plan dalszy, na rzecz osiągnięcia standardu życiowego.

Błąd w edukacji polega też na tym, że ceni się to, co jest ujęte w ramy pewnych formuł naukowych. Szerzone są hasła skłaniające do kształtowania rozumu. Służą temu szkoły, kursy udoskonalające, wyższe studia, które są dla wielu rodzajem nobilitacji. Ten kult wiedzy naukowej, w dodatku wykrzywiony (często chodzi tylko o zdobycie dyplomu), prowadzi do zapomnienia o potrzebie kształtowania charakteru, a w tym o potrzebie kształtowania emocjonalnych reakcji na świat i ciągłego uszlachetniania naszej uczuciowości. Takie problemy nie każdy potrafi sam rozwiązywać. U wielu jednostek potrzebę tę należałoby dopiero rozbudzić. Tak więc mamy do czynienia z narastającą ilością skrzywionych osobowości i niedoszłych talentów.

Współcześnie życie rodzinne skoncentrowane jest na ogół wokół troski o materialne przetrwanie. Nastąpiło osłabienie duchowych kontaktów; nie można traktować jako kontaktów duchowych wspólnego oglądania telewizji przez siedzących obok siebie członków rodziny. Z kolei o wartości przyjaźni polegającej na zupełnie czymś innym niż stosunek: „ja dziś tobie, a jutro ty mnie”, z reguły się nie myśli. U kogo szukać zrozumienia dla niepokojów, które każdy z nas w różnym natężeniu przechodził w wieku młodzieńczym, a u wielu pozostały one i na dalsze lata? Kto ma dzielić niepokoje i z wątpliwościami myślących przedstawicieli świata dorosłych? Jak przyjmować narastające nieraz poczucie obcości wobec tych, z którymi łączą nas więzy rodzinne? Gdzie szukać pomocy w sytuacjach konfliktowych, kiedy niezbędne jest wyraziste podjęcie decyzji? We wszystkich okolicznościach, w których do głosu dochodzą sprawy naszego charakteru, jest się zdanym na siebie. Nasze upodobania, niejednokrotnie wyśmiewane przez nie rozumiejące otoczenie, po prostu marnieją.

Wewnętrzna uczciwość, wartość o różnym znaczeniu dla poszczególnych ludzi, wymaga stałego wysiłku wewnętrznego i nieustannego poczucia odpowiedzialności, wymaga odwagi wybrania drogi nieprzystosowania do tego, co jest obowiązujące, na przykład, w danym środowisku rodzinnym, zawodowym i twórczym. Niepomniernie łatwiejsza, i w związku z tym wybierana przez większość, jest droga pełnego przystosowania do otoczenia, choćby

wymagała ona stłumienia tego, co naprawdę uznaje się za słuszne. Zwalnia to przed poczuciem odpowiedzialności i gwarantuje powierzchowne porozumienie z innymi (instynkty społeczne są w nas bardzo silne i nikt nie chce uchodzić za dziwaka). Postawy konformistyczne i oportunistyczne znajdują więc podatny grunt. Niszczą one często talent, popychając na drogę sukcesu.

Oczekuje się od innych aprobaty i akceptacji i w imię tych wartości nie zawsze trwa się przy swym talencie, który niejednokrotnie nie znajduje zrozumienia. Postawie takiej sprzyja brak mądrych bezinteresownych mecenasów.

Analiza życia wybitnych jednostek, niezależnie od dziedziny, w której urzeczywistniały one sens własnego istnienia, i niezależnie od rozmiarów szkoły, którą wytworzyły, wskazuje, że były one najczęściej nie przystosowane do otoczenia. Trzeba zdawać sobie wyraziście sprawę z dwojakiego sensu „nieprzystosowania”. Jego przejawem bywa alkoholizm, narkomania czy wręcz margines przestępczy, ale na drugim biegunie umieścić należy tych, którzy tworzenie własnej indywidualności i poszukiwanie prawdy własnych odczuć i przemyśleń uznali za wartość najwyższą, ważniejszą od troski o tzw. ustawienie się w życiu. Dla tych jednostek praca nad sobą, zagadnienie stosunku do innych ludzi i tworzenie własnego światopoglądu jest sprawą nadrzędną. Zdają sobie sprawę z tego, że być człowiekiem, to znaczy nie tylko poszerzać wiedzę, ale przede wszystkim pogłębiać i wznosić na wyższy poziom uczuciowy kontakt ze światem. Wśród nich znajdują się wybitni twórcy. Ale nie mają oni obecnie u nas sprzyjających warunków dla rozwoju.

Presja układów niszczy niejednokrotnie mniej odporne psychicznie jednostki. Znane są przykłady twórców różnych dziedzin: technicznej, artystycznej, naukowej, którzy dopiero poza granicami naszej ojczyzny znaleźli możliwości dla rozwoju swego talentu z dala od zazdrosnych, dobrze powiązanych, z dala od niesprawiedliwie i niszcząco oceniających działalność wielu. Z filozofów wystarczy wymienić tu Jerzego Brauna. Współtworzone i reprezentowane przez niego środowisko polskich mesjanistów po 1945 roku prowadzi w znacznym stopniu utajone życie naukowe, nie mogąc zainteresować ani katolickich, ani marksistowskich wydawców w Polsce. I w ten sposób jedna ze znaczących dla narodowej kultury szkół naukowych w filozofii pozostaje zauważalna tylko dla znikomego grona wtajemniczonych. W ten sposób zubożona zostaje mapa pluralizmu polskiego.

Spośród innych przyczyn kryzysu szkół naukowych w Polsce zwrócić należy uwagę na samą strukturę szkolnictwa wyższego i likwidację katedr, która doprowadziła do zaniku poczucia odpowiedzialności profesorów za kształcenie swoich następców. Związki między asystentami czy adiunktami a profesorami rozluźniły się. Odpowiedzialność staje się

anonimowa. Młodszy pracownicy naukowcy sami zabiegają o swe interesy, pozbawieni rozmaitych form opieki. Studia doktoranckie przekształciły okres samodzielnego dojrzewania naukowego w dalszy ciąg statusu biernego ucznia. Doświadczenie zaś wskazuje, że zbyt długie „prowadzenie za rękę” szkodzi.

Kto dziś odważy się publicznie mówić o tym, że poszukuje prawdy? Kryzys wiary w wartości wyższe i kryzys wzorów osobowościowych sprawia, że powszechne staje się dążenie do kariery pojmowanej różnie, choćby w formie dobrej posady. A z tym trudno jest pogodzić indywidualizm na jakimś polu badań. Dążenie do kariery podszeptuje raczej ostrożność. Stąd w tak wielu pracach humanistów brak wyrażania własnego stanowiska. Są one często kompilacją obcych poglądów. Są „pisane nożyczkami”, to znaczy złożone z cytatów pism wielu innych autorów. Rzekomo, w ten sposób ma się wyrażać troska o obiektywizm naukowy. W rzeczywistości jest to trwożliwe utajanie własnych poglądów lub ich brak.

Mogilnictwo, czyli docenianie twórców, dopiero gdy odejdą, było właściwością naszego życia kulturowego już w okresie między dwiema wojnami, a więc i wtedy zaznaczyły się te procesy, ale nie tak silnie, skoro były wyraziste szkoły naukowe. Powołując jako przykład filozofię, ścierały się szkoły Lutosławskiego, Twardowskiego, Wrońskistów, szkoła intuicjonizmu spiritualistycznego, neotomizmu, psychologizmu, teozoficzna.

Niepodległość w 1918 roku dała możliwości rozwoju filozofii polskiej i swobodnego zaznaczania się w niej szkół, dzięki wcześniejszemu przygotowaniu przez działalność ośrodków filozoficznych w czasach niewoli.

W pierwszych latach po II wojnie światowej mocno zaznaczyły się ślady dawnych szkół i ich mistrzów. Indywidualności ukształtowane wcześniej trwały nadal w niesprzyjających warunkach czasów powojennych. Wielu wybitnych twórców (na przykład Lutosławski) po drugiej wojnie nie publikowało swoich dzieł. Ich szkoły po wojnie nie przyciągały adeptów (choć było ich wielu przed wojną), bowiem uczeń szuka zazwyczaj takiego mistrza, który nie tylko przyczyni się do jego rozwoju, ale i przyniesie realną pomoc w życiu i w zabiegach o karierę.

Zdaję sobie sprawę z tego, że zagadnienie przyczyn kryzysu szkół naukowych w Polsce po ostatniej wojnie może być wyjaśnione w jeszcze inny sposób. Mimo tendencji do obiektywizmu w naukach, niepodobna uchronić się od widzenia problemów przez pryzmat własnej osobowości. Tylko bowiem twórczość koniunkturalna, pisana na zamówienie, wyzbywa się elementów podmiotowych.

O uczelniach

Trudno by mi było nie pisać w dzienniku o uczelniach, bowiem od uzyskania magisterium na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a następnie na Wydziale Filozoficznym, stale wykładam w wyższych uczelniach. Różnie to bywało. Były i takie lata, że nie miałam, mimo starań, pełnego etatu, czy też muszę – po zdobyciu wyższych kwalifikacji – jeździć do miast odległych od Warszawy – miasta mego urodzenia i zamieszkania. Poznałam więc dobrze stosunki panujące nie tylko w dużych renomowanych uczelniach, ale i w regionalnych.

Region, pojmowany w sensie nie tylko geograficznym, lecz również społeczno-zawodowo-kulturowym, narzuca nam pewne treści, wobec których dokonujemy samookreślenia. Regionalizmu nie sposób uniknąć, ponieważ wyznaczają go: tradycja, obyczaje, klimat, krajobraz, historia. Nie sposób go uniknąć nawet wówczas, gdy ktoś mieni się kosmopolitą i manifestuje wolność od jakiegokolwiek zakorzenienia w określonym miejscu i tradycji. Twórczość Gombrowicza jest znakomitym świadectwem tego, że chęć wyjścia poza własny regionalizm musi się zakończyć fiaskiem. Ale zniewolenie nim nie przesądza o niemożności nadania regionalizmowi wyrazu uniwersalnego. To również ilustruje pisarstwo Gombrowicza.

Regionalizmu nie należy pojmować jako siły fatalnej, ciężącej na jednostce, bowiem możliwy jest regionalizm z wyboru – nie tylko z urodzenia. Nabokow stał się – mimo swej silnej, zdawałoby się, więzi z kulturą rodzimą, rosyjską – jednym z najbardziej amerykańskich pisarzy – nowatorów. Pozostaje się zawsze elementem jakiejś mikrospołeczności i od tak rozumianego regionalizmu nie ma ucieczki. Twórczość Tadeusza Kantora, poszukującego wartości absolutnych, dowodzi, że wartości uniwersalne trzeba zawsze przełożyć na język konkretny, a najbliższy temu twórcy jest świat jego regionu z czasów dzieciństwa. Region może istnieć bez twórcy, ale nigdy twórca bez regionu. Tę myśl

o konieczności związania artysty z jakąś glebą zawiera wiersz Jana Stępnia „Bez korzeni”:

bezdomny poeta jest
jak wygłodniały ptak
co nie zna smaku gniazda...

Regionalizm zastępuje na co dzień poczucie łączności z całym narodem. Patriotyzm przybiera zazwyczaj właśnie postać sentymentu do „kraju” lat dziecińczych, a więc – do „regionu”. I dobrze byłoby włączyć w tak pojęty regionalizm sprawnie zorganizowane uczelnie o wysokim poziomie dydaktyczno-naukowym.

Uczelnie regionalne są potrzebne, podobnie jak niezbędna jest decentralizacja kraju w tym znaczeniu, by życie naukowe i artystyczne na wysokim poziomie nie było przywilejem jedynie dwóch czy trzech dużych miast. Bujne dawniej życie na prowincji – w dodatnim, nie znanym dziś znaczeniu tego słowa – toczyło się w wielu ośrodkach, znajdując m.in. w dworach szlacheckich naturalną ostoję.

Powołanie uczelni regionalnych na wysokim poziomie jest, niestety jedynie postulatem. W rzeczywistości, obok uniwersytetów w większych miastach, utworzono u nas po ostatniej wojnie szereg mniejszych uczelni w nowych miastach, a w tym około 10 Wyższych Szkół Pedagogicznych. Określa się je mianem uczelni prowincjonalnych, nadając temu terminowi, zgodnie z niskim poziomem nowych ośrodków kształcenia wyższego, znaczenie pejoratywne.

Pora, by prowincjonalizm przestał funkcjonować jako określenie deprecjonujące. Jego pochwałę niestrudzenie głosi po wojnie Aleksander Zaczyński i Czesław Tarnogórski. Jest to, zresztą, pojęcie wieloznaczne, bowiem jego sens zależy może od punktu odniesienia. Czy Kielce, na przykład, to prowincja? Jako prowincja może być wszak uznana Warszawa! Utarło się znaczenie pejoratywne tego terminu na tyle silne, że już sam fakt zlokalizowania uczelni poza obszarem dużego miasta rodzi z góry przeświadczenie o niskiej wartości takiego przedsięwzięcia.

Zważywszy nasze stosunki – uprzedzenie to znajduje uzasadnienie w tym, że było wiele okresów, w których najbardziej utalentowanych twórców ściągano do Warszawy. Poza tym jedynie duże miasta mają należyte zaplecze laboratoryjne i biblioteczne, co sprawia, że uczone nie może tworzyć, o ile jest pozbawiony kontaktu z Krakowem, Warszawą bądź jeszcze kilku miastami. Inaczej przedstawia się sytuacja, na przykład, w pobliskich Niemczech, gdzie stare tradycje decydowały o powstawaniu uczelni na prowincji, po to, by w ciszy i skupieniu móc tworzyć i przekazywać wiedzę innym. Każdy, kto zajrzał choćby do Heidelbergu, zdaje sobie sprawę, że trudno o miejscowość bardziej sprzyjającą twórczości naukowej, właśnie dlatego, że – w przeciwieństwie do wielkich miast – jest ciche i kameralne.

Przed pierwszą wojną światową życie uniwersyteckie w Polsce koncentrowało się w Krakowie, we Lwowie i w Warszawie. W dwóch pierwszych miastach były polskie uniwersytety. W Warszawie znajdował się rosyjski uniwersytet i Wyższe Kursy Naukowe. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku wskrzeszono polskie uniwersytety w Warszawie i Wilnie oraz utworzono nowy w Poznaniu. Kontynuowały działalność uniwersytety w Krakowie i we Lwowie, a w 1918 roku w Lublinie powstał Katolicki Uniwersytet. Ze Lwowa wywodziła się znaczna liczba profesorów, zasilających później inne uniwersytety. W każdym z nich wykładało grono uczonych niepośledniej miary i żadnego z nich nie dałoby się określić mianem prowincjonalnego, w znaczeniu pejoratywnym. Poziom nauczania, na przykład, w uniwersytecie we Lwowie czy w Wilnie, w niczym nie ustępował Warszawie. Wyjątkiem, pod pewnym względem, był Katolicki Uniwersytet w Lublinie, który w owych czasach odgrywał rolę nieporównywalnie mniejszą niż obecnie i jako uniwersytet wyznaniowy był przez wielu uczonych omijany. *Notabene*, po wojnie sytuacja wokół KUL zmieniła się radykalnie i ci, którzy dawniej stronili od tej uczelni – zaczęli chętnie korzystać z jej zaproszeń.

Wysoki poziom uczelni jest uwarunkowany jakością nauczania średniego. Przed drugą wojną światową szkoły średnie i uniwersytety przypominały naczynia ściśle ze sobą połączone. Nauczyciele szkół średnich odznaczyli się starannym przygotowaniem pedagogicznym i wysokim wszechstronnym poziomem wiedzy. Natomiast ich wykształcenie, formalnie rzecz biorąc ustępowało temu, którym mogą się poszczycić dzisiejsi nauczyciele w szkolnictwie. Wielu dawnych nauczycieli do dziś pamiętają i otaczają czcią ich wychowankowie, by wymienić tu przykładowo Jadwigę Reutt, dyrektorę gimnazjum Zyberk-Platerówny. Po II wojnie światowej szkolnictwo średnie podlegało reformom, przy czym co najmniej cztery z nich miały charakter radykalny. Jednakże prestiż zawodu nauczycielskiego, jak również nauczania w szkołach wyższych, wciąż w społeczeństwie upada. Być może, zamiast dalszego nieudanego kształcenia wyższego należałoby powrócić do dawnej koncepcji seminariów nauczycielskich? Licznie powstałe po ostatniej wojnie wyższe szkoły pedagogiczne w wielu miastach nie potrafią jakoś kształtować osobowości tych, którzy mają nauczać kolejne pokolenia.

Na przykład, prof. Lidia Winniczuk – wybitna znawczyni antyku i niestrudzony propagator łaciny – w latach przedwojennych, jako doktor, pracując w szkolnictwie średnim brała czynny udział w pracach programowych Komisji Filologii Klasycznej przy ministerstwie. Karierę uniwersytecką, naukową zaczęła później, po 1946 roku, chociaż znacznie wcześniej publikowała prace naukowe. Również wybitny filozof, Bolesław J. Gawecki, mając już

znaczny dorobek filozoficzny, nauczał w szkołach średnich i nie poczytywał sobie tego za ujmę. A właśnie współczesne nam niedocenywanie nauczania w szkołach, oddawanie go w ręce osób, które wprawdzie mają dyplom, ale niekoniecznie odpowiednie dla nauczania kwalifikacje – prowadzi w konsekwencji do obniżania się poziomu w uczelniach. Trzeba odrabiać braki. Czy rzeczywiście potrzebni są nauczyciele ze stopniem magistra? Czy nie można by zredukować tych wyższych szkół pedagogicznych, które nie mają odpowiednio wykwalifikowanych nauczycieli akademickich, i na ich miejsce powołać średnie szkoły przygotowujące do zawodu nauczyciela?

Prestiż naszych uczelni prowincjonalnych jest niewysoki również i z tego powodu, że nie mogą one nadawać doktoratów. Z jednej strony ta niemożność świadczy o małej liczbie wysoko wykwalifikowanych pracowników dydaktycznych. Z drugiej niemożność dalszego pogłębiania wiedzy przez studentów stwarza atmosferę utylitarnego nastawienia oraz brak tendencji zgłębiania wiedzy dla niej samej.

Tragicznym w skutkach paradoksem jest przypadkowy dobór osób na studia pedagogiczne. Kierunek ten wybierają ci, którzy lękają się konkurencji w uczelniach uznawanych powszechnie za nieprowincjonalne oraz konkurencji na innych wydziałach. Wyższe Szkoły Pedagogiczne – inaczej niż dawne Studia Nauczycielskie, z których wyrosły – kształcą nauczycieli z tytułem magistra, zwiększając ilościowo grupę polskiej inteligencji. Ale jej jakość budzi zastrzeżenia. Nawet absolwenci polonistyki, by powołać ten przykład, nie zawsze mówią prawidłowo po polsku, a wiele tytułów utworów literackich brzmi dla nich obco. A przecież nie o jednostronnie kształconych specjalistów powinno nam chodzić, lecz o wielostronnie i wielopoziomowo wykształconych absolwentów, odznaczających się w dodatku wysokim stopniem kultury.

Nie dba się u nas o wszechstronny rozwój osobowości tych, którzy mają kształcić innych. Na ogół nie mają oni, zresztą, skąd czerpać wzorów, bowiem w uczelniach prowincjonalnych dobór wykładających nauczycieli akademickich jest zazwyczaj przypadkowy. Są to najczęściej – jeśli idzie o tubylców – doktorzy nauk, często po studiach doktoranckich, odbytych w innych pobliskich krajach. Większość z nich ma status wykładowcy bądź starszego wykładowcy. Pozwala to wykonywać pracę dydaktyczną, kierować pracami magisterskimi – bez obowiązku dalszego własnego rozwoju naukowego. Są oni zwolnieni od obowiązku doktoratu i nie grozi im rotacja.

Inną grupę w uczelniach prowincjonalnych stanowią pracownicy Międzywydziałowych Instytutów Nauk Społeczno-Politycznych. Zatrudnieni są tam przede wszystkim byli działacze partyjni, nie zawsze mający dostateczne przygotowanie do pracy naukowo-

dydaktycznej w zakresie filozofii, socjologii, nauk politycznych i ekonomii. Jest to tym groźniejsze w skutkach, że – jak wskazuje nazwa tego Instytutu – jego pracownicy wykładają na wszystkich wydziałach.

Trzecia grupa osób zatrudnionych w uczelniach prowincjonalnych – to profesorowie i doktorzy habilitowani dojeżdżający z dużych miast. Jeśli są zatrudnieni na pół etatu, to zazwyczaj traktują tę pracę jako dorabianie do pensji i nie włączają się do życia naukowego uczelni prowincjonalnej. Powstają antagonizmy i owi dojeżdżający, pogardliwie określani przez tubylców mianem „kolejarzy”, zazwyczaj nie są mile widziani w uczelni. Są traktowani jako zło konieczne, bowiem istnienie uczelni wymaga odpowiedniej liczby samodzielnych pracowników naukowych. Tubylcy mają przekonanie, że „kolejarze” są niezbędni tylko z uwagi na formalną możliwość funkcjonowania uczelni. Znam przypadek docenta doktora habilitowanego „kolejarza”, który od lat nie jest zapraszany na posiedzenia Rady Wydziału. Zdarza się też, że hierarchia stopni naukowych ulega całkowitemu zachwianiu i zwierzchnikiem docenta doktora habilitowanego jest doktor, ale za to miejscowy.

Te wewnętrzne antagonizmy przybierają nieraz postać na tyle ostrą, że energia wielu spala się w rozgrywkach osobistych. Rywalizacja dotyczy zwłaszcza uzyskiwania docentury w drodze mianowania. Poza tym część nauczycieli akademickich w uczelniach prowincjonalnych znalazła się w nich w drodze przeniesienia ze szkolnictwa średniego. Zachowali oni dawną mentalność i na ogół nie zdają sobie sprawy, że, na przykład, sprawdzanie listy obecności studentów na wykładach nie jest właściwym środkiem dla zapewnienia sobie słuchaczy w sali wykładowej. Wzajemne tarcia personalne w uczelniach prowincjonalnych odwracają niejednokrotnie uwagę od właściwych zadań, którym ma służyć uczelnia. Studenci słusznie narzekają na brak atmosfery, która mogłaby rozpalać umysły i kształtować charaktery.

Sprawą niezmiernie istotną jest zapewnienie nie tylko wysokiego poziomu wiedzy tych, którzy mają wyklądać w uczelniach, w tym w uczelniach regionalnych, ale i wysoki stopień rozwoju osobowości; siła indywidualności jest tutaj nieodzowna. Właśnie mniejsze miasta mają naturalne właściwości, które sprzyjają krystalizowaniu się wyrazistych osobowości, w dodatku silnych, o sprawdzonych charakterach, bowiem pokusy postaw oportunistycznych na prowincji (w dodatnim sensie tego słowa) są może jeszcze silniejsze niż w wielkich miastach.

W procesie dydaktycznym występuje psychiczne zetknięcie wykładowcy z grupą i zazwyczaj – gdy mowa o dydaktyce – ta właśnie relacja staje się przedmiotem dociekań. Jednak nie można pominąć indywidualnego oddziaływania nauczyciela akademickiego na konkretne jednostki tworzące grupę. Relacja ta jest zawsze zwrotna. Powyższe stwierdzenie

jest konkretyzacją reguły, że każdy z nas oddziałuje na innego człowieka i także oddziaływanie odbiera. Każdy z nas w stosunku do innego człowieka pełni rolę katalizatora; wzmagając pewne odczucia inny człowiek ujawnia w nas same pokłady psychiczne, z których nie zdawaliśmy sobie – dostatecznie bądź w ogóle sprawy.

Relacja: wykładowca – student należy do szczególnego rodzaju stosunków międzyludzkich. Truizmem byłoby przypominanie, że celem tych kontaktów jest rozwijanie sfery intelektualnej, poznawczej (wyłączam tu swoistość nauczania w szkołach artystycznych). Ale w tym procesie kształtowania umysłu istotną rolę odgrywa kontakt pozasłowny, również o znaczeniu dwustronnym. I dlatego nie każdy – o czym zdają się zapominać obecne uczelnie prowincjonalne – kto ukończy wyższe studia, ma dane ku temu, by nauczać innych.

W procesie dydaktycznym zachodzi nie tylko wzmożone uświadamianie sobie tej wiedzy, którą zamierza się przekazać słuchaczom, ale – szerzej – wzmagają się wiedza każdego z wykładających o sobie samym. Uczucia są czynnikami, do których należy się odwoływać, jeżeli chce się nawiązać kontakt i w oparciu o ten kontakt przekazywać wiedzę. Wiedza trafia do ogółu nie tylko dzięki racjom logicznym przytaczanym na jej poparcie, ale również – i to w większej mierze – dzięki mocy pobudzania wyobraźni, wytwarzania pragnień realizowania słusznych idei i dzięki sympatii, którą budzi wykładowca.

Właśnie na umiejętnym oddziaływaniu na sferę emocjonalną winny się opierać metody dydaktyczne. Skutecznie wychowywać – to znaczy łączyć wyobrażenia i sądy z uczuciami określonej jakości przy jednoczesnym podsycaniu jednych uczuć, a tłumieniu innych. Skąd ma czerpać wiedzę o tym wszystkim przeciętny absolwent uczelni, któremu przypada zaszczyt nauczania innych?

Nie ma powodu, aby żywić podziw i szacunek dla człowieka odznaczającego się wysokim stopniem rozwoju intelektualnego, nawet pod tym względem nieprzeciętnego, póki nie pozna się jego strony emocjonalno-wolitywnej i nie wykryje się współmiernego rozwoju obu sfer. Tę podstawową prawdę instynktownie rozumieją studenci, którzy szukają u wykładowcy nie tylko wiedzy, lecz także wzorca osobowości. I dlatego nie ci trafiają do młodzieży, którzy jej schlebiają, pozornie się z nią bratając, nie ci, którzy szukają poklasku i popularności – lecz jednostki o wykrystalizowanej indywidualności, o nastawieniu konsekwentnie i sprawiedliwie wymagającym, a równocześnie życzliwym i pełnym entuzjazmu dla świata w zakresie przez siebie nauczaniem.

Zachodzi społeczna potrzeba kształtowania osobowości nauczycieli akademickich po to, by mogli przekazać słuchaczom coś więcej, prócz wiedzy ściśle fachowej, aby przekraczali

swój często hermetyczny język dostępny jedynie wąskiemu gronu fachowców, aby nie zasklepiali się w wybranym wycinku rzeczywistości. Możliwe to jest tylko przez pracę nad sobą i pogłębianie procesów wewnętrznych, wszechstronny rozwój na własną indywidualną miarę. Nie można zapominać, że w kierowanym do siebie przekazie słuchacze cenią nade wszystko wewnętrzną prawdę i wysoki stopień zaangażowania wykładowcy w treści, które podaje. Czy można tego oczekiwać od większości pracowników uczelni prowincjonalnych, którzy znaleźli się tam bądź z przypadku, bądź zostali skierowani niezależnie od oceny ich umiejętności dydaktycznych?

Na powstawanie uczelni prowincjonalnych miały wpływ rozmaite czynniki, a między innymi ambicja, aby przekształcić dane miasto w ośrodek akademicki, co, naturalnie, nadaje mu wyższą rangę. Ambicje są cenne i stanowią zarzewie działania, ale muszą być oparte na realnej ocenie rzeczywistości. W miejscowościach mających odpowiednie zaplecze zorganizowanie uczelni regionalnej miałoby głęboki sens ze względu na ferment kulturotwórczy, który studenci wnoszą do miasta, jako – na przykład – wdzięczni słuchacze odczytów i koncertów, jako wymagająca publiczność teatralna – już przez sam fakt istnienia pobudzają wysiłki twórcze poszczególnych ośrodków.

Pragnę zwrócić uwagę na to, że – w przeciwieństwie do uczelni prowincjonalnych – filie dużych uniwersytetów w innych miastach, na przykład: Filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, mają wiele dodatnich stron.

Przede wszystkim wolne są od rozmaitych i niejednokrotnie złożonych nacisków ze strony miejscowych władz i nie zachodzi w ich wypadku problem krzyżowania się kompetencji władz centralnych, ministerialnych i miejscowych. Ponadto przypadkowość doboru kadry nauczającej nie występuje w wypadku filii, bowiem dojeżdżają z uczelni macierzystych wybitni specjaliści. W związku z tym studiujące w filiach „dzieci bardzo ważnych osób” są traktowane na równi z innymi, a więc znacznie mniej jest przejawów protekcji. Filie mają zaplecze w postaci wysoko zorganizowanych macierzystych jednostek i poziom ich nie pozwala na określenie pejoratywnie rozumianym terminem „prowincjonalne”.

Negatywna ocena funkcjonujących u nas dzisiaj uczelni prowincjonalnych wiąże się ściśle z niezmiernie niskim poziomem prowadzonych przez te uczelnie studiów zaocznych. Przychodzą na nie dorośli ludzie zajmujący nieraz w swoim regionie stanowiska, wobec których wykładowca i egzaminator czują się uzależnieni. Z drugiej znów strony znaczną część studiujących zaocznie stanowią nauczyciele, co stawia innego nauczyciela, tyle że akademickiego, w trudnej, delikatnej sytuacji. Zetknęłam się z grupą nauczycieli, kończących studia zaoczne w zakresie humanistyki, dla których pojęcia takie jak: agnostycyzm czy

relatywizm były obce. Trudność stawiania należytych wymagań wobec studentów zaocznych wynika stąd, że kieruje nimi chęć awansu bądź utrzymania dotychczas zajmowanego stanowiska, a dyplom jest niezbędnym środkiem do tego celu. Toteż oczekują oni nie tylko minimalnej ilości lektur, ale nawet wskazania stron z lektur obowiązujących, które winni przeczytać. Studia zaoczne stały się sposobem szybkiego i masowego studiowania, co musiało doprowadzić do niemal groteskowego obniżenia ich poziomu. Nic więc dziwnego, że w skali społecznej nastąpiła dewaluacja dyplomów w ogóle. Przyczyniły się do tego walnie uczelnie prowincjonalne. Prowincjonalne – dosłownie.

Zapomniana dziedzina

Muszę z radością odnotować, że moje nawoływania do odrodzenia filozofii prawa w Polsce zyskały potężnego sojusznika w osobie rektora Grzegorza Leopolda Seidlera. W moim dzienniku powtarzają się nieustannie zapiski o potrzebie tej dziedziny. Dałam temu wyraz w artykułach, w opublikowanych rozmowach z filozofami prawa Austrii i Włoch, jak również w książkach. I kiedy, znużona swoją samotną drogą, zastanawiałam się pewnego dnia, skąd czerpać siłę dla działań niedocenianych – zauważyłam książkę G. L. Seidlera *Z zagadnień filozofii prawa*.

Autor wyraził w niej swój pogląd, mający korzenie w marksizmie i marksistowskiej interpretacji teorii Leona Pertażyckiego. Grzegorz Leopold Seidler jest postacią wyjątkową nie tylko z racji swoich prac, ale żarliwości i entuzjazmu, który wyraża się w jego wielorakiej działalności. A więc mam bratnią duszę i wspólny cel mimo odmiennych punktów wyjścia!

Przywrócenie w nauczaniu akademickim w skali całego kraju filozofii prawa miałoby istotny wymiar dydaktyczno-wychowawczy. Bowiem ta dziedzina filozofii – podobnie, zresztą, jak filozofia kultury i filozofia dziejów – uczy cenić wartości wyższe tak w życiu zbiorowym, jak jednostkowym.

Spośród dziedzin filozofii te trzy nie znalazły dla siebie współcześnie warunków dla rozwoju. Zaniedbania w dziedzinie filozofii prawa wiążą się z likwidacją katedr filozofii prawa w 1950 roku we wszystkich niemal uczelniach oraz z próbą zastąpienia jej teorią prawa i państwa. Zmiana nazwy pociągnęła za sobą zmianę treści. Ale próba stworzenia cezury między tym, co było a tym, co jest, nie powiodła się. Rozwój każdej dziedziny nauki nie może odrywać się całkiem od narosłej tradycji.

Wprawdzie zainicjowałam wykłady filozofii prawa na Wydziale Filozoficznym ATK, ale napotykałam opór ze strony niewidzialnych postaci do tego stopnia, że żyłam na granicy nędzy, bowiem zatrudniano mnie tam jedynie na pół etatu. Trwało to kilka lat, nim odeszłam.

I nie ze strony głoszących miłość bliźniego chrześcijan – lecz ze strony poety i tłumacza szwedzkiej poezji, Janusza B. Roszkowskiego, doznałam materialnej pomocy, która była czynnym potwierdzeniem łączącej nas przyjaźni. Dług w tej wymiernej części spłaciłam dopiero po kilku latach.

Podobnie jak w okresie między dwiema światowymi wojnami przejmowaliśmy tendencje pozytywistyczne, minimalistyczne, odległe od naszego narodowego sposobu filozofowania, tak w ostatnich latach został uznany socjologiczny sposób myślenia za synonim nowoczesności i zaszczerpiony u nas. Ta moda filozoficzna utrudnia odrodzenie po ostatniej wojnie filozofii dziejów i filozofii kultury – mającej znakomite tradycje w XX-leciu. Zarzucono ją na rzecz socjologii kultury.

Na zaniku rozwiniętej w okresie międzywojennym filozofii prawa zaważyły inne powody niż w przypadku wymienionych wyżej dziedzin filozofii. Warto przemyśleć przyspieszenie renesansu filozofii prawa w dobie wyodrębniania się nowych działów filozofii, a w tym filozofii uniwersytetu. Ważną sprawą jest przypomnienie, że monizm stanowisk w danej dziedzinie naukowej – bo nie o ideologię tu chodzi – nie służy rozkwitowi dociekań. Jest miejsce i dla teorii prawa, i dla filozofii prawa. Prowadzi, zresztą, taka tendencja ujednolicenia do zaniku dyskusji naukowych i wprowadzania na to miejsce sporów o trzeciorzędnym znaczeniu. Zresztą zazwyczaj po latach dochodzi do odrodzenia tego, co mechanicznie zostało usunięte. Tak dzieje się z filozofią prawa.

W przedmowie do mojej książki *Teorie prawa natury XX wieku w Polsce* G. L. Seidler przytacza opinie austriackiego uczonego o moich pracach filozoficzno-prawnych. Cieszy mnie też artykuł Pawła J. Smoczyńskiego w „Nowych książkach” o filozofii prawa po ostatniej wojnie w Polsce i moim w niej miejscu. Odrobina od lat oczekiwanego uznania potęguje moje siły i dalszą chęć działania. Chociaż przez moment zaciera się dzięki temu ostra dysproporcja wysiłków i oczekiwań.

Piotr Chojnacki

Dążenie do poznania prawdy ze względu na nią – nie zaś na cele inne, pragmatyczne – było wartością, którą ksiądz profesor Piotr Chojnacki starał się zaszcześcić swoim uczniom. Nie tylko nauczał, ale i wychowywał. Był bezwzględnie oddany wartościom, które uznawał za naczelne. Uczenie się filozofii stawało się kuźnią charakterów. Jeżeli się narzekało w czasach studenckich, to potem, z perspektywy lat, pozostawała wdzięczność i głęboki szacunek dla Mistrza. Profesorowi Chojnackiemu zawdzięczam wprowadzenie do filozofii Kanta i pozostawanie w jej kręgu oddziaływania.

Piotr Chojnacki budził podziw na równi z bojażnią. Toteż koledzy spoglądali na mnie ze zdumieniem, gdy zdecydowałam się u P. Chojnackiego pisać pracę magisterską. Nie żałuję tego mimo poniesionych trudów. Zaczęłam powoli rozumieć dzięki kontaktom z P. Chojnackim, że należy nie tylko uczyć się myśleć i starać się wciąż postępować dalej na tej drodze, ale zarazem umieć odczuwać smak istnienia. W każdy niemal piątek można było spotkać profesora na koncercie w Filharmonii, w zimie – w górach na nartach, cenił też życie towarzyskie i podróże. Piotr Chojnacki należał do tych filozofów, którzy słowem mówionym zapładniają umysły znacznie doskonalej i pełniej niż słowem pisany. Realizował siebie bardziej w osobistych kontaktach ze słuchaczami niż w pisanych rozprawach. Był niezrównanym dydaktykiem. Nakładał obowiązek doskonalenia się w precyzji słowa i w samodzielności myślenia.

Ulubioną formą przekazywania wyników własnych przemyśleń były dla Piotra Chojnackiego seminaria. Nierzadko nawet wykłady przybierały tę formę, która dawała możliwość natychmiastowego sprawdzania, czy istnieje – pożądaną przez niego – ścisły kontakt ze słuchaczami. Nietypowe były jego wykłady: przerywane licznymi dygresjami, które oświetlały omawiane zagadnienia w sposób tak wielostronny, że stawały się małymi syntetycznymi rozprawami. Było się jakby świadkiem ich powstawania. A w tych tak zawsze

cennych dygresjach pokazywał całokształt związków omawianego problemu – i to również z punktu widzenia historii rozwoju poglądów ludzkich.

Piotr Chojnacki miał cenny dar przekładania problemów filozoficznych określonego systemu na język innego systemu. W błyskach twórczej syntezy burzył pozorne sprzeczności między systemami filozoficznymi. Ta umiejętność przekładania języków filozoficznych poszczególnych twórców ujawniła się zwłaszcza w jego rozprawach, wykładach i seminariach poświęconych krytycyzmowi filozofii Kanta. Mówienie językiem Kanta o problemach tomizmu i na odwrót pozwalało głębiej wnikać w omawiane systemy.

Szerokość horyzontów Piotra Chojnackiego i jego pozbawione uprzedzeń poszukiwanie prawdy w różnych systemach wyraziło się w niepowtarzalnym charakterze studiów filozoficznych w okresie sprawowania przez niego kierowniczych funkcji. Gdy był dziekanem zaznaczał się na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej ATK pluralizm filozoficzny. Obok tomizmu – kierunku dominującego – studenci mieli możliwość zetknięcia się z przedstawicielami mesjanizmu, pozytywizmu i z Bolesława Gaweckiego filozofią rozwoju. Przy czym studia – początkowo pomyślane jako drugiego stopnia – oparte były na znajomości nauk przyrodniczych. Studentów obowiązywały wykłady z matematyki, biologii, antropologii, fizyki. Profesorowie B. Rosiński, J. Szuleta, M. Molski, T. Witwicki, A. Godlewski nie tylko wspaniale nauczali, ale byli też niezmiernie interesującymi osobowościami. Wiktor Wąsik zaszczerpiał szacunek dla mesjanizmu.

W swoich pracach dotyczących psychologii myślenia, Piotr Chojnacki zwracał uwagę na to, że sądy są wytworem czynników myślowych, ale też wolitywnych, a zwłaszcza uczuciowych. Przeżyte uczucia, wyobrażenia i dążenia mają na nie wpływ. Teoria poznania i logika rozważają sądy jako odtwarzające stany przedmiotowe, ale – jak słusznie zauważa Piotr Chojnacki – do tego potrzebne jest myślenie wydyscyplinowane potrafiące się wyzwolić od subiektywnych wpływów. Funkcje myślowe wolne od wpływów uczuciowych zakrawają na fikcję. Intelkt jest związany z czynnikami uczuciowymi oraz z dążeniami; wydawanie sądu nie bywa sprawą „czystej myśli”. Myślenie ludzkie obraca się stale, jak mówił Piotr Chojnacki, w atmosferze danych uczuciowych, wyobrazeniowych. Wydanie sądu zależy zarówno od doświadczenia obecnego, jak i od zasobu doświadczeń ubiegłych, które mają również swoje akcenty uczuciowe. Trzeba się uczyć wydawać sądy obiektywne – to znaczy – coraz wolniejsze od subiektywnych wpływów. Trzeba się uczyć orzekać to, co jest obiektywne, a nie to, co nam się wydaje lub to, czego pragniemy. Piotra Chojnackiego interesowało owo wahanie się naszego myślenia między poziomem subiektywno-afektywnym a poziomem obiektywnym. Spostrzeżenia i sądy dzieci oraz młodzieży cechuje silny wpływ

uczuć, nastrojów i potrzeb. Powoli, w miarę rozwoju wyzwalamy się z autyzmu i staramy się coraz bardziej o obiektywizm. Ważne jest to uwypuklenie przez Piotra Chojnackiego, że sądy mające być wyrazem myślenia obiektywnego stanowią wypadki wyidealizowane przez logików. Ta walka z przekonaniem o występowaniu tak zwanego czystego myślenia miała szczególne znaczenie, ponieważ była prowadzona przez filozofa ceniącego najwyżej precyzję i ścisłość myślenia, nie odwołującego się w swym filozofowaniu do prawdy uczuć. Pierwsze prace z tej dziedziny napisał w latach dwudziestych i problematyka ta stanowiła do końca jeden z zasadniczych przedmiotów jego zainteresowań.

Piotra Chojnackiego interesowało pytanie, co jest właściwym przedmiotem intelektu i czy o przedmiocie intelektu, o *intelligibile*, możemy tylko myśleć – jak twierdzi Kant – czy też jest on dostępny ludzkiemu poznaniu. Myślenie nie jest tożsame z poznaniem. Poznanie jest funkcją zmysłowo-myślową odnoszącą się do istniejącego świata. To, co pomyślane znajduje się w granicach tego, co niesprzeczne logicznie; ale to, co możliwe do pomyślenia nie jest równoznaczne z tym, co istnieje. Piotr Chojnacki porównywał stanowisko Tomasza z Akwinu ze stanowiskiem Kanta, by głębiej wniknąć w to zagadnienie. Rozważał też, na przykład, zagadnienie oglądu intelektualnego u Arystotelesa, u Kanta i u Husserla, jak również problem intuicji intelektualnej. Pomimo odmiennych poglądów dotyczących tego, co poprzez intuicję poznajemy – wspólne jest definiowanie jej jako poznania bezpośredniego, w przeciwieństwie do poznania pośredniego, rozumowego. Na przykład, według Reida przez intuicję osiągamy poznanie prawd oczywistych. Bergson definiował ją jako rodzaj współczucia czy sympatii intelektualnej, za pomocą której przenosimy się do wnętrza jakiegoś przedmiotu, aby „zejść się z tym”, co ma on w sobie niewyraźnego. Intuicja u Platona jest aktem intelektualnym, u Plotyna zaś aktem mistycznym.

Pomimo tych różnic istnieje zgodność w definiowaniu intuicji jako bezpośredniego poznania. Cechą charakterystyczną dla intuicji nie jest więc odpowiedź na pytanie, co poznajemy, lecz – jak poznajemy. I w tym znaczeniu Tomasz przyjmuje intuicję intelektualną. To jest – nie w znaczeniu poznania bezpośredniego istoty rzeczy konkretnej, lecz w znaczeniu poznania bezpośredniego istoty abstrakcyjnej rzeczy, bytującej w sposób idealny i będący co do sposobu swego istnienia dziełem intelektu. Czyli intuicję intelektualną u Tomasza należy zdefiniować jako poznanie bezpośrednio przez intelekt tych treści, których sposób istnienia jest dziełem intelektu.

Gdyby był nam właściwy ogląd intelektualny, *intelligibile* – czyli istota rzeczy zmysłowych, o ile ma być poznawana przez intelekt ludzki (w terminologii greckiej: *noumenon*) – byłoby nie tylko pomyślane, jak twierdzi Kant, nie tylko poznawalne pośrednio

przy pomocy przypadłości właściwych – jak twierdzi Tomasz – lecz samo w sobie możliwe do poznania.

Profesor podjął również badania nad filozofią egzystencjalną. I tym razem – jak zawsze – zwrócił się ku temu, co w tej filozofii najistotniejsze, pomijając sprawy drugorzędne. W swych wykładach wykazał – jak nikt inny – różnice między metafizyczną ontologią tomizmu a fenomenologiczną ontologią Heideggera. Nie znam pracy, która by pełniej czy ściślej wyraziła rozbieżność i zbieżność egzystencjalizmu i tomizmu. Piotr Chojnacki poddawał analizie wyłącznie podstawowe założenia poszczególnych systemów ze względu na to, że dalsze tezy każdego systemu są z reguły słuszne z punktu widzenia tychże aksjomatów. Podobnie postąpił i z egzystencjalizmem.

Dostrzegając doniosłą rolę Piotra Chojnackiego trudno pogodzić się z faktem pewnego zapomnienia jego osoby. Nie tylko Piotr Chojnacki, ale w ogóle polscy twórcy miewają kłopoty ze zdobyciem u nas należytego uznania. Odnalazłam w piśmiennictwie bardzo mało tekstów dotyczących twórczości Piotra Chojnackiego.

Wdzięczna Profesorowi Chojnackiemu przede wszystkim za wprowadzenie w filozofię Kanta i ukazanie jej wielkości, zobowiązana za wskazywanie wzajemnych związków między systemami – staram się o wydanie jego prac; tego co z nauczania pozostało na piśmie. Piotr Chojnacki zobowiązał mnie do omówienia swojej drogi filozoficznej jeszcze wówczas, kiedy był wśród nas, tryskający energią i błyskotliwością myśli, pełen właściwej Mu szorstkiej życzliwości dla innych.

Bolesław Gawecki

Tragizm istnienia powstaje wtedy, gdy oddajemy swoje siły innym, gdy kierują nami względy dobra ogólnego – a odpowiedzią staje się pełne obojętności milczenie. Myślę, że tak właśnie można by scharakteryzować drogę życiową niedawno zmarłego Bolesława Józefa Gaweckiego. Oczywiście, gronu jego uczniów dane było nie tylko poznać myśl filozoficzną Mistrza, ale i przejąć się głoszonymi przez niego ideałami. Ale było to grono wąskie. Liczni posiadacze *Historii filozofii* Tatarkiewicza mogą się z niej dowiedzieć jedynie, że był docentem krakowskim. To nic jeszcze nie znaczy. Podobnie jak niewiele znaczy uściślenie i sprostowanie tej informacji: w 1946 roku jako profesor nadzwyczajny wykładał w Uniwersytecie we Wrocławiu, a w 1957 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego i wykładał w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Warto wiedzieć, że Bolesław Gawecki jest twórcą filozofii rozwoju, wybitnym znawcą filozofii przyrody i metodologii nauk przyrodniczych oraz badaczem polskiej filozofii narodowej.

W dążeniu do nowości często grzebiemy te prace, które były pisane dawniej, kierowani złudnym przeświadczeniem, że nowy autor uczyni to lepiej. Tak też i z podręcznikami wprowadzającymi do filozofii pióra B. J. Gaweckiego. Wznowione po II wojnie światowej, mogłyby stać się zachęcającym drogowskazem w dziedzinie filozofii, ale nie są zalecane ani w szkołach, ani w uczelniach. Szkoda to tym większa, że B. J. Gawecki miał dar pisania o trudnych zagadnieniach filozoficznych w sposób przystępny, ścisły, ale nie upraszczający. Jego dzieła mogą stanowić przy tym wzór pięknej polszczyzny. Starał się nauczyć słuchaczy dbałości o piękno i precyzję słowa. Trzeba tu przypomnieć, że w latach 1915–30 Profesor był instruktorem ministerialnym w dziedzinie nauczania i miał duże doświadczenie w tym zakresie.

Twórczość Filozofa była doceniana przez Bolesława Piaseckiego i dzięki temu ukazało się kilka książek B. J. Gaweckiego: *Przygotowanie do filozofii*, *Filozofia rozwoju*, *Zagadnienie*

przyczynowości w fizyce, Polscy myśliciele romantyczni, Myślenie i postępowanie.

Interesująca jest droga B. J. Gaweckiego od pozytywizmu filozoficznego do sformułowania własnego stanowiska, które nazwał filozofią rozwoju. To oryginalne stanowisko ontologiczne i teoriopoznawcze trudno byłoby tu przybliżyć. Za filozofię naukową uznawał jedynie gnoseologię, czyli krytykę i teorię poznania oraz epistemologię, czyli krytykę i teorię nauki. Metafizyka, czyli ontologia, nie jest według B. J. Gaweckiego nauką w tym sensie, co wymienione dyscypliny filozoficzne. Jednakże wbrew pozytywistom nie negował potrzeby metafizycznych dociekań, lecz wskazywał jej niezbędną dla człowieka, który osiągnął już pewien etap rozwoju. Hipotezy niesprawdzalne w sensie naukowym są, jak głosił, koniecznym uzupełnieniem poglądu na świat, jaki mogą dać nauki szczegółowe. Metafizyka to rdzeń ogólnego filozoficznego poglądu na świat, mimo że nie jest nauką.

Związek poglądów B. J. Gaweckiego z tomizmem zaznaczył się głównie w etyce. Stanowisko swoje określał mianem perfekcjonizmu; powinno się, zdaniem B. J. Gaweckiego, zbliżać ku stosunkom ludzkim, które charakteryzowałyby się jeśli nie miłością, to sympatią powszechną. Ten ideał czyni nieodzownym pojęcie Boga. Niezbędna jest, jak głosił, praca nad podniesieniem moralności społeczeństwa, walka z tzw. *dolce vita*, wskazywanie, że życie jest służbą, poważnym obowiązkiem. Sens życia nadaje w przekonaniu Profesora harmonijne dążenie do prawdy i do dobra. Wielu młodych, w co wierzył, dąży do znalezienia głębszego sensu życia.

Odejście B. J. Gaweckiego zubaża niesłychanie mapę pluralizmu filozoficznego w Polsce. Wydaje mi się, że warto w szerszym zakresie niż dotąd podjąć studia nad myślą filozoficzną zmarłego Twórcy. Zresztą, w powojennej Polsce mamy tradycje kultywowania ważnych treści filozoficznych poza ośrodkami akademickimi. Tak dzieje się wszak – przykładowo – z filozofią św. Augustyna, Teilharda de Chardin, z personalizmem, egzystencjalizmem czy mesjanizmem Hoene Wrońskiego. W każdym razie istnienie filozofii rozwoju stworzonej przez Bolesława Gaweckiego nie pozwala na monistyczne traktowanie filozofii.

Warto zwrócić uwagę na wyznanie Profesora powtarzające się w udzielonych przez niego wywiadach. Jest pouczające. Otóż okazuje się, że od dzieciennych lat dążył do zbudowania własnego poglądu na świat. Mając zaledwie piętnaście lat, zdał sobie sprawę, że nie można w pełni odnaleźć się w światopoglądach, które poznawał. Zbudowaniu własnego poglądu na świat poświęcił życie. Wyraźnie akcentuje w swoich publikacjach związek filozofii z życiem narodu. Należy, jak wynika z tego, co pisał Gawecki, uprawiać filozofię narodową na wzór mesjanistów, którzy uczynili z filozofii dziejów główny przedmiot swoich dociekań. Naród

powinien uświadomić sobie zadania, do których ma dążyć ze względu na dobro własne i ogólne. Swoje oryginalne stanowisko gnoseologiczne i ontologiczne nazwał B. J. Gawecki odpowiednio – realizmem ewolucyjnym i panpsychosomatyzmem. Dla określenia poglądów etycznych użył nazwy perfekcjonizm, natomiast nie dokonał syntezy swojego stanowiska w dziedzinie filozofii dziejów, poświęconej badaniom bytu narodu w jego historycznym rozwoju. B. J. Gawecki ustalał dyrektywy metodologiczne, pisał, jak Polacy powinni uprawiać filozofię dziejów. Nie czuł się kompetentny do tworzenia nowej historiozofii. Trafnie upatrywał cechę charakterystyczną filozofii polskiej we wzywaniu do czynu twórczego oraz w dążeniu do rozszerzenia moralności na polityczną działalność narodów B. J. Gawecki wskazywał, że najwyraźniej z mesjanistów Hoene Wroński domagał się ugruntowania polityki na zasadach moralnych. Tak więc, poza czysto poznawczymi funkcjami filozofia, w przekonaniu B. J. Gaweckiego, ma spełniać funkcje praktyczne, kształtować postawę człowieka oraz narodu. Filozofię określa Gawecki jako „pogląd na świat i życie stanowiący próbę syntezy doświadczenia ludzkiego danej epoki z jednolitego punktu widzenia, wraz z konsekwencjami praktycznymi dotyczącymi postępowania ludzkiego, poprzedzony przez krytyczne zbadanie zdolności poznawczej człowieka”.

Bolesław Gawecki był wychowawcą wielu pokoleń i wierzę, że kolejne pokolenia rozślawią jego nazwisko bardziej niż obecne, zdając sobie pełniej sprawę ze znaczenia sformułowanego po II wojnie światowej systemu filozoficznego. Do końca życia zajmowały go zagadnienia filozofii, przyrodoznawstwa i dzieje filozofii, zwłaszcza polskiej. Przyczynił się, podobnie jak prof. Wiktor Wąsik, w dużym stopniu do wzmożenia zainteresowań polską filozofią narodową. Trudno pogodzić się, gdy ktoś odchodzi. Trudno również godzić się z tym, że świat po takim dramatycznym fakcie nie zmienia się, że zatarte zostaje miejsce tego, który niedawno odszedł. Że ludzie dookoła nieświadomi tej śmierci zajmują się sprawami z tej perspektywy nieważnymi. I wywołuje wzburzenie fakt, że za życia szczędzi się słów i ocen, które by mogły rozświetlić istnienie. Są one wypowiedane często dopiero po pogrzebie.

Ażeby spłacić dług – bo wiele nauczyłam się i zrozumiałam, słuchając wykładów prof. Gaweckiego – wielokrotnie pisałam o jego stanowisku filozoficznym i zasługach. Publikowałam rozmowy w prasie z Profesorem, ale pozostaję wciąż z gorzkim przekonaniem o nikłych rezultatach moich usiłowań.

Kazimierz Dąbrowski

Był moim nauczycielem psychologii i neurofizjologii w ATK w okresie, gdy studiowałam na Wydziale Filozoficznym. Jego wykłady miały dla mnie duże znaczenie, ale nie wywarły wówczas większego wpływu. Nic dziwnego. Nie wykladał nam swojej teorii dezyntegracji pozytywnej. Kiedy ją poznałam, gdy przeczytałam jego książkę zawierającą jej zarys, doznałam olśnienia. Ale nie śmiałam powiedzieć tego twórcy tej teorii, bowiem stwarzał zbyt wielki dystans i przy całej życzliwości, którą darzył rozmówców, czuło się między nim a sobą jakby szklaną szybę; nieuchwytną, ale istotną odległość.

Zbieg okoliczności – ale czy przypadkowy? – sprawił, że po kilku latach psycholog Janusz Godek zaprosił mnie do domu Kazimierza Dąbrowskiego i tak zaczęła się moja współpraca z Polskim Towarzystwem Higieny Psychiczej. W niedługim czasie weszłam w skład jego władz, wybrana nie tylko do Zarządu, ale z czasem na stanowisko wiceprzewodniczącego Towarzystwa. Pracy było niezmiernie wiele, i to całkowicie bezpłatnej. Nawet wakacje w Nałęczowie przerywały mi wezwania Profesora na zebrania i narady. I wtedy nastąpił zasadniczy przełom w moim życiu.

Ze świata papierów i książek zostałam przeniesiona do czynnego życia. Była to rewolucja. Działalam. Kierowałam. Byłam całkowicie oddana sprawie w imię poczucia jej słuszności. Nie mniejszą rolę uruchamiającą moje działania odgrywało porozumienie z profesorem. Od strony filozoficznej dochodziłam do pewnych ustaleń zbieżnych z teorią dezyntegracji pozytywnej. Pracowałam do późna w nocy, pisałam książki i artykuły, a w dzień, poza wykładami i kierowaniem pracą PTHP, pochłaniało mi czas redagowanie kwartalnika „Zdrowie Psychiczne” (byłam zastępcą redaktora naczelnego). Wprowadzając m. in. dział: Sztuka jako źródło poznania człowieka – zmieniłam nieco charakter pisma. Nastąpił czas mojego praktycznego stosowania filozofii i wejścia do świata ludzi cierpiących, nie dających sobie rady z własnym „ja”; czas równoległego działania w Konsultacyjnym Ośrodku Rozwoju

Twórczego, powołanym do życia z inicjatywy Jerzego Grotowskiego. To Laboratorium Higieny Psychiczej przyniosło mi wiele znaczących przeżyć i przemyśleń. Pod wpływem zawistnych i podejrzliwych nasze drogi pod koniec życia Profesora się rozeszły. Po jego śmierci towarzystwem naukowym i pismem kierował pewien magister.

Kazimierz Dąbrowski, psycholog i psychiatra, twórca teorii stanowiącej przedmiot kilku międzynarodowych kongresów, założyciel i twórca Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej oraz Ośrodków Higieny Psychiczej dla Ludzi Zdrowych – miał bardzo wielu przeciwników i dlatego uznania oraz możliwości uniwersyteckich wykładów musiał szukać w Kanadzie.

Polska ma ogromne osiągnięcia w dziedzinie teorii higieny psychicznej, głównie dzięki twórcy tego ruchu u nas – Kazimierzowi Dąbrowskiemu. Ale oddźwięk tych słusznych – i mających podstawowe znaczenie dla społeczeństwa – idei jest, niestety większy, w innych krajach.

Higiena psychiczna jest to nauka o warunkach zdrowia psychicznego jednostki i grupy oraz sztuka stosowania tych warunków. Łączy w spójną całość punkt widzenia: psychiatryczny, socjologiczny, psychologiczny, pedagogiczny oraz filozoficzny, który ma znaczenie, chociażby ze względu na funkcję syntetyzującą. Higiena psychiczna wprowadza nader potrzebną współpracę między tymi sposobami pojmowania jednostki, z których każdy z osobna jest niewystarczającym i uproszczonym widzeniem człowieka.

Jak można w paru zdaniach określić teorię Dąbrowskiego? Teoria dezyntegracji pozytywnej jest teorią rozwoju psychicznego, która opisuje przejście od stosunkowo prostej struktury psychicznej, działającej mniej lub bardziej mechanicznie, do złożonej hierarchicznie struktury psychicznej, charakteryzującej się autoregulacją. Nie negując znaczenia cech dziedzicznych oraz wpływu otoczenia, szczególną rolę w kształtowaniu osobowości człowieka Dąbrowski przypisuje czynnikowi trzeciemu, na który składa się samouświadomienie, samopotwierdzenie i samowychowanie. Normalna i powszechna droga do osobowości prowadzi przez procesy rozwojowe rozbijające strukturę pierwotną, przez procesy dezyntegracji pozytywnej.

Tworzenie osobowości jest procesem złożonym, pełnym konfliktów zewnętrznych i wewnętrznych. Jest stopniowym uwalnianiem się od przymusu niższych warstw środowiska wewnętrznego oraz prymitywnego wpływu środowiska zewnętrznego. Tworzenie osobowości – podkreśla autor – to droga dezyntegracji, nieustannego przetwarzania własnej struktury, tej wrodzonej i urabianej przez otoczenie, przy jednoczesnym zachowaniu podstawowych właściwości indywidualnych.

Procesy dezyntegracji – to znaczy proces wewnętrznych wahań, cierpienia, lęki, depresje, obsesje, wzmożona pobudliwość. Osiągnięcie więc wyższego poziomu własnego rozwoju, czyli „rozwijanie” zdrowia psychicznego, sprzęgnięte jest z procesami nerwicowymi i psychonerwicowymi. Mając psychonerwicę, ma się zarówno rozterki i konflikty wewnętrzne, jak i duże bogactwo psychiczne. Kazimierz Dąbrowski podkreśla, że psychonerwica wzmaga wrażliwość, zdolność do rozumienia innych, etc. Zdrowie psychiczne polega na „stawaniu się człowiekiem” w sensie „rozwoju uczuć wyższych, rozwoju wartości ludzkich, autentycznych, esencjalnych, realizacji ideału osobistego i społecznego”. I przeciwnie – „choroba psychiczna to całkowity brak zdolności do rozwoju psychicznego w kierunku realizacji osobowości, a więc coraz wyższych, esencjalnych wartości ludzkich”. Odkrywczość teorii K. Dąbrowskiego wyraża się również we wskazaniu na wymierność funkcji uczuciowych i popędowych oraz w przekonaniu o wymierzalności hierarchii wartości. Ogólnie było dotąd przyjęte mierzenie poziomu umysłowego i psychomotorycznego. Tymczasem wyniki badań doświadczalnych w gronie współpracowników oraz analiza biografii 200 wybitnych ludzi doprowadziły Kazimierza Dąbrowskiego do stwierdzenia wielopoziomowości funkcji emocjonalnych. Radość, śmiech, lęk, tragiczność, sympatia, instynkt seksualny, instynkt samozachowawczy, mają swoje bardzo różne poziomy, które można mierzyć na podobieństwo pomiaru różnej ciepłoty przedmiotów.

Człowiek w ciągu życia realizuje jakąś hierarchię wartości, rozwijając pewne swoje właściwości psychiczne silniej, a inne słabiej. Cele rozwojowe człowieka są zarazem jego wartościami. Dąbrowski dochodzi do wniosku, że wartości, jako normy, są jednocześnie zjawiskami empirycznymi i normatywnymi.

Za szczególnie cenne uważam wprowadzenie przez K. Dąbrowskiego pojęcia i nazwy „pozytywne nieprzystosowanie”. Należy się przystosowywać do tego, co powinno być, a nie przystosowywać się schematycznie do tzw. rzeczywistości codziennej. Człowiek, osiągając wysoki poziom swego rozwoju, odznacza się tym, że bez pewnych wartości wolałby nie istnieć. Na poziomie osobowości takimi niezmiennymi jakościowo wartościami stają się wyróżnione przez Dąbrowskiego właściwości dwu esencji człowieka. Bez nich życie nie miałoby dla nas sensu. Te jakości, rozwijane ilościowo, byłyby, pisze Dąbrowski, jak gdyby „podstawowymi zadatkami naszej nieśmiertelności indywidualnej, naszej trwałości transcendentnej”.

Dąbrowski wyodrębnia w człowieku dwie esencje: indywidualną i wspólną. Są one tak ściśle ze sobą związane, że jedna jest warunkiem koniecznym rozwoju drugiej; nie można być prawdziwie uspołecznionym, jeśli się nie ukształtuje esencji indywidualnej, i na odwrót.

Najbardziej znamienne spośród wartości i celów esencji indywidualnej są uzdolnienia i talenty, które chcemy w sobie rozwijać i wzbogacać, następnie wyłączne związki uczuciowe, niepowtarzalna miłość i przyjaźń oraz świadomość tożsamości ze sobą i własną drogą rozwojową. Esencja wspólna wyraża się w następujących wartościach: empatia, odpowiedzialność, wysoki poziom świadomości społecznej, autonomia, autentyzm. Sens tej esencji sprowadza się do rozwiązywania myślowego i przeżyciowego stosunku do drugiego człowieka i innych ludzi.

Zakwestionowałabym nazwę „esencja” ze względu na obciążenie tego terminu tradycją filozoficzną, a więc możliwość mylnych interpretacji i nieporozumień. Dąbrowski nie nadaje temu pojęciu sensu metafizycznego, rozumując przez esencje „fakty, pojęcia i przeżycia znajdujące się w zawiązkowym stanie u większości ludzi, niedostatecznie rozwinięte, ale – w znacznej większości przypadków – zrozumiałe w ich zawiązkowych strukturach”. Człowiek sam w drodze introspekcji wyróżnia w sobie niektóre właściwości, które stają się jego celami i zarazem wartościami rozwojowymi.

Wielką zasługą Dąbrowskiego jest ujęcie człowieka w kategoriach rozwojowych; odejście od statycznych koncepcji zdrowia psychicznego i nakaz samouświadomienia, samopotwierdzenia i samowychowania siebie. Mimo tego patrzenia na człowieka w kategoriach stawania się, Dąbrowski nie zbliża się do pozycji relatywistycznych. Głosi wielopoziomowość zdrowia psychicznego i wielopoziomowość norm, ale zarazem – co cenne – stanowisko jego jest antyrelatywistyczne, głoszące obiektywizację i wymierzalność hierarchii wartości. Dąbrowski wskazuje człowiekowi cel i sens życia, głosząc nakaz ciągłego rozwoju, który nie ma kresu. Chciałoby się jednak wiedzieć jeszcze więcej: dlaczego, w imię jakich wartości, mamy urzeczywistniać w trudzie własne człowieczeństwo? Dlaczego mamy być powolni temu imperatywowi rozwoju? Czy tylko dlatego, że w przeciwnym wypadku odczuwalibyśmy brak harmonii wewnętrznej i niezadowolenie z samego siebie? Nie wyjaśnia tego, ale jasno kreśli odpowiedź na pytanie o drogę osiągnięcia sensu naszego życia.

Jak mówił prof. Dąbrowski – mając psychonerwicę ma się zarówno rozterki i konflikty wewnętrzne, jak i duże bogactwo psychiczne. Psychonerwica wzmaga prospekcje, hierarchizację. Psychoneurotyków charakteryzuje duża wrażliwość w stosunku do innych, otwarcie na ludzkie sprawy, zdolność do współodczuwania i rozumienia innych. Psychoneurotycy to zazwyczaj ludzie oryginalni i twórczy, nie przysparzający raczej konfliktów zewnętrznych, bo przenoszą je do własnego wnętrza. Mają zdolność do autorefleksji. Psychoneurotycy w pełni ogarniają bóle i troski tego świata. Natomiast ci tzw. silni ludzie to najczęściej psychopaci odznaczający się agresywnością, pozbawieni skrupułów,

rozpychający się łokciami, prymitywni, rozważający skuteczność własnego działania zamiast jego oceny, sprytni, nieczuli, brutalni.

Teoria dezyntegracji pozytywnej jest teorią rozwoju psychicznego, która opisuje przejście od stosunkowo prostej struktury psychicznej, działającej mniej lub bardziej mechanicznie, do złożonej hierarchicznie struktury psychicznej, którą charakteryzuje autoregulacja. Jednostki poddane temu przejściu są nastawione bardziej intrawertycznie. Profesor Dąbrowski wskazuje na rolę czynnika trzeciego w tym rozwoju człowieka, nie negując jednocześnie znaczenia czynnika pierwszego, tzn. cech dziedzicznych oraz znaczenia czynnika drugiego – wpływu otoczenia. Jednakże szczególną rolę w kształtowaniu osobowości człowieka odgrywa czynnik trzeci, na który składa się samouświadomienie, samopotwierdzenie i samowychowanie.

Prawdziwa postawa autentyzmu ma przed sobą trzy drogi rozwiązania naporów intelektualnych i uczuciowych: chorobę umysłową, samobójstwo lub przedzieranie się do konkretnego ideału, choćby przy największych trudnościach i nikłych rezultatach. Całe życie człowieka jest rozwojem w kierunku tworzenia własnej osobowości poprzez bunt, pomoc innym, empatię i przez wierność wobec wartości.

Człowiek szalony

Niedobre okoliczności zmusiły mnie do zamieszkania (w 1982 roku) w osiedlu. Po latach spędzonych, od urodzenia, w starej, ale nowoczesnej części Warszawy, z widokiem na filtry, w mieszkaniu wysokim ze skrzypiącą tajemniczo podłogą, do którego prowadziły dwie klatki schodowe – poczułam się w tym betonowym osiedlu jak dziewczęta z Nowolipek Gojawiczyńskiej, ale nim jeszcze wypełzły ze swych suterren „do wielkiego świata”. Poczulałam bezdusność tych, z pozoru tylko, nowoczesnych fragmentów miasta, pozbawionych wyrazu oraz tak niezbędnych w mieście – kawiarni.

Niskie betonowe klatki, w których można tylko niewygodnie się przespać – bo cóż robić w pokoju, nie większym niż sześć czy dziewięć metrów kwadratowych? – służyć mi muszą do pracy i do egzystowania, i z przerażeniem czuję, że siły witalne są wchłaniane przez sztuczne tworzywa, które nawet bydło – jak eksperymentowano – nie służy. Wybetonowane podwórza mają zacierać to, co naturalne, jakby ci, którzy administrują, wstydliwie chowali w ten sposób ślady swojej wiejskości. Doszłam niedawno do wniosku w czasie rozmowy przygotowywanej do druku, że w osiedlach szczęśliwy może być tylko człowiek szalony.

Wegetuje się tu prawie bez powietrza w mieszkaniach o szczelnie zasuniętych firankach, które nie wpuszczają świeżych powiewów mimo uchylonych okien; nie zauważyłam by ktoś korzystał z balkonów. I skąd ta potrzeba szczelnego osłaniania, skoro i tak wnętrza mieszkań – z reguły podobne do siebie – nie kryją w sobie niespodzianek? Jakże miły wydaje mi się na tym tle skandynawsko-holenderski zwyczaj niezastłania niczym okien przez które widać życie rodzin w pięknej oprawie.

Napisałam, że w osiedlach, w tej brzydocie i zaniedbaniu schodów, wind, podwórzy właściwie może być szczęśliwy tylko człowiek szalony. A więc człowiek, który z pasją nie bacząc na okoliczności zewnętrzne, czemuś się oddaje przeniknięty jakąś ideą. Wtedy nawet obeszczająca – i niezobowiązująca do podnoszenia się na wyższy poziom – brzydota nie

może stanąć na przeszkodzie. Człowiek szalony – czyli ten, kto wykracza poza sferę codziennych trosk i skierowuje swoją uwagę i siły ku wartościom wyższym – powtarza w swej dziedzinie i na swój sposób model człowieka szalonego ucieleśniony w Don Kichocie Cervantesa.

Od razu niemal w pierwszym zetknięciu się z człowiekiem szalonym, czuje się tchnienie jakiegoś niedostępnego wszystkim świata, w którym ten przebywa. Często rysy twarzy są przeniknięte osobliwym zniewalającym światłem, jak na przykład, pani Laryssy Humeniukowej, która czynnie uczestnicząc w trudach codziennych oraz lecząc twarze osób znerwicowanych, żyje zarazem w świecie wyższych wartości i, zresztą, w ich imię stała się wegetarianką. Poznałam panią Laryssę dzięki mej ciotce, Helenie Jaszczołtowej, aktorce Teatru Narodowego, która prowadząc życie towarzyskie na miarę skromnych powojennych możliwości, zetknęła mnie z kręgiem niebanalnych osób. Część z nich była na pewno szalona w sposób warty naśladowania.

Szaleństwa pozytywne przybierają różne postaci, a do nich na pewno zaliczyć trzeba dbałość nie o szybkie i dające duże zyski, lecz możliwie bliskie doskonałości przekłady dzieł myślicieli, a także poetów, dokonywane niemal kosztem samego siebie przez Czesława Tarnogórskiego. Jego nieczęsto spotykanej inteligencji i analitycznej wszechstronności zawdzięczam dużo: był i jest zazwyczaj pierwszym czytelnikiem tego, co piszę, prowokując mnie nieraz do uściśleń. Ceniąc to, co pisze, sięgam zwłaszcza do jego wierszy, by lepiej wyrazić pewne treści filozoficzne.

Człowiekiem szalonym, któremu wiele zawdzięcza od lat środowisko młodych twórców, zwłaszcza debiutantów, jest Jerzy Koperski-Leszin. Podziwiam jego entuzjazm i bezinteresowność. Jednym z dzieł Leszina o niedocenionym wciąż jeszcze dostatecznie znaczeniu dla kultury polskiej jest kwartalnik „Integracje”, najstaranniej wydawane u nas pismo, poświęcone kulturze, mogące zadowolić wybrednego estety.

Szaleństwem szlachetnym jest też ratowanie zagrożonego zdrowia przy pomocy metod tzw. bioenergetycznych, bowiem niewykluczone, że czyniąc to, jest się nie tylko przekąźnikiem jakiejś energii kosmicznej, ale i oddaje się swoją własną. W kręgu mojego świata wspomaga tą drogą cierpiących Irena Stępień i Jan Stępień, mimo że pochłania go własna twórczość pisarska i rzeźbiarska. Nie mogę pogodzić się z negatywnym stosunkiem większości lekarzy do zabiegów bioenergetycznych zwłaszcza, że chorujemy tak masowo, iż nie należałoby uważać za konkurencyjne tych metod stosowanych oficjalnie np. w ZSRR czy w Anglii. Nauka, rozwijając się, wyjaśnia powoli szereg tajemnic, ale jej postępy są zbyt powolne wobec nowych odkrywanych faktów. Uważam, że kult wiedzy naukowej, z istoty

swej zmiennej i niedoskonałej, wyrósł u nas nadmiernie. Intuicja nie tylko w twórczości artystycznej, pozostaje czymś nie do zastąpienia. Wyleczył mnie geograf Marian Janowski.

Człowiekiem szalonym był też, na przykład, sięgając do przeszłości, Zygmunt Freud. Dobrze się stało, że telewizja umożliwiła obejrzenie serialu o nim, co jest przejawem wzbogacenia kultury masowej wątkami kultury wyższej. Tę ostatnią telewizja może i powinna popularyzować. Za sprawą tego serialu „małe okienko” prowokuje widzów do szukania postaw bardziej prawdziwiej wyrażających wewnętrzne „ja”.

W ogóle cenne są seriale o życiu i twórczości wybitnych szalonych jednostek. Oglądaliśmy w nich na przykład Wagnera, Paganiniego, Verdiego, Ludwika II Bawarskiego. Niezależnie od tego, czy są realizowane lepiej czy gorzej, skłaniają do namysłu nad własnym życiem. Przybliżając osobowości nieprzeciętne, zmuszają do zastanowienia się, czy dobrze czynimy uznając za dziwactwo to, co odbiega od przeciętności.

W przypadku filmu telewizyjnego o Freudzie zmusza do zastanowienia wyraziście zarysowany konflikt jednostki, która nie podąża utartymi drogami, co znamionuje ludzi szalonych, i szuka prawdy wbrew otoczeniu. Subtelnie zarysowano heroizm i przeciwności, z których zapewne najbardziej bolesny jest brak uznania u najbliższych oraz rozczarowania przyjaciółmi.

Psychoanaliza zmieniła się nieco od czasów Freuda, ale jego odkrycia nie zmniejszają późniejsze korekty czy zmiany. Na przykład, szkoła amerykańska dostrzega w nerwicach i psychonerwicach podłoże bardziej psychosocjalne niż seksualne. Psychoanalitycy dzisiejsi wzorem Freuda badają podświadome motywacje i popędy, jak również przyjmują za nim, że konflikty są najczęściej osadzone w dzieciństwie. Niektóre freudowskie pojęcia ulegają korektom, ale tworząc nowe teorie, Fromm, Horney, Frankl czy inni zarazem interpretują i analizują Freuda.

Można mieć nadzieję, że po obejrzeniu tego serialu szerszy krąg osób zda sobie sprawę, że świadoma motywacja naszych czynów nie ma nic wspólnego z ich rzeczywistym uwarunkowaniem. Tym, którzy powiedzą, że freudyzm, to teoria przestarzała i nie wiadomo, po co mamy do niej wracać, warto przypomnieć, że dokonana przez Freuda rewolucja w traktowaniu nerwic i psychonerwic utrzymuje się nadal, jakkolwiek inaczej objaśnia się ich podłoże. Trudno byłoby wyobrazić sobie dzisiejszą psychologię bez przełomu dokonanego przez Freuda.

Nie można przecenić znaczenia tego myśliciela również dla filozofii kultury. Pod jego wpływem w powieści, w filmie czy w dramacie podjęto próby ujawnienia i wyjaśnienia tego, co na ogół pozostaje w utajeniu. Wielu twórców sięgnęło do psychoanalizy i konstruując

utwory i sylwetki psychiczne bohaterów, na przykład, wykorzystuje zjawisko projekcji. Terminu tego Freud użył po raz pierwszy w 1894 roku. Określił projekcję jako tendencję do przypisywania przez człowieka swoich własnych popędów, pragnień, marzeń oraz uczuć innym ludziom z równoczesną obroną przed uświadomieniem sobie tego, że są to również cechy własne.

Nie bez szerszego znaczenia zaakcentowany został w serialu problem tolerancji, a raczej jej braku, i trudnej w związku z tym – niemal w każdych czasach – sytuacji uczonych i twórców narodowości żydowskiej, którzy, wytyczając nowe drogi, mieli dodatkowe utrudnienia z powodu antysemityzmu.

Wyraziście zostały zarysowane przeszkody w przyjmowaniu teorii Freuda, mające źródło w zaskorupieniu. Ogół jednostek, jak pisał Freud, nie lubi, by przypominać śliski i drażliwy charakter swoich fundamentów. I nie lubi, by to, co wstydliwie skrywa, zostało ujawnione.

Nazwisko tego myśliciela wciąż u niejednych wzbudza posmak czegoś niestosownego. Zapolska miałaby jeszcze sporo do zrobienia.

Energia czy siła witalno-psychiczna, która tkwi w każdym człowieku, powinna być ukierunkowana. Jeżeli ogranicza się swoje istnienie do kręgu spraw miałkich, codziennych, do kręgu biologiczno-materialnego przetrwania, to pojawia się poczucie znużenia i przeżycie braku sensu własnego istnienia.

Świat kultury, w którym manifestuje się nasze człowieczeństwo, zaczyna się tam, gdzie ustają biologiczne konieczności, gdzie zaczyna się kształtowanie życia człowieczego przez przyznawanie wartościom wyższym dominującej roli.

Idziemy
mozolnie
przez świat
Dźwigamy ciężary
Pospiesznie zdążamy
Biegniemy
By ujść przed sobą?
Czy sobą się stać?

Pisanie tego dziennika to również próba utrwalenia śladu tych ludzi szalonych, którzy odeszli a byli mi bliscy; mogę ich istnienie tu przywołać. Ten pierwszy tom odległy jest od dziennika „nagiej duszy”, a taki charakter często noszą publikowane dzienniki. Czytam je z ogromną ciekawością i z tym większą – im bardziej wydają mi się szczerze i nawet drastyczne w odsłanianiu własnego „ja”. Szczególne znaczenie miały dla mnie wynurzenia Marii

Kasprowiczowej, Simone de Beauvoir, Annais Nin czy *Moi współcześni* Przybyszewskiego. Pisanie tego dziennika, opracowywanie i porządkowanie wyrwanych nieraz z zupełnie innego kontekstu dawnych zapisków, to zarazem forma walki z tym, co nieuniknione, przeciw czemu buntuję się od lat. „Niezgoda na przemijanie. Niezgoda na konformizm” – tak mogłoby brzmieć motto tej książki.

Spis rzeczy

Odnajdywanie siebie
Wiedeńskie zapiski
Takt
Niepokój
Tkliwość
Salony
Przetańczyć życie
Potrzeba zabawy
Listy
Niezbędność wyższych wartości
Więzi istotne
O twórczości
Z powrotem do Przybyszewskiego
Nie wstydzmy się Rodziewiczówny
Próżnia filozoficzna
Filozof tragiczny
Przyjaciel narkomanów
Niepokoje młodzieży
W galerii Cezarego
Święta u Stefana
Kryzys szkół naukowych
O uczelniach
Zapomniana dziedzina
Piotr Chojnacki
Bolesław Gawecki
Kazimierz Dąbrowski
Człowiek szalony
Fotografie

Korekta: Małgorzata Szymańska